tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 31 (1385)
27.07-2.08.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Powojenną Polskę budowali powstańcy

Janusz (Cieszyński) czyste ręce

Wojenne biznesy Ukraina i Bliski Wschód

Mateusz Mazzini i Wojciech Kuczok Mundial bez lukru

Oszukał miliony Polaków

OBSESJE NAWROCKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 31 >
9 771509 311607

Patronat honorowy

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy

Patroni Medialni

Organizator

JAZZ ART FUNDACJA

eprasa.pl 6680053161

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Małżeństwo à la Nawrocki

Gdy Kaczyński wyciągnął go z kapelusza i poprowadził do prezydentury, obiecał, że jego najważniejszym celem, a wręcz misją, będzie obalenie rządu Tuska. I tego zobowiązania Nawrocki konsekwentnie dotrzymuje. Ponad 40 wet prezydenta ma jeden cel. Paraliżowanie prac rządu i doprowadzenie do zmiany władzy w przyszłym roku. Jest oczywiste, że Nawrocki z destrukcją na tak wielką skalę mocno będzie wpływać na osłabienie skuteczności rządu. I tych planów władzy, które miały być realizacją obietnic wyborczych. Jak można szybko maszerować, gdy ktoś cały czas z premedytacją kopie doły na trasie? Knucie i blokowanie rządu to codzienny program Kancelarii Prezydenta. Za setki milionów złotych dostajemy popisy ludzi, których celem jest zbudowanie wokół Nawrockiego nowego obozu politycznego. Trzeba im to wybijać z głowy i sprowadzać ich na ziemię, póki jeszcze są słabi.

Nadszedł już czas, by rząd przedstawił raport na temat negatywnych konsekwencji tych licznych wet dla wszystkich Polek i Polaków. Trzeba pokazać straty materialne, które ponosimy jako państwo, oraz skalę skutków nierozwiązanych problemów, dotykających całe społeczeństwo. Nawrocki – wciąż wetując i wetując – kpi sobie z rodaków. Zwłaszcza wtedy, gdy wykrzykuje na wiecach, że jego program to: „po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy!”. Kłamie.

Kolejnym dowodem na te oszustwa jest weto w sprawie ustawy o statusie osoby najbliższej. Uderzył nim w niemal 2 mln Polek i Polaków, którzy żyją w związkach nieformalnych, w ich dzieci i najbliższych. Zrobił to, choć w zawetowanej ustawie nie było niczego, co choćby trochę przypominało małżeństwo. Prezydent kreuje się na największego obrońcę tylko takich związków. Byłoby to śmieszne, gdyby nie tragedia zwykłych ludzi, którym ten polityk wchodzi do łóżek i mówi, jak i z kim mają żyć. Opisujemy w „Przeglądzie” kolejne oszustwa Nawrockiego i to, jak krzywdzi ludzi. Robimy to, bo taka jest rola mediów. Tej i tak przecież okrojonej ustawy nie można odpuścić. Polska to nie jest kraj, na którym może eksperymentować wynalazek kadrowy prezesa Kaczyńskiego. Widzimy, jak coraz bardziej Nawrocki oddala się od rzeczywistości, i to w takim tempie, że być może szykuje się nam kolejny kosmonauta. I to byłoby chyba najlepsze rozwiązanie dla Polski.

Tydzień temu zwróciłem się do Czytelników z apelem, by znaleźć sposób na skuteczne przeciwstawienie się ipeenowskiej machinie kłamstw. W imię rzetelnej oceny lat 1944-1989. Odezwało się już sporo osób. Bardzo za to dziękuję. I apel ponawiam.

Nie ma na co czekać. Jeśli nie my, to kto?

Czekam na listy i mejle: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 66800531b1

W NUMERZE

KRAJ

8 **Obsesje Nawrockiego**
Walka z rzekomym osłabianiem rodziny

12 **Weto Nawrockiego uderza w 2 mln Polaków**
– rozmowa z dr. hab. Sebastianem Gajewskim

14 **Janusz czyste ręce**
Tolerancja „państwowego wypasu”

22 **Zgorszenie w Markowej**
Stosunek do Żydów – czuły punkt Polaków

24 **Podrobiony horyzont**
Sprytna propaganda TikToka

44 **Misja konsula**
– rozmowa z Peterem Herrem

56 **Pierwszy dom w Unii Europejskiej**
Zerwane więzi z sąsiadami z Królewca

HISTORIA

16 **Powstańcy ’44 w PRL**
Najpierw walczyli, potem budowali

42 **Ojciec czerwonych beretów**
Gen. Edwin Rozłubirski

ZAGRANICA

26 **Wojna jako model biznesowy**
Mapa wojny i zysków

31 **Ostatni taki mundial**
Rozrywka dla bogatych

34 **Francuski work-life balance zagrożony**
Korespondencja z Paryża

38 **Czy bezpłatna plaża stanie się wkrótce luksusem?**

SPORT

29 **Hiszpania najlepsza na świecie**
Najbrzydszy finał w historii

KULTURA

49 **Qulturalia**

50 **Nasza druga strona ciszy**
Erna Rosenstein w Wiedniu

66 **Międzynarodowa wystawa kolażu**

ZDROWIE

52 **Nie przegap czerniaka**
– rozmowa z prof. Piotrem Rutkowskim

OBSERWACJE

47 **Przepustka do Mensy**
Kolejka po certyfikat wysokiej inteligencji

60 **Chłodne smaki Południa**
Lato pod znakiem chłodników

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Małżeństwo à la Nawrocki

21 **Jan Widacki**
Obyś był po polskich sądach ciągany!

37 **Roman Kurkiewicz**
Wojna czy (nie)pokój – uczta debatowania

41 **Tomasz Jastrun**
Nie tylko szwajcarskie krajobrazy

55 **Wojciech Kuczok**
Święty Lucyferze, módl się za nami

29
SPORT

HISZPANIA NAJLEPSZA NA ŚWIECIE
Najbrzydszy finał w historii

NIE PRZEGAP CZERNIAKA
– rozmowa z prof. Piotrem Rutkowskim

CHŁODNE SMAKI POŁUDNIA
Lato pod znakiem chłodników

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

Prawda sama się nie obroni

Oburącz podpisuję się pod apelem i inicjatywą red. Jerzego Domańskiego stworzenia nowej, efektywnej platformy działań na rzecz rzetelnej dokumentacji i sprawiedliwej oceny wielkiego dorobku 45 lat Polski Ludowej. Sam próbowałem podejmować tego typu prace, choćby przygotowując przed dziesięcioma laty kronikarską książkę „Kultura artystyczna w Polsce w dekadzie Edwarda Gierka", odnotowującą niemal 2 tys. ważnych wydarzeń z tej sfery w latach 70., a wydaną przez Akademię Humanistyczną w Pułtusku i Oficynę Wydawniczą ASPRA-JR. Deklaruję swoje jak najpełniejsze poparcie i gotowość konkretnego wsparcia inicjatywy „Przeglądu", a także aktywnego udziału w dalszych debatach.

Prawda sama się nie obroni

Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Grzegorz Wiśniewski

•

Diabli mnie biorą, gdy czytam ataki różnych mędrków na Donalda Tuska. Jak ma realizować obietnice, jeśli naród nie dał jego partii wygranej w wyborach. Wybrano PiS. Powstała koalicja, w której świętoszkowaci chłopcy z PSL robią, co mogą, żeby z projektów ustaw tworzyć karykaturki. A do tego „prezydent wszystkich Polaków" uniemożliwia powstanie i tych karykaturek. Znów tak wybrał naród. I o co się czepiać? Mamy, co wybraliśmy, bo nie chciało się pójść na wybory prezydenckie. Róbmy tak dalej, a rozbiory blisko. Tylko tak trzymać.

Ryszard Zawadzki

Dziedzictwo Polski Ludowej

Uważam, że PRL nie był jedną wielką czarną dziurą, lecz stworzył wiele dobrego. Podkreślam: „stworzył", więc „nie przypadkiem", ani „niechcący", ani „mimo to", lecz świadomie, celowo i planowo. Dzięki PRL zaszły zmiany terytorialne, weszła reforma rolna, odbudowano kraj ze zniszczeń wojennych, nastąpiła powszechna industrializacja i rozbudowa infrastruktury gospodarczej, wydźwignięto z nędzy i kulturowego zacofania niższe klasy społeczne, budowano masowo tanie mieszkania, zapewniono powszechnie dostępną edukację i ochronę zdrowia, dokonano realnej emancypacji kobiet (w kwestiach zawodowych, jak i w przypadku prawa do aborcji), rozpoczęto rozkwit wysokiej kultury (czytelnictwo, literatura, teatr, kino itd.). Należy też wspomnieć o stworzeniu korzystnych warunków dla rozwoju gospodarczego po 1989 r. (rozbudowana infrastruktura i przemysł ciężki, nagromadzone zasoby kapitału ludzkiego), które jednak posłużyły za łupy dla przyszłych oligarchów w Polsce.

Żeby być rzetelnym, trzeba też wymienić minusy PRL, do których zaliczyć można: koszty społeczne i gospodarcze wojny domowej oraz zmiany ustroju społecznego i gospodarczego w Polsce w drugiej połowie lat 40. XX w., stłumienie podstawowych swobód politycznych (niemniej zakres tych swobód w PRL był znacznie szerszy niż w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej) oraz wykorzystywanie przemocy w celu utrzymania władzy i związane z tym koszty społeczne (Czerwiec 1956, Grudzień 1970), niewykorzystanie szans dokonania reform gospodarczych, przyśpieszenia i zracjonalizowania rozwoju kraju oraz wszechobecna klerykalizacja w kraju (przez 45 lat PRL zbudowano więcej kościołów niż przez tysiąc lat chrześcijaństwa w Polsce).

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wet za wet
Najpierw na konferencji prasowej Jarosław Kaczyński poinformował o rezygnacji z członkostwa w PiS ok. 30 posłów, z Mateuszem Morawieckim na czele. Po dwóch godzinach były premier ogłosił, że do końca walczył o jedność. Natomiast z szeregów partii został wyrzucony przez „grupę intrygantów". Warszawa, 24 lipca 2026.

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 66800531b1

Według prezesa Kaczyńskiego grupa posłów PiS zrezygnowała z członkostwa w partii po tym, jak nie złożyła deklaracji lojalności. Dotyczy to polityków związanych z Mateuszem Morawieckim i Stowarzyszeniem Rozwój Plus. Ci z kolei głoszą, że nie chcieli odejść, ale zostali z partii wyrzuceni.

•

Fundacje rodzinne powołane przez rząd PiS w 2023 r. wykazały w ciągu trzech lat 33 mld zł dochodów zwolnionych z podatków. Zapłaciły tylko 220 mln zł CIT. **Gdyby nie fundacje, podatek wyniósłby ok. 6,3 mld zł.**

•

Największym darczyńcą Ukrainy jest **Unia Europejska**, która **przekazała już 211 mld euro.**

•

2,373 mld zł ściągnęli komornicy w 2025 r. **z emerytów i rencistów.** Łącznie wyegzekwowali 14,4 mld zł.

•

Koszt programu CPN wyniósł ok. **4,7 mld zł.**

•

Żywność staniała w czerwcu o 0,6% w stosunku do cen przed rokiem. Najbardziej staniało masło – o 25,4% – oraz oleje i tłuszcze – o 16,8%.

•

Po 20 latach procesów wytaczanych przez rodzinę Zbigniewa Ziobry czterem lekarzom oskarżonym o spowodowanie śmierci Jerzego Ziobry, ojca ministra, Sąd Okręgowy w Krakowie uniewinnił trójkę lekarzy, a postępowanie wobec czwartego zostało umorzone.

•

84 tony narkotyków skonfiskowało Centralne Biuro Śledcze w pierwszym półroczu tego roku. W 2025 r. było to 29 ton. **Rozbito 51 laboratoriów.**

•

Po ograniczeniu lekcji religii do jednej godziny tygodniowo pracę straciło 4,5 tys. z 27,4 tys. katechetów.

•

W Szpitalu Wojewódzkim w Koszalinie aż 17 lekarzy zarobiło w 2025 r. ponad 1 mln zł. Rekordzista otrzymał 2,599 mln zł.

•

Mimo że politycy pokornie błagają o amerykańskie bazy w Polsce, to w efekcie żołnierzy U.S. Army jest u nas mniej, niż było. Zamiast 10-11 tys. obecnie stacjonuje nad Wisłą ok. 7 tys. wojskowych.

•

W 54 krajach świata obowiązuje kara śmierci. W zeszłym roku wykonano 2,7 tys. egzekucji. Najwięcej w Iranie – 2159 (brak informacji z Chin; Amnesty International).

•

W Niemczech największą po Turkach grupą imigrantów spoza Unii Europejskiej są Syryjczycy. To prawie 950 tys. i niemal 250 tys. osób mających już obywatelstwo niemieckie.

•

770 tys. Amerykanów koczuje w schroniskach lub na dworze.

•

Na zwolnieniach lekarskich Polacy spędzili w 2025 r. 290,5 mln dni. **Lekarze wystawili** w tym czasie **25,5 mln L4.**

•

W Polsce działa prawie **27 tys. spółek z kapitałem ukraińskim**. Najwięcej w budownictwie, handlu hurtowym i transporcie.

•

Według nowych badań ponad 70% wszystkich romantycznych związków długoterminowych wyłania się z przyjaźni.

PRZEBŁYSKI

Co robi Nawrocki, gdy nie wetuje?

Jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało, ks. Jarosław Wąsowicz, fanatyczny wielbiciel kibolstwa i jego kapelan, jest też kapelanem prezydenta Nawrockiego. Łączy go z nim nie tylko kibicowanie Lechii Gdańsk. Klub, mimo takiego wstawiennictwa, spadł właśnie z Ekstraklasy. Pielgrzymki do Częstochowy nie pomogły.

Ks. Wąsowicz miał cały rok, by uwić sobie w Pałacu Prezydenckim eleganckie gniazdko. Nie żałował na to wielu złotówek (waszych złotówek, drodzy Czytelnicy). A przecież podwójny kapelan dopiero się rozpędza. W wywiadzie dla „Sieci" zapowiedział, że podąża za słowami prymasa Hlonda. Tego, który we wrześniu 1939 r. uciekł z Polski. A wcześniej głosił, że „Polska nie może być bezbożna". Skoro więc dla ks. Wąsowicza Hlond to drogowskaz, to dla Nawrockiego oczywiście też. Co widać i słychać w jego wystąpieniach.

Dzięki ks. Wąsowiczowi wiemy też, co robi Nawrocki, gdy nie wetuje, nie knuje i nie kłamie. Nie uwierzycie: „Nawrocki codziennie odmawia dziesiątkę różańca w intencji wszystkich, którzy się za niego modlą".

Klony rolne

Jedno Karolowi Nawrockiemu się udało. Sklonowanie doradców na obraz i podobieństwo swoje. Patrzysz na Tomasza Ognistego i Tomasza Obszańskiego. I co widzisz? Nawrocki z czasów, gdy nie zajmował się ustawami.

A kim są jego podpory w rolnictwie? Ognisty to zadymiarz, który był asystentem Janusza Kowalskiego, b. posła PiS. Tego, który prawdopodobnie jest następcą sławnego Rocha Kowalskiego z „Trylogii" Sienkiewicza. Z tamtego był tylko kiep. A z tego?

Z kolei Tomasz Obszański to przewodniczący Solidarności Rolników Indywidualnych. Przybudówki PiS na wsi. Przez osiem lat wszystko im się na wsi podobało. Obudzili się dopiero teraz. Jako etatowy doradca prezydenta Nawrockiego Obszański ma jeden cel. Dowalać premierowi Tuskowi. Po drodze ma m.in. ministra Krajewskiego i prezesa PSL. Lekko nie ma, ale stara się. Demonstruje w stolicy. W przerwie między prowadzeniem niemal 70-hektarowego gospodarstwa w Tarnogrodzie. Do obrazu typowego polskiego rolnika z wieloma problemami to Obszański nie pasuje.

Kiedy (się) przyjadą

Produkt na wpół niemiecki, ale daleki od marki „made in Germany". Ringier Axel Springer Polska, wydawca „Faktu", od niedawna dorzuca raz w tygodniu nowy dodatek, „Nasze sprawy 50+". Podoba nam się walka o szybko uciekającego im czytelnika. Tabloid doradza, pomaga i ostrzega. Chęci dobre, ale gorzej, że robią to nieporadnym językiem. A jeszcze gorzej u nich z korektą. Nietrudno znaleźć wtopy. Choćby w reklamie pralek, które „naprawdę się przyjadą". Gdyby nie to „się", czekalibyśmy na wizytę… pralki.

FOT. FACEBOOK, YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 66800531b1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czego Polacy nie wiedzą o powstaniu warszawskim?

PROF. ADAM LESZCZYŃSKI,
historyk, dyrektor Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, Uniwersytet SWPS

Polacy najmniej są świadomi tego, o co w powstaniu walczono. Programy głównych partii – nie tylko PPS – zakładały reformę rolną i uspołecznienie przemysłu. Wyobrażano sobie państwo wolne, demokratyczne i sprawiedliwe społecznie. Drugą kwestią jest ocena dowództwa. Trzeba oddzielić bohaterstwo walczących od odpowiedzialności politycznej. Pod względem militarno-politycznym to był błąd, za który zapłaciło kilkaset tysięcy osób. Natomiast mitologizacja zrywu to dzieło polityków ostatnich 25 lat. Powstanie wykorzystano do bieżących korzyści, nadając jego upamiętnieniu czysto współczesny, polityczny wymiar.

DR MICHAŁ PRZEPERSKI,
IH PAN, Muzeum Historii Polski

Powstanie warszawskie pamiętamy jako bitwę o niepodległość. Rzadziej mówi się, że było ono także próbą budowy nowej Polski – demokratycznej i sprawiedliwej społecznie. Elity Polskiego Państwa Podziemnego nie chciały prostego powrotu do realiów II RP. Planowały reformę rolną, uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu, pełne zatrudnienie, rozwój spółdzielczości i silny samorząd. Już podczas powstania ogłoszono przejęcie majątków ziemskich powyżej 50 ha i powołanie rad robotniczych współzarządzających przedsiębiorstwami. Warszawskie barykady miały więc bronić nie tylko suwerenności, lecz również wizji państwa ludzi pracy. Ten społeczny program Polski Walczącej został później przesłonięty przez komunizm, który przejął jego język, ale odebrał mu demokratyczną treść.

SEBASTIAN PAWLINA,
historyk, publicysta, specjalista od historii warszawskiej konspiracji

Wciąż mało wiemy o szczegółach działań wojsk niemieckich czy decyzjach strony sowieckiej. Trudnym wątkiem są bez wątpienia relacje cywilów z żołnierzami. Z początkowego entuzjazmu Warszawiaków szybko przechodzimy do drastycznych napięć. Powstańcy słyszeli pretensje: „Przez was zginęło moje dziecko!", rzucano w nich doniczkami, w piwnicach pluto. Zdarzało się, że cywile, wycieńczeni głodem i bombami, żądali rozebrania barykad, by mogli opuścić Warszawę. Z drugiej strony – bez wsparcia ludności powstanie padłoby w pierwszych godzinach. Za mało mówimy o społecznym przekroju zrywu. Brali w nim udział wszyscy, od lewicy do prawicy. Obok chłopców z robotniczego Czerniakowa walczyła córka hrabiów Branickich. W tym sensie było to powstanie absolutnie narodowe.

rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 66800531b1

Oszukał miliony Polaków

OBSESJE NAWROCKIEGO

Maciej Belowski

Wyobraź sobie sytuację, gdy osoba, z którą od kilkunastu lat dzielisz życie, opłacasz wspólnie rachunki i wychowujesz dzieci, nagle trafia w ciężkim stanie do szpitala. Biegniesz na oddział i od lekarza dowiadujesz się, że partner jest nieprzytomny, a ty – bez wcześniejszych formalnych upoważnień w karcie pacjenta – nie uzyskasz żadnej informacji o stanie jego zdrowia. Według państwa bez osobnych umów czy pełnomocnictw notarialnych wciąż jesteś „kimś obcym". To poczucie niepewności czy braku automatycznej, systemowej ochrony miała zlikwidować ustawa o statusie osoby najbliższej.

Przed wyborami „obywatelski" kandydat Karol Nawrocki, popierany przez Prawo i Sprawiedliwość, przedstawiał wizję bezpiecznego, ludzkiego państwa i zapewniał, że jest zwolennikiem uregulowania statusu osób najbliższych. Rok po kampanii, już jako prezydent RP, wyrzucił do kosza ustawę, na którą czekało ok. 1,8 dorosłych ludzi żyjących w relacjach nieformalnych.

Rozczarowanie w polityce ma bardzo konkretną wagę i mierzy się je w liczbach. W tym przypadku to dokładnie 895 443 pary w związkach niesformalizowanych, wykazane w ostatecznych wynikach opracowania „Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. Rodziny w Polsce w świetle wyników NSP" (spis przeprowadzo od 1 kwietnia do 30 września 2021 r.), opublikowanego przez Główny Urząd Statystyczny – z czego aż 565 455 to pary z dziećmi. Dla państwa, w świetle obowiązującego prawa i decyzji prezydenta, ci ludzie pozostają dla siebie ludźmi obcymi.

Osoba najbliższa prezydenta

To właśnie do nich podczas debaty prezydenckiej zwracał się Karol Nawrocki. Zapytany przez Rafała Trzaskowskiego o los par żyjących bez ślubu – o to, dlaczego w obliczu życiowej tragedii nie mogą odwiedzać się w szpitalach ani po sobie dziedziczyć – Nawrocki z uśmiechem i pewnością siebie odparł, że od początku kampanii jest „zwolennikiem statusu osoby najbliższej".

Kandydat wielokrotnie budował wizerunek „polityka ponad podziałami". Deklarował otwarcie, że w sprawie statusu osoby najbliższej „jest gotowy do rozmów ze wszystkimi środowiskami politycznymi". Aby wzmocnić ten przekaz, postanowił pokazać widzom „emocjonalną" i „poruszającą" historię z własnego życia.

Powołał się wówczas na osobę słynnego pana Jerzego, którym według własnych relacji miał się opiekować przez kilkanaście lat. – Gdybym miał status osoby najbliższej pana Jerzego, to może nie udałoby się schować pana Jerzego pańskiej koleżance w Gdańsku i odciąć tego biednego, porzuconego człowieka ode mnie – opowiadał przed kamerami, dodając: – Jeśli chodzi o pomoc osobom, niezależnie od tego, czy są hetero-, czy homoseksualne, czy ich relacja jest inna, czy to relacja młodego człowieka z kombatantem, to jestem otwarty na rozmowę wokół statusu osoby najbliższej.

Prywatna anegdota miała być ostatecznym dowodem na to, że pod szyldem twardego polityka kryje się człowiek wrażliwy na los drugiego obywatela, który rozumie bezsens

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

barier biurokratycznych. Co się kryło za historią „opieki"? Przejęcie gdańskiej kawalerki przez Nawrockiego – a pan Jerzy trafił do DPS.

Weto – maski spadły

Po wyborach parlament wziął się do przygotowania kształtu ustawy. W efekcie powstał elastyczny, okrojony z bardziej progresywnych postulatów akt prawny, oparty na umowie notarialnej. Ustawa wykluczała wspólną adopcję dzieci oraz tzw. przysposobienie wewnętrzne przez partnera.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu stanowiła kompromis legislacyjny – głównie między Lewicą a PSL. W pracy nad nią kierowano się koniecznością wyjścia naprzeciw potrzebom społecznym, a jednocześnie postanowiono uszanować twardy wymóg stawiany przez środowisko prezydenckie: nie naruszyć art. 18 Konstytucji RP i idei prezydenckiej o braku quasimałżeństw, co Nawrocki wielokrotnie podkreślał, nazywając małżeństwo wyjątkowym aktem, także duchowym, chronionym przez konstytucję.

Podczas głosowania w Sejmie 29 maja 2026 r. projekt uzyskał większość (230 głosów za). Dokument trafił do Senatu, a później na biurko prezydenta – wtedy maski spadły. 17 lipca 2026 r. Karol Nawrocki zgłosił weto. W oświadczeniu zarzucił rządowi manipulację pojęciami, osłabianie rangi rodziny oraz przemycanie zmian pod fałszywą nazwą

W 2024 r. poza małżeństwem urodziło się 28,9% wszystkich dzieci w Polsce, w latach 2020-2024 – 418 963 dzieci.

– Często (rząd – przyp. red.) uznaje, że ładna nazwa projektu zamknie dyskusję nad złą i szkodliwą treścią samej regulacji. (…) Te projekty tworzą w istocie nową sformalizowaną instytucję prawa rodzinnego wyposażoną w szeroki katalog uprawnień zbliżonych do uprawnień małżeńskich. (...) Nie zgadzam się na wprowadzanie tylnymi drzwiami związków partnerskich (…). (Ta reforma – przyp. red.) nie powinna być wprowadzana pod nazwą, która pomniejsza czy kamufluje jej rzeczywiste znaczenie – uzasadniał Nawrocki.

Współautorka ustawy Urszula Pasławska, wiceprezes PSL, odpiera te zarzuty: – Z szacunkiem również do wątpliwości konstytucjonalistów, ale także polityków prawicy – ta ustawa została tak skonstruowana, żeby nawet nie przechodzić koło małżeństwa. Właśnie o to chodzi, że zmieniono całą filozofię rozwiązania tego zagadnienia prawnego, które jest przecież elementem naszej współczesności, naszego życia. Właśnie po to, żeby uszanować art. 18, przygotowano ustawę o statusie osoby najbliższej.

Pasławska zwraca uwagę na rzecz, która stawia prezydenckie uzasadnienie w innym świetle: przez cały czas prac nad projektem strona prezydencka nie zgłosiła do niego ani jednej konkretnej poprawki: – Nie otrzymałam żadnej opinii, żadnego dokumentu, żadnej poprawki, żadnej uwagi merytorycznej do tej ustawy.

Co gwarantowały ustawy o statusie osoby najbliższej?

- Nadanie oficjalnego, chronionego prawem statusu „osoby najbliższej w związku", zrównującego prawa partnerów.
- Gwarancja dostępu do informacji o stanie zdrowia oraz dokumentacji medycznej partnera.
- Prawo do reprezentowania partnera przed sądami i organami administracji publicznej.
- Możliwość działania za partnera w sprawach tzw. zwykłego zarządu (np. na poczcie) w razie jego przemijającej niedyspozycji. Odebranie dziecka z placówki, gdy ty nie możesz tego zrobić, jest klasyczną sprawą zwykłego zarządu, do której partner zyskuje twarde, oficjalne upoważnienie.
- Prawo do odmowy składania zeznań przeciwko partnerowi w postępowaniach karnych, cywilnych i administracyjnych.
- Domyślna rozdzielność majątkowa, jednakże z pełnym prawem do ustanowienia wspólności majątkowej.
- Wspólne rozliczenie PIT: prawo do łącznego opodatkowania dochodów na takich samych zasadach jak małżeństwa (w przypadku wyboru wspólności majątkowej).
- Brak podatku od spadków i darowizn: Zaliczenie partnerów do zerowej grupy podatkowej, co zwalnia z podatku przy darowiznach i dziedziczeniu.
- Możliwość zagwarantowania w umowie wsparcia finansowego (alimentów) w razie niedostatku po ewentualnym rozstaniu.
- Renta rodzinna (wdowia): prawo do ubiegania się o rentę rodzinną po zmarłym partnerze z ZUS, KRUS i w służbach mundurowych.
- Zasiłek opiekuńczy: prawo do płatnego zwolnienia z pracy (L4) na opiekę nad chorym partnerem.
- Możliwość zgłoszenia partnera do własnego ubezpieczenia zdrowotnego jako członka rodziny.
- Prawo do organizacji pochówku i pobrania zasiłku pogrzebowego po zmarłym partnerze.
- Ochrona mieszkaniowa: prawo do korzystania z mieszkania należącego do partnera.
- Zabezpieczenie przed eksmisją: Możliwość wpisania do umowy konkretnego terminu na wyprowadzkę w razie rozpadu związku, chroniącego przed nagłą utratą dachu nad głową.
- Prawo do wstąpienia w stosunek najmu lokalu mieszkalnego po śmierci partnera.
- Możliwość dołączenia do umowy odrębnych, wzajemnych testamentów sporządzonych bezpośrednio u notariusza.

eprasa.pl 66800531b1

Demografia nie kłamie: kogo dotknęło weto

Dane demograficzne pokazują, w kogo uderzyło weto Karola Nawrockiego. Z wyliczeń opublikowanych przez GUS w Narodowych Spisach Powszechnych 2021 i 2011 wynika, że w ciągu jednej dekady przybyło aż 578 939 związków nieformalnych.

Według Rocznika Demograficznego 2025 GUS w 2024 r. zawarto w Polsce zaledwie 135 402 małżeństwa. Dla porównania w 2000 r. – 211 150. Tymczasem w latach 2019--2024 polskie sądy orzekły aż 351 709 rozwodów.

Co najważniejsze, w związkach nieformalnych na co dzień wychowują się dzieci. Jak podaje GUS w Roczniku Demograficznym 2025, w 2024 r. poza małżeństwem urodziło się 28,9% wszystkich dzieci w Polsce, czyli 72 823. Dla porównania odsetek ten wynosił w 2000 r. – 12,1%, a w 2010 r. – 20,6%. Sumując dane z roczników demograficznych GUS z lat 2021-2025, widzimy, że tylko w latach 2020--2024 poza małżeństwem urodziło się w Polsce 418 963 dzieci (93 693 w 2020 r., 88 507 w 2021 r., 85 701 w 2022 r., 78 239 w 2023 r. oraz 72 823 w 2024 r.)

Demografia bezlitośnie weryfikuje również mit o tradycyjnym, opartym na religii fundamencie nowo powstających rodzin. Według Rocznika Demograficznego 2025 jeszcze w 2000 r. śluby wyznaniowe stanowiły niemal 72% wszystkich związków zawieranych w Polsce, podczas gdy w 2024 r. ten odsetek spadł do zaledwie 44,1% (59 740 ślubów kościelnych na 135 402 wszystkich małżeństw).

Obrońcy weta ignorują też fakt, że nawet w uchodzących za najbardziej konserwatywne wiejskich regionach model życia radykalnie się zmienia. Raport GUS „Rodziny w Polsce w świetle wyników NSP 2021" udowadnia, że w ciągu zaledwie jednej dekady liczba związków niesformalizowanych na polskiej wsi wzrosła wielokrotnie, osiągając poziom 288 463 par. Co więcej – wbrew schematom – to właśnie na terenach wiejskich odnotowuje się najwyższy odsetek (aż 71,7%) relacji funkcjonujących na tzw. kocią łapę. A to tak de facto rodziny, które na co dzień wspólnie wychowują dzieci.

Te twarde dane obnażają głęboki kryzys tradycyjnego modelu rodziny i ślepotę państwowych instytucji. Politycy prawicy nieustannie budują przekaz wokół deklaratywnej ochrony rodziny i dobra dziecka. Czym jednak w praktyce jest prezydenckie weto, jeśli nie bezpośrednim uderzeniem w to dobro? To skazanie setek tysięcy dzieci wychowujących się w związkach nieformalnych na brak podstawowego bezpieczeństwa socjalnego i prawnego ich opiekunów. Gdy jednemu rodzicowi coś się stanie, drugie pozostaje bez środków ochrony domowego bytu.

Wetując takie ustawy, prezydent nie sprawi, że ludzie zaczną masowo

Przed wyborami „obywatelski" kandydat Karol Nawrocki zapewniał, że jest zwolennikiem uregulowania statusu osób najbliższych.

BURZA W SIECI

Bożena O.: Tym wetem pokazał swoje oblicze: pogarda, buta, brak szacunku dla 1,8 mln obywateli, którzy żyją w związkach nieformalnych. #SzkodliweWeto. **(Facebook)**

Małgorzata M.: Akurat dla dobra obywateli byłoby podpisanie tej ustawy, a nie jej zawetowanie, panie Prezydencie nie wszystkich Polaków. **(Facebook)**

Aventura E.: Ciekawe czy gdyby Pana córka była w związku partnerskim, to by Pan nie podpisał... Szok, żeby być tak mało empatycznym. **(TikTok)**

lukem0: Wyjątkowy status małżeństwa, mówi to facet który reprezentuje partię, w której zaraz będzie więcej rozwodów niż ślubów. **(TikTok)**

Black B.: Politycy prawej strony udają ślepych na to, że coraz więcej ludzi żyje razem bez zawierania małżeństwa i dotyczy to głównie par heteroseksualnych. I to się nie zmieni, przeciwnie, instytucja małżeństwa będzie coraz rzadziej wybierana z biegiem lat. Ale PiS i Konfa myślą, że zmuszą ludzi do zawierania małżeństw, mhmm. **(TikTok)**

Urszula G.: Sytuacje patologiczne to są, kiedy dwa nieroby mają czwórkę dzieci i chleją z zasiłku, ale to jest święta rodzina. A wy nazywacie patologią ludzi, którzy kochają inaczej. Wstydu nie macie, katolicy inaczej. **(Facebook)**

Piotr M.: Kolejna obietnica Nawrockiego po tańszym prądzie (tym niezależnym od wszystkiego), która dowodzi jego wyborczych kłamstw. Ma w tym doświadczenie. **(Facebook)**

Piotr Z.: Jeżeli Pan Prezydent jest częściowo za, ale jednak przeciw, to czy z Kancelarii Prezydenta wyjdzie propozycja ustawy regulującej obszary, które Pan Prezydent byłby skłonny poprzeć? **(Facebook)**

o. Łukasz Sośniak, jezuita: Szkoda, że prezydent zawetował tę ustawę. Nie było w niej nic, co by zagrażało rodzinie. Czy prawo do dziedziczenia, wgląd w dokumentację medyczną w szpitalu czy wspólny kredyt w jakikolwiek sposób ubliżają sakramentowi małżeństwa? To zwykła ochrona prawna osób, które de facto tworzą wspólnoty domowe i mają prawo do godnego pochówku partnera czy wspólnego lokalu. To minimum prawne, które ludziom po prostu się należy. Jako katolicy mamy obowiązek promować małżeństwo, dawać świadectwo o jego pięknie i wyjątkowości. Nie oznacza to jednak, że wolno nam utrudniać życie tym, którzy naszej wizji życia nie podzielają. Weto prezydenta nie uratowało małżeństwa, bo ono nie było zagrożone. Odebrało jedynie szansę na ucywilizowanie statusu setek tysięcy Polaków, nie dając nic w zamian poza poczuciem wykluczenia. **(portal X, wyświetlenia: 367 tys.)**

eprasa.pl 66800531b1

stawać przed ołtarzem czy w urzędzie stanu cywilnego. Ignorowanie rzeczywistości nie zmienia faktów. Środowisko prezydenckie po prostu zamyka oczy i udaje, że prawie milion polskich par oraz ich dzieci po prostu nie istnieje.

Odzew polityczny

Decyzja „strażnika konstytucji" wywołała natychmiastową falę komentarzy. Premier Donald Tusk zareagował na weto bardzo ostro: – Prezydenckie weto to wyraz pogardy wobec ludzi i ich prawa do szczęścia i normalnego życia.

A podczas konferencji w Sejmie dodał: – Ustawa o statusie osoby najbliższej była ciężko wypracowanym kompromisem, który miał na celu ułatwienie życia milionom Polek i Polaków. (...) Nikt nie może powiedzieć, że ta ustawa była radykalna czy ideologiczna. Ona miała po prostu pomóc ludziom. (...) To było minimum, absolutne minimum. (...) Czy naprawdę uważacie, że wasz model życia jest idealny i wszyscy w Polsce powinni żyć tak jak wy? Każdy ma prawo do swoich decyzji na temat osobistego życia. Przekroczona została pewna granica.

Równie twardo decyzję prezydenta ocenił wicepremier Krzysztof Gawkowski z Lewicy: – Prezydenckie weto to decyzja przeciwko setkom tysięcy ludzi w Polsce. (...) Prezydent odhumanizował dużą część ludzi. To nie jest obrona wartości, to polityka wykluczania. To jest pogarda dla każdej osoby, która liczyła na swoje szczęście.

Głosy krytyki płynęły także ze strony koalicyjnego PSL. Jako wyraz sprzeciwu posłanki Urszula Pasławska i Urszula Nowogórska złożyły rezygnację i odeszły z Rady Parlamentarzystów przy Prezydencie RP.

Pasławska mówi o kulisach tej decyzji więcej, a rozmowy z prezydentem ocenia dobrze – i tym trudniej jej przyjąć ich finał: – Współpracę oceniam pozytywnie, ponieważ była to dyskusja prowadzona w pewnym dialogu, z szacunkiem i merytoryczna. To nie były dyskusje polityczne – ani w samej radzie, ani z panem prezydentem. Natomiast nikt nikomu nic nie obiecywał i prezydent też nie obiecywał. Aczkolwiek sam tok tej dyskusji był na tyle, uważam, istotny, że podjęliśmy próbę dialogu z panem prezydentem. I po prostu jestem trochę rozczarowana. Dlatego złożyłam rezygnację z rady, uznałam, że moja misja dobiegła końca.

Swoją ocenę weta posłanka streszcza jednym zdaniem: – Traktuję to jako wygraną polityki, a nie sprawy.

Podczas konferencji prasowej w Sejmie Urszula Pasławska wytknęła prezydentowi niedotrzymanie obietnic: – Pan prezydent, który wielokrotnie powtarzał, że ma otwartą głowę i wolę, by rozmawiać na ten temat, dzisiaj tak naprawdę zawiódł zaufanie Polaków.

Z kolei Adrian Zandberg z Razem wskazywał na ideologiczną fobię głowy państwa: – A to nawet nie były związki partnerskie, tylko jakaś smętna resztówka, parę drobnych zmian administracyjnych. Nawrocki ma na tym punkcie obsesję. Ideologia was zaślepia i krzywdzicie bez sensu ludzi.

Obietnica bez pokrycia

Społeczeństwo dawno wyprzedziło ustawodawcę. Jest zróżnicowane i zmienia się. Tymczasem zamiast pragmatyzmu i odpowiedzi na realne potrzeby obywateli wygrała sztywna doktryna. Dzisiejszy opór instytucji prezydenckiej nie ma nic wspólnego z rzeczywistą ochroną polskiej rodziny – jest wyłącznie ignorowaniem realiów demograficznych XXI w.

Zamiast pragmatyzmu i odpowiedzi na realne potrzeby obywateli wygrała sztywna doktryna.

W trakcie kampanii z ust Karola Nawrockiego padły słowa: „Jestem zwolennikiem statusu osoby najbliższej". Usłyszały je miliony ludzi. Rok później ci sami ludzie usłyszeli, że ustawa nie zasługuje na podpis. Perspektywa niemal 900 tys. par oraz setek tysięcy wychowywanych przez nie dzieci – jest prosta. Zwyczajnie ich oszukano.

Maciej Belowski

eprasa.pl 66800531b1

Weto Nawrockiego uderza w 2 mln Polaków

Państwo nie jest od wychowywania ludzi

Rozmawia Robert Walenciak

Zaskoczyło pana weto prezydenta Nawrockiego do ustawy o statusie osoby najbliższej?

– Należało się tego weta spodziewać. Wskazywały na to wypowiedzi współpracowników prezydenta, a także postawa jego kancelarii w trakcie prac nad projektem ustawy. Reprezentujący prezydenta RP minister Paweł Szefernaker i minister Barbara Socha wzięli udział w posiedzeniu komisji na etapie sejmowym, ale nie przedstawili konkretnych propozycji, nie byli zainteresowani podjęciem realnego dialogu. W Senacie przedstawiciele prezydenta nawet się nie pojawili, a przecież to najlepsze miejsce do poprawiania ustaw. Więc tak, spodziewaliśmy się tego weta.

W kampanii wyborczej Karol Nawrocki zapowiadał, że ustawę podpisze.

– Owszem, w trakcie kampanii wyborczej deklarował, że jest zainteresowany przyjęciem ustawy o statusie osoby najbliższej. Ponadto w październiku 2025 r. byłem z dużą częścią rządu w Pałacu Prezydenckim, przy okazji posiedzenia Rady Dialogu Społecznego. Tam prezydent z własnej inicjatywy – bo dyskusja dotyczyła bezpieczeństwa energetycznego Polski, zatem spraw odległych od kwestii związanych ze statusem osoby najbliższej – zadeklarował, że jest zainteresowany podpisaniem, wsparciem takiej ustawy. Przyjmowałem tę deklarację jako dobrą monetę.

Jako zachętę do kompromisu?

– Powstał projekt ustawy o statusie osoby najbliższej, bardzo łagodny, uwzględniający różne wrażliwości. W naszej ocenie był to projekt dający to minimum, na które, jak sądziliśmy, zgodzą się i nasi przyjaciele z koalicji, z Polskiego Stronnictwa Ludowego, jak i może zgodzić się pan prezydent. Nie jest tajemnicą, że ten projekt był przedmiotem wspólnej pracy z jednej strony Lewicy, a z drugiej PSL.

DR HAB. SEBASTIAN GAJEWSKI
– podsekretarz stanu w ministerstwie pracy, rodziny i polityki społecznej

PSL reprezentowała Urszula Pasławska. Mówiła, że chodziła do Kancelarii Prezydenta i tam wszystko ustalała.

– Urszula Pasławska była bardzo zaangażowana w pracę nad ustawą o statusie osoby najbliższej. Usiłowała przekonać Pałac Prezydencki, ażeby tę ustawę prezydent podpisał. To się nie udało.

Prawie 2 mln obywateli RP zostało z niczym.

– Realnie ok. 2 mln Polek i Polaków żyje w związkach nieformalnych, partnerskich. To pary, które nie chcą zawierać związku małżeńskiego, i te, które zawrzeć go nie mogą.

Te grupy powiększają się.

– Obserwujemy tendencję – nie tylko w Polsce – że, po pierwsze, coraz mniej osób decyduje się na zawarcie związku małżeńskiego, a po drugie, coraz więcej związków małżeńskich się rozpada. Z różnych powodów, a my nie jesteśmy jako rząd i politycy od oceniania tego. Po prostu Polki i Polacy coraz częściej uważają, że małżeństwo nie jest adekwatną formułą prowadzenia życia rodzinnego. Ale jest i druga grupa – osoby, które związku małżeńskiego zawrzeć nie mogą.

Mówimy o parach jednopłciowych.

– Polska jako jedno z nielicznych państw członkowskich Unii Europejskiej nie daje ram prawnych do funkcjonowania takich par, do zapewnienia im pewnego bezpieczeństwa w codziennym życiu, do rozwiązywania różnych problemów. Z orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wynika, że takie ramy prawne powinniśmy ustanowić. Podpowiada to również zdrowy rozsądek i minimum szacunku do drugiego człowieka.

Tej ustawy nie będzie. Te 2 mln Polaków, których mogła dotyczyć, poczują jej brak?

eprasa.pl 66800531b1

– Ustawa dawała pewne minimum ram prawnych do prowadzenia wspólnego życia. To np. dostęp do informacji medycznej, do podstawowych świadczeń z zakresu zabezpieczenia społecznego, przewidzianych dla osób bliskich.

Prawica bardzo często mówi, że jeżeli ktoś chce komuś dać dostęp do informacji medycznej, może to zrobić, że wiele rzeczy można rozwiązać umowami cywilnoprawnymi. Jest w tym trochę prawdy, ale w większości to kłamstwo, dlatego że nie załatwimy sobie w drodze umowy cywilnoprawnej prawa do renty rodzinnej po zmarłym partnerze czy partnerce. Nie załatwimy sobie prawa do zasiłku pogrzebowego albo możliwości zgłoszenia do ubezpieczenia zdrowotnego tej drugiej osoby, z którą żyjemy. Większość tych spraw, najbardziej podstawowych, życiowych, ustawa załatwiała.

Prezydent stwierdził, że atakuje ona instytucję małżeństwa.

– W tej ustawie, wbrew zarzutom prezydenta, nie ma alternatywy dla małżeństwa, w tym znaczeniu, że status osoby najbliższej nie jest tożsamy ze statusem współmałżonka. Co więcej, zdecydowana większość uprawnień, które przysługują z mocy tej ustawy osobie najbliższej, to uprawnienia, które przysługują w obecnych przepisach prawa współmałżonkom, ale nie tylko im.

To znaczy?

– Dobrym przykładem jest prawo do renty rodzinnej. Tak, to prawda, przysługuje renta rodzinna po współmałżonku. Ale także po rodzicach, i to zarówno dzieciom własnym, jak i dzieciom, które przebywały tylko pod faktyczną opieką. A w niektórych przypadkach przysługuje po dzieciach. Prawo do zasiłku pogrzebowego przysługuje współmałżonkom, ale także innym członkom rodziny. Jak się okazało, ten wariant minimum, dający minimum godności i ram prawnych dla osób pozostających w związkach nieformalnych, to było za dużo dla Pałacu Prezydenckiego.

To pokazuje, że Karol Nawrocki nie widzi w tej sprawie pola do kompromisu.

– I my to przyjmujemy do wiadomości. Ale czy w związku z tym jako lewica mamy skończyć dyskusję o ramach prawnych dla osób, które są w związkach nieformalnych? Oczywiście nie! Dla nas podstawowym celem jest dziś równość małżeńska. Związek małżeński powinien być możliwy zarówno dla par różnopłciowych, jak i jednopłciowych. To jest to, co sprawdza się w 38 państwach na świecie. To rozwiązanie, które nikomu niczego nie zabiera.

Drugą sprawą jest to, co dziś możemy zrobić bez prezydenta Karola Nawrockiego. Dzięki wyrokowi Trybunału Sprawiedliwości UE, dzięki wyrokowi Naczelnego Sądu Administracyjnego i kolejnym orzeczeniom sądów administracyjnych mamy w Polsce możliwość transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa osób tej samej płci do polskiego Rejestru Stanu Cywilnego.

W Warszawie dokonano już 118 transkrypcji.

– Chodzi nam o to, jako lewicy, żeby wszystkie uprawnienia, które wynikają z przepisów prawa dla małżeństw, zostały zagwarantowane dla par jednopłciowych, które zawarły związki małżeńskie za granicą i transkrybowały je do polskiego porządku prawnego. Mnie to się udało zrobić w stosunku do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. ZUS wypłaci wszystkie świadczenia dla takich par jednopłciowych, ale także będzie przyznawał inne uprawnienia, bo to jest chociażby możliwość zgłoszenia do ubezpieczenia zdrowotnego. To także możliwość zgłoszenia takiego współmałżonka do ubezpieczeń społecznych jako osoby współpracującej. Podjąłem też uzgodnienia z innymi organami emerytalno-rentowymi, czyli z KRUS, z Zakładem Emerytalno-Rentowym przy MSW, Wojskowymi Biurami Emerytalnymi i Biurem Emerytalnym Służby Więziennej. Wszystko to jest załatwione.

Katarzyna Kotula rozmawia z ministrem finansów Andrzejem Domańskim o tym, żeby osoby pozostające w związkach małżeńskich z osobą tej samej płci, które transkrybowały akty małżeństwa do polskiego porządku prawnego, mogły korzystać ze wspólnego rozliczania i z innych uprawnień przewidzianych przez przepisy podatkowe.

Są więc dwa obszary: pierwszy to równość małżeńska, drugi – ustawa o statusie osoby najbliższej dotycząca par jednopłciowych, ale też osób, które nie chcą zawrzeć małżeństwa. Są jakby obok tej instytucji.

– Obie grupy nie cieszą się żadną ochroną polskiego porządku prawnego. Możliwość zmiany przekreśliło weto Karola Nawrockiego.

Mimo że dziś jedna trzecia dzieci rodzi się poza związkami formalnymi?

– To prawda. Jeżeli cofniemy się 100 czy 70 lat, jasne było, co to jest rodzina – związek dwóch osób różnej płci, które mają dzieci oraz funkcjonują w bardzo silnych relacjach, często w jednym gospodarstwie domowym, z rodzicami i dziadkami.

Czyli rodzina wielopokoleniowa.

– Dziś ten format jest jednym z alternatywnych. Mamy związki osób różnej płci, które nie mają dzieci i nie chcą ich mieć, związki osób różnej płci, które mają dzieci. Mamy związki osób tej samej płci, które dzieci nie mają, i te, które wychowują dzieci. Mamy rodziny, które funkcjonują w formacie wielopokoleniowym i rodziny w formacie jednopokoleniowym. Dlatego rolą państwa jest stworzenie różnych form prawnych. Nie możemy zamykać oczu na to, że formaty się zmieniają i zmieniają się funkcje rodziny. Musimy oferować obywatelom i obywatelkom takie rozwiązania prawne, które wychodzą naprzeciw ich decyzjom. Państwo nie jest od wychowywania ludzi. A Karol Nawrocki i polska prawica tego nie rozumieją.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Sebastian Gajewski – doktor habilitowany nauk prawnych, profesor uczelni, radca prawny. Przygotował kilkadziesiąt projektów ustaw zgłaszanych w IX kadencji Sejmu RP przez klub parlamentarny Lewicy, m.in. ustawę wprowadzającą rentę wdowią, zmiany w zasiłku pogrzebowym czy projekt ułatwiający nabywanie emerytury minimalnej przez pracujących na śmieciówkach. Wchodzi w skład władz krajowych Nowej Lewicy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66800531b1

Janusz czyste ręce

Poseł Cieszyński powinien siedzieć cicho, a nie zgrywać się na zbawcę Polaków

Andrzej Sikorski

Janusz Cieszyński na posiedzeniu Komisji Zdrowia rozpatrującej wniosek o wotum nieufności dla ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego (w tle). Warszawa, 2 czerwca 2020 r.

Były wiceminister zdrowia w ostatnich tygodniach stał się najaktywniejszym politykiem opozycji. Pielgrzymuje po mediach, ostro recenzując nadużycia obozu władzy w Warszawskim Szpitalu Południowym i w innych placówkach zarządzanych przez polityków KO. Przeprowadza interwencje poselskie, założył nawet skrzynkę kontaktową dla sygnalistów – pracowników systemu opieki zdrowotnej. Jednocześnie obiecuje, że „wypali patologię w publicznych szpitalach rozgrzanym żelazem", w sprawie afery Warszawskiego Szpitala Południowego żąda powołania sejmowej komisji śledczej, a o Dawidzie Kacprzyku mówi, że „jest złodziejem który ukradł co najmniej 600 tys. zł".

Choć Janusz Cieszyński wytyka złodziejstwo w szeregach KO, jednocześnie wpłacił 50 tys. funtów kaucji za wypuszczenie z angielskiego aresztu byłego szefa Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych Michała Kuczmierowskiego, który wyrasta na czołowego pisowskiego złodzieja. Przypomnijmy, że zaufany człowiek premiera Mateusza Morawieckiego wyprowadził z RARS kilkaset milionów złotych, a gdy zaczęło się wokół niego robić gorąco, czmychnął za granicę.

„Czy pan widział lub słyszał jakiekolwiek dowody na to, nawet poszlaki, że ja choćby złotówkę ukradłem z budżetu państwa? Wobec mnie nikt nigdy takich zarzutów nie stawiał, bo ja nigdy na państwowym się nie pasłem w przeciwieństwie do pana Kacprzyka", mówił Cieszyński w rozmowie z dziennikarzem Polskiego Radia.

Nie mamy dowodów na to, że Janusz Cieszyński ukradł choćby złotówkę z budżetu państwa ani nawet, że „pasł się na państwowym", ale jako wiceminister zdrowia nie tylko tolerował naganne praktyki „państwowego wypasu", lecz im wręcz patronował. Dzięki niemu tacy sami cwaniacy jak działacz KO Dawid Kacprzyk, tylko że związani z PiS, zarobili gigantyczne pieniądze.

Cudowne maseczki

Dotarliśmy do niepublikowanych wcześniej akt śledztwa w sprawie afery maseczkowej z czasów pandemii COVID-19. Wiosną 2020 r. Ministerstwo Zdrowia kupiło 120 tys. masek ochronnych od instruktora narciarstwa za ok. 5 mln zł. Janusz Cieszyński, który nadzorował transakcję, nie tylko przepłacił kilkukrotnie za felerny towar, ale nabył go na tzw. gębę, czyli bez zawierania pisemnej umowy!

Jeszcze 26 lutego 2020 r. ówczesny minister zdrowia Łukasz Szumowski drwił z pomysłu noszenia maseczek. „One nie pomagają. One nie zabezpieczają przed wirusem, nie zabezpieczają przed zachorowaniem", mówił z uśmiechem na ustach Szumowski w rozmowie z Robertem Mazurkiem w Radiu RMF FM. Jednak trzy tygodnie później minister radykalnie zmienił zdanie i uznał, że maseczki jednak zabezpieczają przed wirusem.

W tym czasie do Janusza Cieszyńskiego (który w resorcie zajmował się koordynacją zakupów) zgłosił się Łukasz Gunka, instruktor narciarstwa, proponując sprzedaż maseczek. Gunka nie pojawił się przypadkowo, ale z polecenia samego ministra zdrowia. Otóż instruktor narciarstwa znał się z Łukaszem Szumowskim i jego bratem Marcinem. Cieszyńskiemu powinna od razu zaświecić się czerwona lampka, że facet z ulicy bez jakiegokolwiek doświadczenia

eprasa.pl 66800531b1

w handlu artykułami medycznymi proponuje sprzedaż 120 tys. maseczek, towaru wówczas deficytowego. Mało tego! Cieszyński nie zareagował, gdy Centralne Biuro Antykorupcyjne ostrzegło go, aby nie robił interesów z instruktorem narciarstwa, gdyż ten jest osobą niewiarygodną.

CBA miało rację. Guńka chciał łatwo i szybko zrobić interes życia na pandemii i wykorzystał do tego znajomość z Szumowskimi. Gdy spotkał się z Cieszyńskim, oprócz pomysłu na biznes nie miał nic. Dopiero gdy Cieszyński wyraził zainteresowanie kupnem maseczek, zaczął czynić przygotowania, czyli szukać wspólników z kontaktami i pieniędzmi. Do interesu przystąpiło dwóch biznesmenów prowadzących agencję nieruchomości oraz przedsiębiorca zajmujący się m.in. produkcją chłodziarek. To wspólnicy Guńki znaleźli w Chinach firmę produkującą maseczki i wyłożyli pieniądze na ich zakup oraz zorganizowali transport do Polski. Rola instruktora narciarstwa polegała na wynegocjowaniu z Januszem Cieszyńskim odpowiednej ceny maseczek, a potem na pilotowaniu sprawy, to jest utrzymywaniu kontaktu z Ministerstwem Zdrowia aż do sfinalizowania transakcji.

Za 120 tys. maseczek wraz z transportem biznesmeni zapłacili ok. 1 mln zł, a wystawili faktury na prawie 4,8 mln zł (sic!). Podział zysku między wspólnikami był następujący: P.W., który wyłożył pieniądze na towar, dostał 40%, pozostali po 20%. Czyli zarobili na czysto odpowiednio 1,5 mln zł i po 500 tys. zł. Jak zeznał jeden ze wspólników, ponieważ Guńka „nie chciał wejść na VAT", jego księgowy doradził mu, aby założył „firmę na żonę", która nie miała o niczym pojęcia.

Okazało się, że dostarczone maseczki nie spełniały norm, a certyfikat został sfałszowany. Ministerstwo Zdrowia zażądało zwrotu pieniędzy lub wymiany maseczek. Biznesmenom urwał się kontakt z chińskim kontrahentem, a ponieważ nie chcieli zwracać łatwo zarobionych pieniędzy, pośpiesznie je wypłacili z rachunków bankowych w obawie przed ewentualnym zajęciem i ukryli – jak to określili – „w bezpiecznych miejscach".

Wyrolowany przez kolegę narciarza i jego wspólników minister Szumowski zawiadomił prokuraturę o oszustwie. Ta jednak rozgrzeszyła biznesmenów. Okazało się, „że sprzedający przedmiotowe maski zachowali należytą staranność na wszystkich etapach transakcji", sfałszowany certyfikat dostarczył pośrednik z Chin, a tak w ogóle to trefne maski okazały się przydatne, bo „w sytuacji nadzwyczajnej, jaką jest pandemia, każda maska (wobec braku innych) może być stosowana przez personel, nawet gdy nie spełnia ona norm" (sic!). Natomiast w polskim Kodeksie karnym nie ma paragrafu na kumoterstwo i układy towarzyskie, dzięki którym można zbijać fortuny na majątku państwowym i krzywdzie ludzkiej.

Ministerstwo Zdrowia kupowało sztuczne nerki czy pompy infuzyjne, przepłacając nawet 100% rzeczywistej ceny.

Okazyjne respiratory

Janusz Cieszyński, który chce żelazem wypalać patologię w polskich szpitalach, patronował także innej aferalnej transakcji. To były wiceminister zdrowia odpowiada za zawarcie w 2020 r. umowy z handlarzem bronią Andrzejem Izdebskim. Szemrany biznesmen i współpracownik wojskowych służb specjalnych, umieszczony przed laty przez ONZ na czarnej liście za przemyt broni do krajów objętych embargiem, zgłosił się do Cieszyńskiego z ofertą sprzedaży ponad 1,2 tys. respiratorów za ok. 200 mln zł. Izdebski musiał być tak bardzo przekonujący, że już kilka godzin po podpisaniu umowy resort zdrowia przelał na konto jego firmy ok. 160 mln zł zaliczki. Izdebski z umowy się nie wywiązał i nie zwrócił całej zaliczki, a potem uciekł do Albanii, gdzie zmarł w tajemniczych okolicznościach.

Prokuratura uznała jednak, że nie doszło do popełnienia przestępstwa. Zdaniem śledczych niewywiązanie się przez Andrzeja Izdebskiego z umowy „wynikało z zewnętrznych okoliczności, których nie dało się przewidzieć w momencie zawierania umowy". Te zewnętrzne okoliczności to „epidemia COVID-19", a „nawiązywanie relacji handlowych w okresie pandemii było niezwykle trudne i obarczone wyjątkowym ryzykiem, wynikającym również z ogólnie panującego paraliżu gospodarczego i instytucjonalnego, a wręcz całego społeczeństwa". Czytając uzasadnienie o umorzeniu śledztwa, można odnieść wrażenie, że prokurator wcielił się w obrońcę i za wszelką cenę starał się usprawiedliwić działania co najmniej naganne, jeśli nie przestępcze.

Choć afery maseczkowa i respiratorowa były bezczelnym skokiem na państwową kasę, nikt nie poniósł za nie odpowiedzialności. Media informowały też o innych podejrzanych zakupach sprzętu medycznego. Ministerstwo Zdrowia kupowało sztuczne nerki, kardiomonitory, pompy infuzyjne i strzykawkowe, przepłacając nawet 100% rzeczywistej ceny, a dostawcami były firmy krzaki. Testy na koronowirusa kupowane w Chinach, Korei Południowej i Turcji dostarczali pośrednicy – spółki związane z PiS. Jedna z takich spółek to Blirt, której współwłaścicielem i członkiem rady nadzorczej – jak ujawnił Onet – był Jerzy Milewski, doradca prezydenta Andrzeja Dudy i gdański radny PiS.

W sierpniu 2020 r. Łukasz Szumowski i Janusz Cieszyński podali się do dymisji. Choć opinia publiczna nie poznała oficjalnych powodów rezygnacji, jasne było, że chodzi o nadużycia związane z zakupem sprzętu medycznego. Według „Gazety Wyborczej" to Cieszyński był autorem iście szatańskiego pomysłu, aby do tzw. specustawy koronawirusowej wprowadzić zapisy zapewniające bezkarność sprawcom przestępstw z art. 231 i 296 Kodeksu karnego. Dotyczą one nadużycia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego i wyrządzenia szkody majątkowej w obrocie gospodarczym.

Andrzej Sikorski

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/ REPORTER

eprasa.pl 66800531b1

Powstańcy ’44 w PRL

Niewiele powstań w naszych dziejach przyniosło tak doniosłą i trwałą zmianę mentalną

Paweł Siergiejczyk

Na początku sierpnia 1964 r. Maria Dąbrowska zanotowała w dzienniku: „Podobało mi się przemówienie Zenona Kliszki w 20. rocznicę powstania. Starał się być w miarę możliwości obiektywny i przekazał pozdrowienia żołnierskie dowódcy AK, pod którym walczył jego oddział AL-owski”.

Autorka „Nocy i dni”, która przeżyła całą okupację i powstanie warszawskie w swoim mieszkaniu przy ul. Polnej 40, w prywatnych zapiskach nie raz upominała się o upamiętnianie tamtych dni. 19 kwietnia 1948 r., gdy odsłaniano w stolicy Pomnik Bohaterów Getta, Dąbrowska z goryczą pisała: „Nie mam nic przeciwko bohaterom żydowskim. Ale Warszawa nie ma dotąd pomnika swoich powstańców ani dzieci, co walczyły w powstaniu!”.

Taki ton rozżalenia połączonego z bezsilnością dominował u wielkiej pisarki do 1954 r., gdy w 10. rocznicę powstania mogła odnotować, że w tygodniku „Nowa Kultura” Antoni Słonimski ogłosił „prześliczny i wartościowy wiersz będący uczczeniem pamięci powstańców i w ogóle poległych Warszawy”. Ale to było już po śmierci Stalina, gdy powoli następowała w Polsce Ludowej odwilż, która ostatecznie doprowadziła do Października 1956 r. A po tej „polskiej rewolucji bez rewolucji” władzę przejęła ekipa Władysława Gomułki, w której numerem drugim był wspomniany Zenon Kliszko.

O ile sam towarzysz „Wiesław” – w ostatnim okresie okupacji przywódca konspiracyjnej Polskiej Partii Robotniczej – opuścił Warszawę tuż przed wybuchem powstania i przez wyzwolony pod koniec lipca 1944 r. Otwock udał się do Lublina, to Kliszko pozostał w stolicy, kierując strukturami PPR w walczącym mieście. Powstanie przeżył na Żoliborzu jako polityczny zwierzchnik tamtejszego zgrupowania Armii Ludowej, a w momencie kapitulacji powstania przeprawił się z grupą towarzyszy przez Wisłę i również dotarł do Lublina, gdzie od końca lipca funkcjonował Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

O swoich powstańczych przeżyciach Zenon Kliszko nigdy nie zapomniał, a jako prawa ręka Gomułki w latach 1956-1970 wręcz patronował „polityce historycznej” związanej z powstaniem. W 1967 r. ukazała się jego książka „Powstanie warszawskie. Artykuły, przemówienia, wspomnienia, dokumenty” (drugie wydanie dwa lata później). Publikacja ta z jednej strony prezentowała krytyczną ocenę decyzji o wybuchu powstania jako politycznie wymierzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu, ale z drugiej – zawierała cenne, osobiste wspomnienia Kliszki, podkreślające także bohaterstwo żołnierzy AK i ofiarność mieszkańców miasta.

Najnowsza historia Polski jest bardziej skomplikowana niż to, co wmawia dziś Polakom propaganda IPN.

W książkach i filmie

I takie było podejście władz PRL do tradycji powstania i jego uczestników od 1956 r. do końca lat 80. Powstanie istniało w licznych książkach historycznych, które – choć oczywiście cenzurowane – Polacy masowo kupowali i czytali. Wydana po raz pierwszy w 1959 r. monografia „Powstanie warszawskie” gen. Jerzego Kirchmayera czy ukazujące się od lat 60. kolejne prace Władysława Bartoszewskiego utrwalały nie tylko pamięć, ale i rzetelną wiedzę o tamtych wydarzeniach.

Powstanie pojawiało się również w polskiej kulturze, począwszy od wydanej już w 1957 r. powieści „Kolumbowie. Rocznik 20” Romana Bratnego (który sam walczył w powstaniu jako żołnierz AK), sfilmowanej jako serial przez Janusza Morgensterna w 1970 r., poprzez najważniejsze filmy tzw. szkoły polskiej („Kanał” Andrzeja Wajdy” z 1956 r., „Eroica” Andrzeja Munka” z 1957 r.), aż po spektakle teatralne, realizowane zresztą nie tylko w Warszawie. O jednym z takich spektakli pisała Maria Dąbrowska w dziennikach z lipca 1964 r. Gościnnie wystawiona w stolicy sztuka Bohdana Drozdowskiego z 1962 r. „Ballada polska” z Teatru im. Żeromskiego w Kielcach tak została oceniona przez pisarkę: „Dużo dobrej intencji, stosunkowo mało wypaczania prawdy”.

Szczególną rolę w integrowaniu środowisk akowskich z tymi spod znaku Armii Ludowej odgrywał Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, którego prezesem od 1964 r. był gen. Mieczysław Moczar, w czasie wojny jeden z najważniejszych dowódców Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, po Październiku wiceminister, a następnie minister spraw wewnętrznych. Zwykle podkreśla się, że ZBoWiD stanowił dla

eprasa.pl 66800531b1

Losy płk. Jana Mazurkiewicza pokazują, że historia Polski jest bardziej skomplikowana, niż wmawia nam to propaganda IPN.

Moczara narzędzie do budowania własnej frakcji – tzw. partyzantów – która miała go wynieść do władzy po starzejącym się Gomułce. To wszystko jednak domysły, bo kariera polityczna generała nigdy nie zaszła tak daleko. Natomiast faktem jest, że jedyna oficjalna organizacja kombatancka w PRL właśnie dzięki Moczarowi szczególnie mocno dbała o dowartościowywanie tradycji akowskiej, w tym związanej z powstaniem warszawskim.

Pierwszoplanowym przedstawicielem tej tradycji był płk Jan Mazurkiewicz, wiceprezes ZBoWiD od 1964 r., w powstaniu dowódca zgrupowania „Radosław", w skład którego wchodziły m.in. harcerskie bataliony „Zośka" i „Parasol". Mazurkiewicz to postać niezwykła, jej losy dobitnie pokazują, że historia Polski jest bardziej skomplikowana niż to, co wmawia dziś Polakom IPN-owska propaganda. Lwowiak, żołnierz I Brygady Legionów Piłsudskiego i Polskiej Organizacji Wojskowej, w II RP oficer wywiadu wojskowego prowadzący (pod przykrywką inspektora Związku Strzeleckiego w Wilnie) działalność kontrwywiadowczą przeciwko ZSRR, podczas okupacji komendant główny Tajnej Organizacji Wojskowej i Kedywu (Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK).

Po upadku powstania kontynuował działalność konspiracyjną, jednak aresztowany w pierwszą rocznicę wybuchu powstania przez UB stanął na czele Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK, zwracając się do byłych akowców z apelem o ujawnienie się i skorzystanie z amnestii. Choć przez najbardziej nieprzejednanych żołnierzy podziemia został wówczas uznany za zdrajcę, jego apelu posłuchało ok. 50 tys. akowców.

Prawica wykorzystywała i nadal wykorzystuje bohaterską pamięć sierpniowego zrywu do własnych celów.

„Radosław" i Wilhelmi

W pierwszych latach po wojnie „Radosław" aktywnie działał na rzecz upamiętnienia poległych powstańców, ale pomagał także żyjącym, organizując wsparcie dla nich, a nieraz nawet interweniując u władz, gdy byli represjonowani. Jednak w 1949 r. sam został aresztowany, a potem – po ciężkim śledztwie – skazany na dożywotnie więzienie. Wyszedł na wolność i został zrehabilitowany dzięki wiosennej amnestii z 1956 r. Funkcję wiceprezesa ZBoWiD pełnił aż do śmierci w maju 1988 r. Wcześniej, bo w 1980 r., został awansowany do stopnia generała (poprzedni awans – na pułkownika – otrzymał w momencie kapitulacji powstania).

W ostatnich latach życia wchodził w skład Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Bohaterów Powstania Warszawskiego, jednak nie doczekał odsłonięcia samego monumentu, co nastąpiło 1 sierpnia 1989 r. – w symbolicznym momencie przechodzenia z PRL do III RP. W jego pogrzebie na wojskowych Powązkach uczestniczyła cała czołówka ówczesnej władzy z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele.

Dziesięć lat wcześniej, w marcu 1978 r., na tym samym cmentarzu żegnano inną nieszablonową postać z dziejów Polski Ludowej. Niespodziewana śmierć w katastrofie lotniczej w Bułgarii sprawiła, że Janusz Wilhelmi nie został oficjalnie ministrem kultury i sztuki, choć był przymierzany do tej funkcji w ekipie premiera Piotra Jaroszewicza (wcześniej został wiceministrem i szefem Komitetu Kinematografii).

Jak zapisał w swoich dziennikach Mieczysław Rakowski: „Pogrzeb miał niezwykle uroczystą oprawę. Rada Państwa nadała Januszowi pośmiertnie Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą, nad grobem przemawiał Jaroszewicz, który sławił zmarłego jako największego syna naszego narodu (Żeromski przy nim to chłopiec na posyłki) i żarliwego komunistę. Koń by się uśmiał. Wilhelmi był wszystkim, tylko nie żarliwym komunistą. Syn sanacyjnego

eprasa.pl 66800531b1

pułkownika, w czasie okupacji walczył w szeregach NSZ, po wojnie przez parę dobrych lat był zażartym antykomunistą. No, ale teraz to już wszyscy są u nas żarliwymi i wielkimi komunistami".

Złośliwy jak zawsze Rakowski nie dodał, że Janusz Wilhelmi w wieku 17 lat walczył jako starszy strzelec w powstaniu warszawskim. I tak jak wielu jego rówieśników po wojnie poszedł na studia – na stołeczną polonistykę, gdzie zaprzyjaźnił się z czołówką późniejszych opozycjonistów, m.in. Janem Józefem Lipskim, Zdzisławem Najderem i Januszem Szpotańskim. Z czasem jednak wybrał karierę w strukturach władzy: w 1960 r. wstąpił do PZPR, został publicystą „Trybuny Ludu", potem redaktorem naczelnym warszawskiego tygodnika „Kultura", a na początku lat 70. wiceprzewodniczącym Komitetu ds. Radia i Telewizji. We wspomnieniach ludzi, którzy go znali, uchodził za bardzo inteligentnego cynika i być może, gdyby nie nagła śmierć, zrobiłby w PRL wielką karierę. Jego wojenna i tużpowojenna przeszłość nie miała na to wpływu.

Krzyż i publikacje

Ostatnia dekada Polski Ludowej przyniosła największe od czasu wojny rozluźnienie „polityki historycznej" w zakresie najnowszej historii Polski. Ogromna liczba publikacji – zarówno wspomnieniowych, jak i naukowych – docierała do coraz większej części społeczeństwa, a sama władza chętnie odwoływała się do ogólnonarodowych tradycji patriotycznych, szczególnie wojskowych, tym bardziej że w latach 1981-1989 na czele państwa stał przecież gen. Jaruzelski. Poczesne miejsce w tej „polityce historycznej" zajmowało powstanie warszawskie, którego sierpniowe rocznice w latach 80. obchodzono nie tylko oficjalnie, ale i z wielkim patosem, chętnie sięgając po licznych żyjących jeszcze uczestników tamtej walki.

45 lat temu, 3 lipca 1981 r., Sejm PRL uchwalił ustawę o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego – jak napisano w preambule – „w hołdzie uczestnikom Powstania Warszawskiego w 1944 r. jako patriotycznego, zbrojnego zrywu mieszkańców naszej stolicy Warszawy, miasta niepokonanego oraz dla zachowania w pamięci wszystkich Polaków męstwa, odwagi i wkładu Powstańców do walki z niemieckim okupantem o odzyskanie niepodległości".

Krzyż miał być przyznawany „żołnierzom wszystkich formacji powstańczych oraz żołnierzom innych formacji biorących czynny udział w walce powstańczej", „członkom Wojskowej Służby Kobiet, powstańczej służby zdrowia, prasy i informacji powstańczej oraz pozostałych powstańczych służb pomocniczych", a także „innym osobom wspomagającym bezpośrednio czyn powstańczy".

Pierwsze nadanie Warszawskiego Krzyża Powstańczego odbyło się 1 sierpnia 1981 r., w 37. rocznicę wybuchu powstania, podczas uroczystości w sali stołecznej operetki przy ul. Nowogrodzkiej. Udekorowano wówczas stu uczestników powstania, wśród których znaleźli się m.in. gen. Jan Mazurkiewicz „Radosław", gen. Franciszek Kamiński – komendant główny Batalionów Chłopskich, płk Maria Wittek – dowódca Wojskowej Służby Kobiet, gen. Edwin Rozłubirski – zastępca dowódcy batalionu AL „Czwartaków", płk Antoni Sanojca – wiceszef sztabu Komendy Głównej AK, płk Henryk Leliwa-Roycewicz – dowódca batalionu AK „Kiliński", medalista olimpijski w jeździectwie w 1936 r., Helena Jaworska-Werner – łączniczka w Sztabie Głównym AL, w latach 50. ostatnia przewodnicząca Związku Młodzieży Polskiej, znany piosenkarz Mieczysław Fogg, pisarz i dokumentalista wojennych losów Lesław Bartelski, a nawet ks. Stanisław Tworkowski, powstańczy kapelan, przed wojną znany z poglądów endeckich. Na sali panował zatem pełny pluralizm polityczny i światopoglądowy – od komunistów po katolików, od piłsudczyków, przez ludowców, po narodowców.

Kolejna uroczystość odbyła się 29 listopada 1981 r., gdy w Sali Zwycięstwa Muzeum Wojska Polskiego odznaczono krzyżem byłych żołnierzy batalionu „Parasol". Odtąd co roku z okazji rocznicy wybuchu powstania dekorowano kolejnych jego uczestników. Do 1989 r. robiła to Rada Państwa PRL, której przewodniczył najpierw prof. Henryk Jabłoński, a potem gen. Wojciech Jaruzelski. Tych odznaczeń nikt wówczas nie kwestionował ani nie odmawiał ich przyjmowania. Dla wszystkich było

Zdecydowana większość uczestników powstania po 1945 r. odrzuciła koncepcję kontynuowania walki zbrojnej z nową władzą.

Pisarz katolicki Jan Dobraczyński miał odegrać ważną rolę w życiu publicznym Polski lat 80. Maj, 1967 r.

eprasa.pl 66800531b1

oczywiste, że polskie państwo honoruje tych, którzy walczyli o jego wolność w 1944 r.

Dobraczyński i Gieysztor

Z pierwszej grupy kawalerów Warszawskiego Krzyża Powstańczego dwóch miało odegrać eksponowane role w życiu publicznym Polski lat 80. XX w. Pierwszym był czołowy pisarz katolicki Jan Dobraczyński, przed wojną i w czasie okupacji działacz Stronnictwa Narodowego, po wojnie związany ze Stowarzyszeniem PAX. Jako oficer Narodowej Organizacji Wojskowej kierował w powstaniu Biurem Informacji i Propagandy AK na Starym Mieście i Mokotowie. Dwa razy był posłem na Sejm PRL: w latach 1952-1956 i 1985-1989. Po wprowadzeniu stanu wojennego został przewodniczącym Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, który skupiał wszystkie organizacje i środowiska popierające ówczesną władzę. W październiku 1988 r. Wojciech Jaruzelski w imieniu Rady Państwa awansował go do stopnia generała brygady w stanie spoczynku.

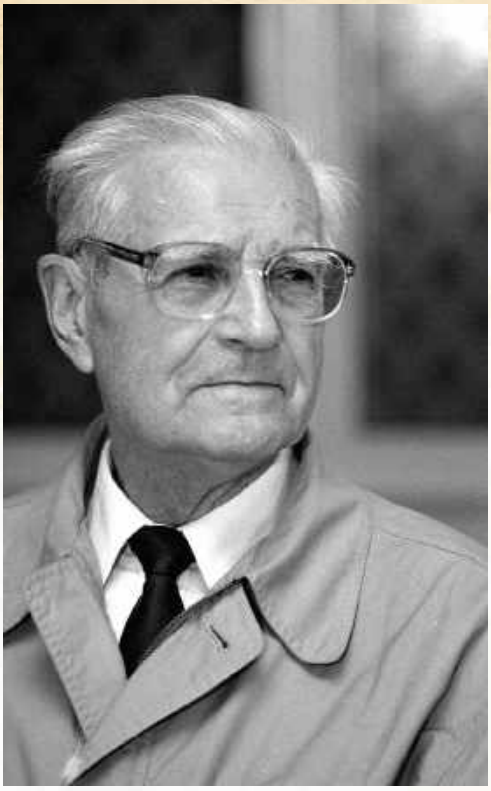

W latach 80. prof. Aleksander Gieysztor został dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie, a także prezesem PAN. Warszawa, 1996 r.

Drugą interesującą postacią był prof. Aleksander Gieysztor, znany historyk średniowiecza, po wojnie wieloletni dyrektor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego (1955-1975). W okresie okupacji pracował w strukturach Biura Informacji i Propagandy KG AK, gdzie podczas powstania kierował wydziałem informacji. W 1979 r. prof. Gieysztor został dyrektorem odbudowanego Zamku Królewskiego w Warszawie, a w 1980 r. prezesem Polskiej Akademii Nauk. Był też członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, w 1989 r. zaś przewodniczył obradom plenarnym Okrągłego Stołu jako człowiek zawsze bezpartyjny, a przy tym cieszący się zaufaniem zarówno strony rządowej, jak i opozycyjnej.

Takich życiorysów były setki albo i tysiące: najczęściej młodzi uczestnicy sierpniowego zrywu, którzy pogodzili się z powojenną rzeczywistością i w nowej Polsce poukładali sobie życie, swoją pracą i talentami przykładali się do odbudowy życia narodowego w każdej dziedzinie – gospodarczej, kulturalnej, naukowej, a nawet politycznej. W Polsce Ludowej bowiem dawnych powstańców można było spotkać we wszystkich środowiskach politycznych: od PZPR, ZSL, SD czy PAX po Solidarność, KOR i KPN. Wbrew IPN-owskiej propagandzie dawni akowcy nie byli w PRL prześladowani za swoją wojenną przeszłość. Poza okresem stalinizmu, czyli latami 1948-1956, bycie żołnierzem AK nie narażało na żadne represje, im zaś dłużej trwał tamten system, tym większą estymą cieszyli się autentyczni kombatanci wojenni zarówno ze strony władzy, jak i społeczeństwa. III RP nie musiała przywracać im szacunku, a Polakom – prawdziwej historii powstania, bo robiono to jeszcze na długo przed 1989 r.

Natomiast w ostatnim ćwierćwieczu dominująca w „polityce historycznej" prawica wykorzystywała i nadal wykorzystuje bohaterską pamięć sierpniowego zrywu do własnych celów. Wszak obchody 60. rocznicy powstania w 2004 r., których centralnym punktem było otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego, faktycznie zainaugurowały kampanię prezydencką Lecha Kaczyńskiego i wydatnie pomogły PiS rok później wygrać podwójne wybory.

Potem zaś IPN pod wodzą Janusza Kurtyki odebrał powstańczej tradycji lokalny, stołeczny charakter, narzucając swoim oddziałom w całej Polsce organizowanie nibylokalnych uroczystości z jednakowym, skrajnie antykomunistycznym i antysowieckim przesłaniem. Paradoksalnie jednak w następnych latach ten sam IPN i patronująca mu prawica „przestawiły zwrotnicę" na rzecz kultu powojennych „żołnierzy wyklętych", co sprawiło, że pamięć o powstaniu stała się znacznie mniej istotna.

Tym bardziej więc warto przypominać, że zdecydowana większość uczestników powstania – z pułkownikiem „Radosławem" na czele – po 1945 r. odrzuciła szaloną koncepcję kontynuowania walki zbrojnej z nową władzą i włączyła się w legalną, twórczą i konstruktywną pracę zdecydowanej większości narodu w jedynym możliwym wtedy dla Polaków państwie. Na tym też powinna polegać główna lekcja historii wyniesiona z sierpniowego zrywu i jego tragicznych skutków. Mało bowiem mieliśmy w naszych dziejach powstań, które przyniosłyby tak doniosłą i trwałą zmianę mentalną.

IPN i prawica „przestawiły zwrotnicę" na rzecz kultu „żołnierzy wyklętych", więc pamięć o powstaniu stała się mniej istotna.

Paweł Siergiejczyk

FOT. LESZEK KASPRZAK/FORUM, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 66800531b1

POLECAMY KSIĄŻKI PRZEGLĄDU

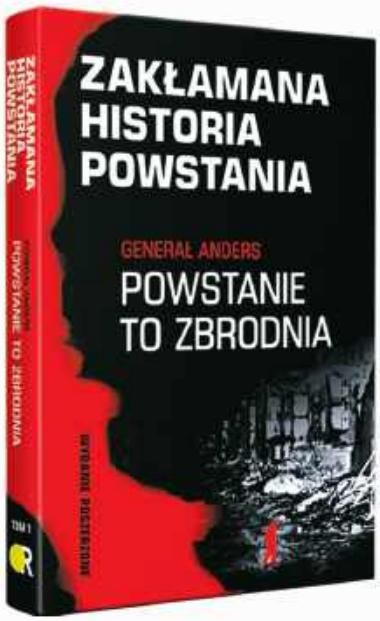

GEN. WŁADYSŁAW ANDERS

„Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię..."

Fakty, dokumenty, relacje świadków

sklep.tygodnikprzeglad.pl

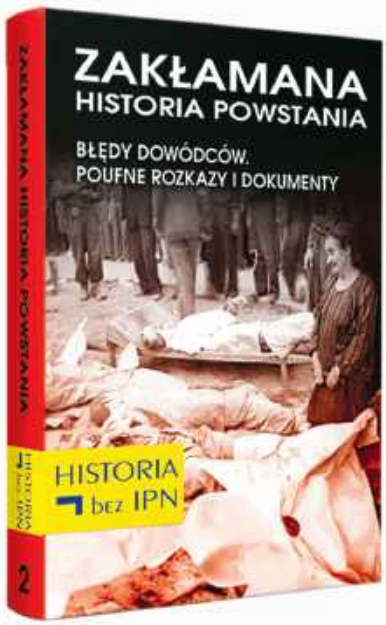

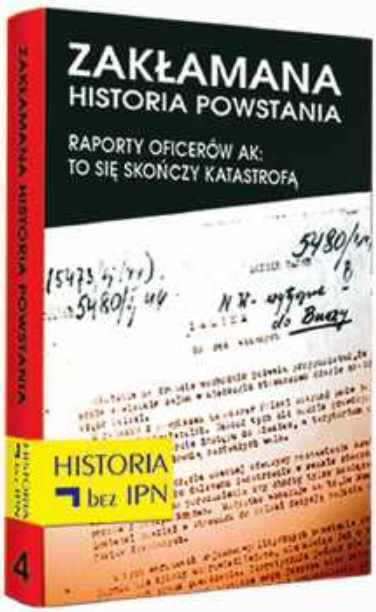

Przegląd

eprasa.pl 66800531b1

Z Galicji

Jan Widacki

Obyś był po polskich sądach ciągany!

Jak zapewniał mnie przyjaciel, polski Białorusin, tytułowe zdanie było przez Białorusinów przed wojną, a nawet później uważane za jedno z najcięższych przekleństw. Może dla prostych Białorusinów, w dodatku nieznających języka polskiego, proces przed polskim sądem był koszmarem, z którego niewiele rozumieli, i w konsekwencji, nie umiejąc skutecznie bronić swoich racji, przegrywali?

Od kilkudziesięciu lat występuję jako adwokat przed sądami i czasem myślę, choć myśl tę odganiam od siebie jak umiem, że kto wie, czy ci prości ludzie nie mieli czasem racji. Te swoje rozważania zamierzam nawet kiedyś opisać, mam już nawet tytuł książki: „Proszę wiać! Sąd idzie!". Taki będzie! Jeśli tę książkę kiedyś napiszę, to na pewno nie wcześniej niż po zakończeniu praktyki adwokackiej. Ale i wtedy nie będzie to bezpieczne. Synowa wykonuje zawód adwokata, a jej przejścia na emeryturę nie doczekam. Co gorsza, mój wnuk, dziś w klasie maturalnej, zapowiedział niedawno, że wybiera się na prawo. W trosce o prawnicze kariery młodszych pokoleń rodziny chyba nigdy nie napiszę tej książki. „Napisz pod pseudonimem", zachęca mnie jeden z przyjaciół. Jeszcze pomyślę.

Dlaczego przed polskim sądem trzeba wiać? Nie chodzi o to, by wiać w sensie dosłownym, np. za granicę, jak eksminister sprawiedliwości i eksprokurator generalny, niedawno jeszcze udający w Polsce szeryfa. Chodzi o to, by od sądu trzymać się z daleka. Jeśli coś da się załatwić bez sądu, trzeba uczynić wszystko, aby tak to zrobić. W sprawach cywilnych, nawet tych wydawałoby się najprostszych, na prawomocny wyrok trzeba czekać kilka lat, a jak już ktoś cierpliwie doczeka, często będzie miał wyrok prawomocny, tyle że nieegzekwowalny. Gdyby sąd działał, jak należy, a później jak należy działał komornik, nie byłyby potrzebne firmy windykacyjne, często działające na granicy prawa. Nikt też do egzekucji długu nie angażowałby gangsterów.

W sprawach karnych jest jeszcze gorzej. Wedle różnych badań pomyłki sądowe (jak ta, której ofiarą padł Komenda i niewinnie przesiedział w kryminale niemal 20 lat!) zdarzają się częściej, niż mogłoby się wydawać. Doświadczeni adwokaci broniący w sprawach karnych uważają, że w procesach poszlakowych o zabójstwo skazywani są pół na pół: winni i niewinni. Swoją drogą, o niewinnie skazanym Komendzie zapisano tony papieru, nakręcono nawet film fabularny. Nikt jednak nie sfinansował grantu, w ramach którego dokładnie przeanalizowano by przebieg tego procesu, sprawdzono, jak to możliwe, że sąd dwukrotnie uznał go za winnego zabójstwa, że on sam w śledztwie przyznał się do winy (i to chyba więcej niż jeden raz), że obciążały go rzekomo wyniki ekspertyz. Jak to wszystko było możliwe? Kto zawinił? Pojedynczy ludzie czy może system wymiaru sprawiedliwości kryminalnej? A może naprawdę niski standard dowodzenia winy i niski pułap jej uznawania?

Co tak naprawdę dla sądu oznacza „udowodnione"? Czy nie za często za udowodnione uważa się to, w co uwierzył sąd? Kiedyś najczęstszym biegłym, który stawał w sądzie, był medyk sądowy. Medycyna sądowa, matka wszystkich nauk sądowych, towarzyszy procesowi karnemu od kilku wieków. Wypracowała standardy badań i opiniowania. Dziś najczęstszym biegłym w sprawach karnych jest biegły psycholog. Zwykle opiniuje on wraz z biegłymi psychiatrami na temat poczytalności podejrzanych lub oskarżonych. Częściej uczestniczy w przesłuchaniach świadków i tu zazwyczaj wypowiada się w kwestii winy i wiarygodności zeznania. A przecież wina i wiarygodność nie są kategoriami psychologicznymi i psycholog nie ma nawet narzędzi do tego, by je badać. O ile doświadczony medyk sądowy słuchany przed sądem potrafi na zadane mu pytanie odpowiedzieć „nie wiem" lub „mogło być tak albo tak. A jak było, tego jako biegły nie wiem", to przez kilkadziesiąt lat praktyki w sądach nie spotkałem jeszcze biegłego psychologa, który na dowolne pytanie nie odpowiedział kategorycznie i z pełnym przekonaniem. Tak jakby psychologia była fizyką lub matematyką.

Pojawiają się przed sądami różni specjaliści od „mowy ciała", od „od oceny wiarygodności zeznań świadków", od „psychologii śledczej", od „profilowania". Rozmaici szarlatani i maniacy. Jest np. taka pani magister psychologii, która w chwilach wolnych od udzielania porad parom małżeńskim, co jest jej głównym zajęciem, stosuje stworzoną przez siebie metodę, którą nazwała dość ekstrawagancko, powiedzmy PYTON – jej użycie pozwala rzekomo niezawodnie odróżnić wypowiedź prawdziwą od kłamliwej. Ta opisana nie w żadnym „Nature" czy „Science", ale na Facebooku metoda PYTON tak zachwyciła Prokuraturę Krajową, że powołuje tę panią w charakterze biegłej w poważnych procesach! A na podstawie badań śladów zapachowych (osmologia) na przełomie lat 90. i dwutysięcznych skazywano na długoletnie więzienia, zanim okazało się, że to metoda zupełnie nieprzydatna w procesie karnym. Teraz nikt już nie skazuje na podstawie wskazań psa. Ale ile osób skazanych na podstawie takich dowodów odbywa jeszcze karę? Policzył to ktoś?

Można by tak wyliczać długo, a wyliczankę wspierać przykładami. Zarówno prokuratura, jak i sądy w Polsce wymagają głębokiej reformy. Wątpię, by była polityczna wola, aby za taką prawdziwą reformą się opowiedzieć. Naprawdę: proszę wiać! Sąd idzie! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66800531b1

Zgorszenie w Markowej

Reakcje na felieton prof. Andrzeja Romanowskiego na temat Żydów i rodziny Ulmów

Paweł Dybicz

FELIETON

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk chłopski. I. Zgorszenie w Markowej

Martowanie naszyjnic po egzekucji Ulmów wymordowali 24 Żydów, których dotąd ukrywali

Felieton prof. Andrzeja Romanowskiego „Tryptyk chłopski. I. Zgorszenie w Markowej" („Przegląd" nr 30/2026) wywołał lawinę komentarzy i wpisów na Facebooku. Tylko do piątku było ich ponad 2 tys. Oczywiście ich poziom merytoryczny jest różny, nie brakuje też obelg wobec autora felietonu.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że matka prof. Romanowskiego była z domu Bytnar, a jej ojciec Jakub był kuzynem Stanisława, ojca Jana Bytnara „Rudego", o czym szerzej można przeczytać w książce „Życie pełne historii", dostępnej w sklepie „Przeglądu".

Prof. Romanowski podjął ważny temat – prezentowania (a raczej ukrywania) przeszłości, w tym wypadku wsi Markowa, Żydów, rodziny Ulmów i ich sąsiadów.

W reakcji na felieton odezwał się nawet IPN, który zarzucił autorowi głoszenie nieprawdy, przywołując prace Mateusza Szpytmy, faworyta Karola Nawrockiego na fotel prezesa. Szpytma na rodzinie Ulmów zbudował swoją pozycję w instytucie. Wierzy tylko w wybrane źródła i dokumenty, a deprecjonuje ustalenia innych, w tym badaczy z dorobkiem naukowym.

Poniżej publikujemy wpisy odnoszące się zarówno do felietonu, jak i do naszej historii, które można określić jako reprezentatywne, pokazujące różne poglądy i postawy komentujących.

•

Beata Michajłow:

Pana Romanowskiego chyba poniosła fantazja literacka albo w jasny sposób wpisuje się w nurt antypolonizmu, od jakiegoś czasu toczącego tzw. elity. Otóż mord na Żydach przez Markowian nigdy nie miał miejsca. Nie bardzo wierzę, by człowiek wykształcony miał tak duże braki w elementarnej wiedzy lub nie sprawdził faktów, zanim cokolwiek opublikuje. Domyślam się, że pan coś słyszał o obławie, jaką Niemcy urządzili w Markowej, szukając ukrywających się Żydów, ale miało to miejsce jakieś półtora roku przed mordem na rodzinie Ulmów. Jeżeli chodzi o samą Markową, to może trudno sobie to wyobrazić, ale po śmierci Umów mieszkańcy nie dali się zastraszyć, a dzięki ich bohaterskiej postawie uratowano 21 Żydów.

Domyślam się, że pan Romanowski oparł swoją tezę jedynie na relacjach Jehudy Ehrlicha, którego zeznania można uznać za klasyczny przykład zlania się w pamięci różnych wydarzeń, gdyż na prawdziwość jego zeznań nie ma nawet najmniejszych dowodów. Ehrlich nie był naocznym świadkiem tych wydarzeń, a znał je tylko ze słyszenia, więc nie powinno budzić zdziwienia, że jego słowa nie mają potwierdzenia w faktach.

•

Zofia Ska:

Żydzi żyli obok Polaków wiele wieków i mogło to trwać. Komuś to nie pasowało. Tworzy się dziwne ideologie, aby niszczyć dobro. W tym poście (dotyczącym felietonu prof. Romanowskiego – przyp. red.) pokazano zarówno pomoc, jak i zło wywołane strachem. Gdyby nie było wyroku na rodzinie Ulmów, nie byłoby dalszych ofiar. Dobrze się osądza, gdy nie musi się przechodzić przez takie piekło. Zawsze są jakieś nieporozumienia, ale jeśli dąży się do zgody, nie ma jątrzenia i strachu, to człowiek jest człowiekiem. To politycy i fanatycy zamknięci w swoich szklanych bańkach, pewni swojej nieomylności niszczą porządek świata.

•

Renata Bieszk:

Polacy mają na sumieniu wiele ciemnych plam i nie są lepsi od innych narodów. Wszędzie żyją ludzie słabi, głupi, tchórzliwi i podli.

eprasa.pl 66800531b1

•

Barbara Kasarab:

My, Polacy, lubimy się chwalić sławnymi ludźmi, którzy coś osiągnęli swoją mądrością, zdolnościami, bohaterstwem, dobrymi uczynkami. Tylko że ci ludzie to tak naprawdę są jednostki – dlatego tak łatwo ich wyróżnić z całej masy głupoty, podłości i tchórzostwa. Nie jesteśmy „wspaniałym, mądrym narodem", jak staramy się to sobie wmawiać. Po prostu są jednostki, które się wyróżniają i którymi lubimy się chwalić, mając z nimi niewiele wspólnego.

•

Bohdan Piętka:

No a co z Francją Vichy, która lekką ręką wyłapała i wysłała na śmierć 75 tys. Żydów, w 60% pochodzących z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym z Polski? To nie byli „szmalcownicy" tylko Państwo Francuskie (taka była oficjalna nazwa) – jego administracja i jego policja. Nadgorliwość administracji i policji francuskiej w rozwiązywaniu „kwestii żydowskiej" przerastała oczekiwania niemieckie. Mało tego – Niemcy nie byliby w stanie samodzielnie dokonać deportacji i zagłady Żydów z Francji, ponieważ nie dysponowali we Francji znaczącymi siłami policyjnymi. Byli zdani na policję francuską i dobrą wolę reżimu Vichy. Tej woli Pétainowi i Lavalowi nie zabrakło.

Ktoś o tym dzisiaj pamięta? Ktoś o tym na okrągło mówi? Ktoś każe Francji się kajać? Nie słyszałem. Większość funkcjonariuszy Francji Vichy uczestniczących w zagładzie Żydów nigdy nie została pociągnięta do odpowiedzialności. Ani de Gaulle, ani Giscard d'Estaing, ani Mitterrand do tego nie dopuścili.

•

Alicja Alda:

Twierdzenie, że mieszkańcy Markowej dzień po zbrodni na Ulmach zamordowali 24 ukrywanych przez siebie Żydów jest zniekształceniem i nadmiernym uogólnieniem faktów historycznych, niemającym oparcia w dokumentach źródłowych.

Wydarzenia z 24 marca 1944 r.:

24 marca 1944 r. niemieccy żandarmi zamordowali Józefa i Wiktorię Ulmów, ich dzieci oraz ośmioro ukrywanych przez nich Żydów (z rodzin Szallów i Goldmanów). Zbrodnia ta wywołała ogromną falę strachu we wsi przed niemiecką odpowiedzialnością zbiorową.

Co stało się po egzekucji?

Brak masowego mordu przez mieszkańców. Badania historyczne (m.in. dr. hab. Mateusza Szpytmy) nie potwierdzają, aby mieszkańcy Markowej („nazajutrz") w sposób zorganizowany wymordowali 24 Żydów.

Żydzi, którzy przeżyli w Markowej:

W samej Markowej mimo niemieckiego terroru przetrwało do końca wojny co najmniej 21 Żydów, ukrywanych przez pięć innych polskich rodzin (m.in. rodziny Szylarów, Cwynarów, Barów, Przybylaków i Weltzów).

Los osób ukrywających się w polach:

Po zbrodni na Ulmach część Żydów ukrywających się na własną rękę w ziemiankach, na polach i w lasach wokół wsi została odnaleziona i zamordowana przez Niemców lub policję granatową. Dochodziło też do tragicznych incydentów wynikających z panicznego strachu przed niemieckimi rewizjami i pacyfikacją wsi. Liczby i okoliczności te są jednak zupełnie inne, niż sugeruje uproszczona teza z cytatu.

•

Konrad Prośniak:

Za wszystkie zbrodnie na Żydach dokonane w latach II wojny światowej odpowiadają Niemcy, bo to oni sprawowali na terenie Polski władzę administracyjną i sądowniczą. Wszelkie odszkodowania powinni wypłacić tylko i wyłącznie Niemiaszki. ■

Książka PRZEGLĄDU

Autobiograficzny wywiad rzeka, w którym Andrzej Romanowski opowiada o swoim życiu, pracy naukowej i publicystycznej oraz wydarzeniach, których był świadkiem i uczestnikiem.

79 zł

Dostępna także w formie e-booka

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 66800531b1

Podrobiony horyzont

Według NASK TikTok może zacierać fakty niewygodne dla Chin

Kornel Wawrzyniak

Czy TikTok pokazuje użytkownikom rzeczywistość, czy raczej jej starannie wyselekcjonowaną wersję? Na to pytanie próbowali odpowiedzieć eksperci Ośrodka Analizy Dezinformacji NASK, którzy prześledzili niemal 10 tys. materiałów dotyczących sześciu tematów szczególnie drażliwych dla władz w Pekinie. Badacze wcielili się w rolę nowych użytkowników platformy, pozbawionych historii wyszukiwań i wcześniejszych preferencji, by sprawdzić, jaki obraz Chin otrzymują na starcie. Celem było ustalenie, czy algorytm prezentuje neutralne informacje, czy też subtelnie kieruje odbiorców ku określonym narracjom.

Analitycy Ośrodka Analizy Dezinformacji przez trzy miesiące sprawdzali, jakie treści na TikToku trafiają do osób rozpoczynających korzystanie z platformy. Zakładając sześć nowych kont, przeanalizowali materiały w języku polskim i angielskim dotyczące najważniejszych tematów związanych z polityką Chin, takich jak sytuacja Ujgurów w Sinciangu, Tybet, Tiananmen, Tajwan czy prawa człowieka. Wnioski z badania znalazły się w raporcie „Manipulacja algorytmami: Chiny w oczach polskich użytkowników platformy TikTok", zaprezentowanym 21 lipca.

– Zdecydowaliśmy się na badanie metodą „podróży użytkownika", ponieważ chcieliśmy zobaczyć TikToka dokładnie tak, jak widzi go zwykły internauta. Nie interesowały nas deklaracje platformy, lecz treści, które faktycznie rekomenduje w odpowiedzi na konkretne zapytania – mówi Patrycja Krzyśpiak, analityczka Ośrodka Analizy Dezinformacji NASK i współautorka badania.

Grunt to elastyczność

– Wnioski z badania pokazują, że TikTok stosuje odmienne strategie doboru treści w zależności od tematu. Nie chodzi jednak wyłącznie o działanie jednego algorytmu. To pytanie o to, kto i w jaki sposób kształtuje obraz świata, który oglądają miliony użytkowników – podkreśla Antoni Mazek, analityk OAD, również współautor raportu.

Najwyraźniej było to widać w przypadku Sinciangu. To tu badacze odnotowali największy udział treści przedstawiających Chiny w korzystnym świetle – niemal 59% analizowanych materiałów miało charakter prochiński. W rekomendowanych filmach region jawił się jako nowoczesna, spokojna i dynamicznie rozwijająca się część kraju, w której Ujgurzy żyją w harmonii i dobrobycie. Obraz ten budowały przede wszystkim relacje podróżnicze oraz materiały influencerów przekonujących, że pokazują odbiorcom „prawdziwe Chiny", odmienne od tych przedstawianych przez zachodnie media.

Podobną tendencję zaobserwowano w treściach dotyczących Tybetu (44,5%) i praw człowieka w Chinach, gdzie materiały prochińskie stanowiły 35% analizowanych wyników. Inaczej wyglądała sytuacja w przypadku masakry na Placu Tiananmen. Co ciekawe, tu dominowały treści krytyczne wobec władz Chin – 76,6% zasobów. Zdaniem badaczy może to być przykład wentylu bezpieczeństwa – strategii mającej tworzyć wrażenie swobody wypowiedzi i pluralizmu opinii.

W przypadku Tajwanu przeważały treści neutralne (92%). Dominowały ciekawostki, informacje turystyczne, materiały prezentujące kulturę, architekturę i przyrodę wyspy. Tematy polityczne pojawiały się sporadycznie. Może to świadczyć o ograniczaniu widoczności najbardziej kontrowersyjnych aspektów debaty dotyczącej relacji Chin i Tajwanu.

Najbardziej nietypowe wyniki uzyskano natomiast dla tematu obozów reedukacyjnych – aż 89% wyświetlanych materiałów nie było związanych z wyszukiwanym zagadnieniem. Najczęściej użytkownikom wyświetlały się filmy dotyczące ćwiczeń fizycznych, odchudzania, recyklingu i podróżowania po Chinach.

– Taki mechanizm może zniechęcać użytkowników do dalszego poszukiwania informacji – wyjaśnia dr Agnieszka Lipińska, kierownik Ośrodka Analizy Dezinformacji. – W efekcie pojawia się frustracja, ponieważ poszukiwanie wiedzy na ważny temat zostaje zakłócone przez treści o znacznie mniejszej wartości informacyjnej.

Influencerzy do wynajęcia

Propagandowy przekaz rzadko przychodził wprost. Zamiast oficjalnych komunikatów czy materiałów państwowych, użytkownicy otrzymywali przede wszystkim relacje podróżnicze, treści lifestylowe i osobiste opowieści. Szczególną rolę odgrywali zachodni influencerzy kreujący się na niezależnych odkrywców „prawdziwych Chin", którzy przy okazji podważali wiarygodność zachodnich mediów. To właśnie ich nagrania algorytm najczęściej podsuwał polskim odbiorcom. Zdaniem badaczy długotrwały kontakt z takimi materiałami może stopniowo kształtować sposób, w jaki użytkownicy postrzegają Chiny.

Doskonałym przykładem są filmiki z konta @thedantemunioz. Młody Amerykanin z długimi blond włosami o delikatnej prezencji pokazuje Chiny rzekomo takie, jakimi naprawdę

eprasa.pl 66800531b1

Młody Amerykanin prowadzący konto @thedantemunioz pokazuje rzekomo prawdziwe Chiny.

są. W jednym z nagrań zachwyca się pierwszym dniem spędzonym w Kaszgarze. „Widzisz po prostu Ujgurów, którzy spędzają czas na luzie w swoich historycznych, dobrze zachowanych dzielnicach. Kultura tętni tam życiem. To ich domy, których są właścicielami. Dzięki turystom mogą też sporo zarobić", słyszymy w filmiku.

To upiorne przekłamanie rzeczywistości, kiedy zestawi się je z doniesieniami ONZ na temat sytuacji Ujgurów w Chinach. Z raportu ONZ, do którego dotarł portal Politico, wynika, że ujgurscy mieszkańcy Sinciangu poddawani są przymusowej pracy i zamykani w masowych obozach internowania, pojawiały się również doniesienia o przymusowej sterylizacji ujgurskich kobiet i zmuszaniu ich do antykoncepcji. Ten proceder wielokrotnie określano „demograficznym ludobójstwem". Tymczasem według trzepoczącego rzęsami młodzieńca w kowbojskim kapeluszu Ujgurzy mają życie jak z bajki, a nasz odbiór Chin skażony jest kapitalistycznym uprzedzeniem.

Działalność tego influencera wpisuje się w ustalenia serii raportów Australijskiego Instytutu Polityki Strategicznej (ASPI). Badacze wskazują, że chińskie struktury propagandowe wspierają lub finansują zachodnich twórców internetowych oraz influencerów wywodzących się z mniejszości etnicznych, którzy promują wyidealizowany obraz życia w regionach szczególnie problematycznych z perspektywy Pekinu. Tego rodzaju przekazy mają uwiarygadniać oficjalną narrację władz i osłabiać zarzuty dotyczące łamania praw człowieka poprzez odwoływanie się do pozornie autentycznych, „zwyczajnych" doświadczeń mieszkańców.

Przejmowanie narracji

Kupowanie influencerów to jeden z elementów narrative hijacking (przejmowania narracji). W przeciwieństwie do klasycznej propagandy, która opiera się na zaprzeczaniu faktom lub ukrywaniu niewygodnych informacji, mechanizm ten polega na redefiniowaniu powszechnie akceptowanych pojęć i nadawaniu im nowego znaczenia. Zamiast kwestionować takie wartości jak demokracja, prawa człowieka czy wolność, nadawca przekazu przedstawia ich alternatywną interpretację, korzystną z własnej perspektywy.

Badacze OAD NASK wskazują, że podobny mechanizm był widoczny w materiałach dotyczących praw człowieka w Chinach. Treści o charakterze prochińskim nie zaprzeczały istnieniu praw człowieka, lecz przedstawiały je przez pryzmat polityki państwa. Podkreślano znaczenie opieki zdrowotnej, bezpieczeństwa publicznego czy wzrostu gospodarczego, argumentując, że w ten sposób realizowane są prawa obywateli. W efekcie dyskusja przesuwała się z tematów takich jak wolność słowa czy niezależność mediów na kwestie związane z efektywnością państwa i poziomem życia mieszkańców.

Zdaniem ekspertów skuteczność tego rodzaju przekazu wynika z jego subtelności. Narrative hijacking nie wywołuje natychmiastowego sprzeciwu, bo nie atakuje powszechnie uznawanych wartości, lecz się do nich odwołuje. Alternatywna wizja rzeczywistości może zatem być prezentowana jako równorzędna interpretacja, a nie propaganda. Odbiorcy często nie dostrzegają procesu redefinicji pojęć, bo debata pozornie toczy się wokół tych samych tematów.

Nie bez znaczenia są tu algorytmy, które wzmacniają to zjawisko. Jeżeli użytkownikom regularnie prezentowane są materiały pokazujące nowoczesne miasta, rozwój technologiczny, bezpieczeństwo czy dobrobyt mieszkańców, stopniowo utrwala się przekonanie, że właśnie te elementy stanowią podstawowe kryterium oceny państwa. I mie ma potrzeby usuwać treści krytycznych – wystarczy, że alternatywna narracja pojawia się częściej.

Jeżeli podrobiony horyzont znajduje się tuż za oknem, a my patrzymy na niego z drugiego końca pokoju, widok może się wydawać prawdziwy. Podobnie działają algorytmy mediów – nie fałszują całego obrazu świata, lecz zmieniają perspektywę, z której go oglądamy. Badanie NASK pokazuje, że współczesna manipulacja coraz rzadziej polega na ukrywaniu rzeczywistości. Częściej na ustawieniu odbiorcy w takim miejscu, z którego nie jest już w stanie dostrzec różnicy między niebem za oknem a ścianą pomalowaną w chmury.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. @THEDANTEMUNOZ (2)

eprasa.pl 66800531b1

Systemy obrony powietrznej Skyranger 30 firmy Rheinmetall na targach Eurosatory. Francja, 25 czerwca 2024 r.

Wojna jako model biznesowy

Kto zarabia na wojnie w Ukrainie i wymianie ciosów na Bliskim Wschodzie?

Marek Czarkowski

Te konflikty zmieniły nie tylko mapę bezpieczeństwa w Europie i na Bliskim Wschodzie, lecz także mapę zysków. Dziś zarabiają ci, którzy sprzedają surowce energetyczne, broń, obsługują transport i obiecują zapewnienie bezpieczeństwa. Rachunek za to w coraz większym stopniu obciąża budżety państw europejskich.

W naszej wyobraźni wojna zawsze kojarzyła się z ludzką tragedią, ruinami miast i uchodźcami. Ma ona też drugą twarz, której nie obejrzymy w programach telewizyjnych. To świat terminali gazu LNG, biur maklerskich, rad nadzorczych koncernów zbrojeniowych, wielkich armatorów i banków inwestycyjnych. Tu wojna zmienia się w wyjątkowo silny impuls, który przyśpiesza podjęcie decyzji zakupowych, jest testem wydolności łańcuchów dostaw, motywem do rozbudowy fabryk zbrojeniowych, stoczni, portów i rurociągów. To także niepowtarzalna okazja do zwielokrotnienia zysków.

Warto o tym pamiętać, oglądając zdjęcia z frontów. Bo na naszych oczach nie tylko giną ludzie – dokonuje się także gigantyczny transfer pieniędzy – z jednych państw do drugich, z kieszeni podatników na rachunki wielkich korporacji, od społeczeństw frontowych do tych, którzy stoją z boku – sprzedając im paliwa, broń, amunicję i usługi logistyczne.

W sensie politycznym wojna w Ukrainie i konflikt USA/Izrael-Iran wydają się odrębnymi historiami. Pierwszy z nich to nierozstrzygnięta pozimnowojenna rywalizacja, czyli kwestia granic NATO i ambicji rosyjskiego imperializmu. Druga to kolejna odsłona bliskowschodniego kryzysu, z tymi samymi uczestnikami: USA, Izrael, Iran i monarchie Zatoki Perskiej.

Nowym elementem stała się blokada cieśniny Ormuz, przez którą przechodzi znaczna część transportów ropy naftowej, gazu ziemnego oraz nawozów sztucznych. W sensie gospodarczym obie te wojny to ta sama bajka, w której trzema kanałami płyną ogromne pieniądze. Pierwszy z nich to surowce energetyczne: państwa europejskie odcięte od taniego rosyjskiego gazu i ropy naftowej musiały szybko znaleźć nowych dostawców – Stany Zjednoczone, Arabię Saudyjską i państwa Zatoki Perskiej. Oznaczało to dla nich wzrost kosztów i większe ryzyko przerwania łańcucha dostaw. Drugi kanał to zbrojenia: gwałtowny

eprasa.pl 66800531b1

wzrost zakupów amunicji oraz uzbrojenia przez państwa europejskie, Bliskiego Wschodu i Azji, a także rekordowe wydatki na kosztowne programy budowy oraz produkcji nowych rodzajów uzbrojenia. Trzeci kanał to logistyka i finanse: okazję do zarobku mają dziś armatorzy, wielkie firmy ubezpieczeniowe, sektor bankowy i oczywiście państwa pośredniczące w wymianie handlowej z Rosją.

Bo wojna to nie tylko broń i amunicja. Ropę naftową i skroplony gaz ziemny LNG należy zatankować na statki, ubezpieczyć i dostarczyć do portów. Firmy pośredniczące zarabiają miliardy dolarów na różnicy cen gazu w Stanach Zjednoczonych, Azji i Europie. Na długoletnich kontraktach na dostawy surowców energetycznych zawieranych w atmosferze strachu przed kolejnym szokiem cenowym.

W 1499 r. włoski kondotier Gian Giacomo Trivulzio, pytany przez króla Francji Ludwika XII o przygotowania do wyprawy na Księstwo Mediolanu, miał odpowiedzieć, że „do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze więcej pieniędzy". Od tamtego czasu nic się nie zmieniło.

Uczyńmy (nie tylko) Amerykę znowu wielką

Nawet jeśli Stany Zjednoczone nie traktowały pośredniego udziału w konflikcie w Ukrainie i ataku na Iran jako projektu gospodarczego, to i tak bardzo na tym skorzystały.

Dla Europy głównym zamiennikiem rosyjskiego gazu stał się amerykański skroplony gaz LNG. Udział zakupów państw naszego kontynentu w jego eksporcie z USA wzrósł z 34% w 2021 r. do ok. 64--69% w 2022 r. W 2025 r., według danych Institute for Energy Economics and Financial Analysis z lutego 2026 r., ok. 57% importowanego przez państwa europejskie skroplonego gazu LNG pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Konsultanci z firmy Kpler szacowali, że w tym roku wartość importu amerykańskiego LNG oraz ropy naftowej wyniesie 73,7 mld dol.

Jeśli przez lata europejska polityka energetyczna opierała się na założeniu, że tani rosyjski gaz jest jednym z filarów (zwłaszcza niemieckiej) gospodarki, to wojna zburzyła ten mit. W jego miejsce pojawiła się nowa zależność – od amerykańskiego LNG, gazu z Norwegii oraz globalnego rynku tego surowca.

Na znaczeniu zyskał amerykański przemysł obronny. W 2025 r. koncern Lockheed Martin odnotował przychody ze sprzedaży uzbrojenia w kwocie 75,05 mld dol. Koncern RTX Corporation (dawniej Raytheon Technologies), producent m.in. systemów Patriot, pochwalił się przychodami za 2025 r. na poziomie 88,6 mld dol., a Northrop Grumman w tym samym roku – ok. 42 mld dol.

Każda dostawa do Ukrainy czy Izraela, każde uzupełnianie zapasów w Europie oznaczało kolejne zamówienia, co utrwaliło amerykańską pozycję dostawcy uzbrojenia.

Świetnie poradziła sobie Norwegia. Państwo, które nigdy nie prowadziło agresywnej polityki zagranicznej, z tych dwóch wojen wyszło jako jeden z największych zwycięzców fiskalnych. W 2025 r. eksport ropy i gazu ziemnego osiągnął ok. 1 bln koron norweskich, co stanowiło 57% norweskiego eksportu towarowego. Państwowe wpływy netto z sektora naftowego wyniosły 664 mld koron norweskich. Pieniądze te zasiliły Government Pension Fund Global, jeden z największych funduszy majątkowych świata.

Norwegia nie musiała podejmować żadnych działań, by zarobić – jeśli tylko Europa uznała dostawy gazu za niezbędne. I była gotowa za nie płacić.

Arabia Saudyjska i emiraty z Zatoki Perskiej od czasu wielkiego kryzysu paliwowego w 1973 r. były naturalnymi beneficjentami każdego szoku energetycznego, który dotykał Zachód. Podwyżki cen ropy i gazu natychmiast przekładały się na wyższe przychody. Tym razem jednak konflikt USA z Iranem okazał się pułapką. Katar od lat budował swoją pozycję, zawierając długoterminowe kontrakty na dostawy LNG. W związku z wojną w Ukrainie i zamówieniami z Europy planował podnieść zdolności produkcyjne z obecnych 77 mln ton do 126 mln w 2027 r. oraz 142 mln ton pod koniec dekady. 28 lutego 2026 r. Iran praktycznie zablokował ruch tankowców przepływających przez cieśninę Ormuz. Co gorsza, uszkodził później kilka instalacji skraplania gazu i Katar musiał de facto wstrzymać eksport.

Zupełnie inne doświadczenia stały się udziałem Arabii Saudyjskiej. W 2022 r. jej przychody z eksportu ropy naftowej sięgnęły 273 mld dol., po czym w 2023 r. spadły do 208 mld. W 2024 r. obniżyły się jeszcze bardziej – do 179 mld dol. W przypadku Rijadu wojenny wzrost cen tego surowca nie zapewnił automatycznie komfortu budżetowego.

Kto korzysta najbardziej?

W cieniu wielkich producentów surowców energetycznych z Zatoki Perskiej toczy się historia państw, które nauczyły się zarabiać na lukach lub omijaniu systemu sankcji wprowadzonych przez państwa zachodnie. Najbardziej skorzystały na tym Indie i Chiny. Ze względu na fakt, że wielu tradycyjnych odbiorców rosyjskiej ropy naftowej zrezygnowało z niej z powodów politycznych, państwa te uzyskały znaczące upusty przy zakupie tego surowca. Zdarzało się, że baryłka rosyjskiej ropy Urals kosztowała o 30-40 dol. mniej od baryłki ropy Brent.

W 2025 r. Indie importowały średnio 1,27 mln baryłek rosyjskiej ropy dziennie, a Chiny zwiększyły morski import do 1,4-1,5 mln baryłek dziennie. Oszczędzano na tym krocie.

Wokół Rosji, Indii i Chin powstała sieć państw pośredników: Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Armenia, Kazachstan i Gruzja.

Wzrost importu towarów z Zachodu, a następnie ich eksport do Rosji zazwyczaj nie był odbierany przez państwa europejskie i Stany Zjednoczone jako przejaw łamania sankcji – nie można przecież skłócić się ze wszystkimi. Był to raczej sygnał, że pojawiły się gospodarki, w których szara strefa w handlu międzynarodowym stała się niezwykle dochodowa.

Chiny świetnie zarabiają też na sprzedaży gotowych dronów oraz

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

komponentów do ich budowy – zarówno Ukrainie, jak i Rosji. Twardo negocjują z Rosją warunki dostaw gazu ziemnego planowanym nowym rurociągiem Siła Syberii II. Chcą, by Moskwa sprzedawała go po cenach obowiązujących w Rosji. Czyli bardzo niskich.

Powodów do narzekania nie mają też wielcy armatorzy. Ich zyski po zamknięciu cieśniny Ormuz stały się wręcz fantastyczne. Stawka dzienna za korzystanie z supertankowca zdolnego przewieść ok. 2 mln baryłek ropy z portu Ras Tanura w Arabii Saudyjskiej do Ningbo w Chinach sięgnęła 423-444 tys. dol. Sęk w tym, że o ile jedna irańska rakieta dokładnie wycelowana w tankowiec płynący w pobliżu cieśniny Ormuz zapewni armatorom solidny zysk, to już trwałe zawieszenie broni między Waszyngtonem a Teheranem może zakończyć ich dolce vita.

Przykłady te dowodzą, że Europa nie jest finansowym beneficjentem tych konfliktów.

Od lutego 2022 r. państwa europejskie przeznaczyły na wsparcie walczącej Ukrainy już ok. 330 mld euro. Wydatki obronne wyraźnie wzrosły – z 218 mld euro w 2021 r. do 326-343 mld euro w 2024 r. Ceny gazu dla gospodarstw domowych i przemysłu długo były dwukrotnie wyższe niż przed wojną.

Europa kupuje dziś bezpieczeństwo za cenę nowych zależności. Zamiast jednego wiodącego dostawcy gazu ma kilku: Waszyngton, Oslo i Dohę. Zamiast samowystarczalności zbrojeniowej – coraz częściej zwraca się o pomoc do Waszyngtonu.

Nasza chata z kraja

Widać to wyraźnie na przykładzie Polski. Kolejne rządy podpisywały z amerykańskimi koncernami zbrojeniowymi kontrakty na dostawy sprzętu, zakładając, że w razie czego US Army stanie w naszej obronie. Problem w tym, że gdyby doszło do kryzysu, Amerykanie nie zdążą z odsieczą. Z Waszyngtonu do Warszawy jest kilka tysięcy kilometrów.

Zbrojne wsparcie ze strony Czech i Słowacji miałoby symboliczne znaczenie, podobnie jak ze strony Finlandii, Szwecji i Norwegii.

Realna pomoc mogłaby nadejść jedynie z Niemiec, lecz politycy, którzy odważą się o tym wspomnieć narażają się na zarzut, że reprezentują „opcję niemiecką". Dlatego współpraca w dziedzinie obronności między Warszawą a Berlinem ma charakter symboliczny.

W 2025 r. ok. 57% importowanego przez państwa europejskie skroplonego gazu LNG pochodziło z USA.

17 czerwca br. minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz i jego niemiecki odpowiednik Boris Pistorius podpisali umowę o współpracy w dziedzinie obronności. Jedyny konkret, jaki padł z ust polskiego polityka, dotyczył udziału żołnierzy wojsk inżynieryjnych Republiki Federalnej Niemiec w budowie Tarczy Wschód, czyli sieci umocnień obronnych, bunkrów i zapór inżynieryjnych oraz wykorzystania naturalnych przeszkód terenowych w pasie przygranicznym z Rosją (Obwód Królewiecki) i Białorusią, które mają chronić nas przed ewentualnym atakiem.

Wiadomo, jak poważne zyski przynosi nowoczesny przemysł obronny, który żyje z wieloletnich planów zakupowych, a nie z nagłych skoków cen. Jeśli już zdecydowaliśmy się wydać setki miliardów złotych na uzbrojenie i wystawienie w najbliższych latach łącznie prawie 500-tysięcznej armii, byłoby lepiej, gdyby broń i amunicję produkowano na miejscu.

W połowie maja br. niemiecki koncern Rheinmetall przekazał Ministerstwu Obrony Narodowej plan uruchomienia w Polsce zakładu modułowych ładunków miotających do amunicji artyleryjskiej 155 mm, który miałby być zlokalizowany na Pomorzu.

Na początku czerwca br. MON otrzymało kolejne pismo od polskiej spółki zależnej koncernu z listą propozycji obejmujących m.in.: uruchomienie w Polsce produkcji czołgów saperskich, ciężkich gąsienicowych pojazdów wsparcia, produkcji armaty 30 mm wraz z transferem technologii do Huty Stalowa Wola. Zaproponowano też Polskiej Grupie Zbrojeniowej uruchomienie wspólnej produkcji wyrzutni rakietowej GMARS wraz z pociskami.

To pierwszy tak duży pakiet projektów, który realnie wiązałby polski i niemiecki przemysł zbrojeniowy na lata. Niestety, współpraca z Berlinem w tym obszarze „pozostaje w Polsce tematem tabu", jak napisał w lutym br. dziennik „Die Welt".

Nie jest tajemnicą, że każdy taki wspólny projekt niesie ryzyko ataku politycznego. A kto chciałby tłumaczyć się z zarzutu, że „sprzedaje bezpieczeństwo Niemcom"?

W 2025 r. eksport ropy i gazu ziemnego z Norwegii osiągnął wartość ok. 1 bln koron.

Antyniemiecka retoryka rządów Prawa i Sprawiedliwości i jej pokłosie, co odczuwamy w obecnej debacie publicznej, powodują, że część klasy politycznej i opinii publicznej odruchowo odrzuca takie przedsięwzięcia, nawet gdy są one racjonalne ekonomicznie.

A warto pamiętać, że żyjemy w epoce, w której nie prawo międzynarodowe, ale siła decydują o tym, kto ma rację. Wygrywa nie ten, kto wygłasza najbardziej podniosłe przemówienia, ani nawet ten, kto wygra jedną czy dwie bitwy, lecz ten, kto ma poważnych sojuszników i będzie potrafił zamienić wojenny szok w trwały przepływ środków do własnego budżetu, własnych fabryk i funduszy.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 66800531b1

Finał najbrzydszy w historii

Hiszpania najlepsza na świecie

Wojciech Kuczok

Rodri, Messi i Ruiz podczas finałowego meczu MŚ Hiszpania-Argentyna, 19 lipca 2026 r.

„Show must go!", rzekł był w studiu Dariusz Szpakowski pod koniec jednej z pauz w finale tegorocznego mundialu i być może był to lapsus wyrażający podświadome pragnienie zakończenia tego koszmarnego meczu.

Tradycyjną przerwę między połowami wydłużono o kwadrans widowiska muzyczno-tanecznego, które miało zrekompensować deficyty futbolowe. Czegóż tam nie było! Zaczęło się od Madonny wjeżdżającej na stadion w asyście Ronalda i Ronaldinha, skończyło nowym hitem Shakiry i trzeba przyznać, że był to całkiem udany rym do piłkarskiej nieśmiertelności demonstrowanej podczas turnieju przez Leo Messiego i kilku starszych panów piłkarzy – obie artystki także o przemijaniu mówią, a raczej śpiewają: „Jestem przeciw".

Kiedy drużyny wróciły na murawę, skończyły się tańce, a ściślej – Hiszpanie zapraszali Argentyńczyków do kontredansa czy tam kadryla, lecz Albicelestes szli w zaparte, mylili krok, kopali po kostkach, aby tylko potańcówkę przeobrazić w zamieszki. Albicelestes doskonale grali w tym meczu role odrażających-brudnych-złych, bo dobrze widzieli, że argumentów piłkarskich, które można byłoby przeciwstawić ekipie Luisa de la Fuente nie ma żadna reprezentacja na tym świecie.

Zaparkowanie w polu karnym autobusu prosto z myjni, tak jak to uczyniła Republika Zielonego Przylądka, jedyna kadra, której Hiszpanom na mistrzostwach nie udało się pokonać, nie leży w naturze gauchos. Messi z kolegami zaparkowali więc autobus ufajdany błockiem – faulowali ile wlezie, sprawdzając granice tolerancji głównego arbitra, a ten pozwalał na stanowczo zbyt wiele. Slavko Vinčić jest kiepskim sędzią, zaszczyt prowadzenia finału mundialu został mu przyznany chyba tylko jako ukłon w stronę pierwszej damy USA, która wywodzi się ze Słowenii. Byliśmy zatem świadkami nie tylko najbrzydszego finału wszech czasów, ale i najgorzej sędziowanego.

Przypomnę, że przed czterema laty Francja z Argentyną zagrały w finałowym arcydziele, a Szymon Marciniak z ekipą asystującą wzniósł się na absolutne sędziowskie wyżyny, zatem wszystko się wyrównało. Latynosi nawet przez chwilę nie udawali, że mają jakiś inny pomysł na drogę do obrony tytułu niż poprzez serię jedenastek. Skupili się wyłącznie na zabijaniu futbolu, przeszkadzaniu i destrukcji – za każdym razem, kiedy Hiszpanie próbowali wykreować jakąś zmyślną kombinację, ich rywale, by tak rzec, wywracali stolik, a potem udawali, że to niechcący, że to efekt pląsawicy, nadpobudliwości ruchowej, ADHD czy czego tam jeszcze. Dopiero kiedy Pau Cubarsí dosłownie wyleciał w powietrze po bezpardonowym ataku Enza Fernández, sędzia odruchowo sięgnął po kartonik, co prawda tylko żółty, ale z drugim żółtkiem pomocnika Chelsea zsumował się w kolor czerwony.

Hiszpania przez półtorej godziny biła głową w mur i pewnie prędzej by sobie czaszkę roztłukła, niż go sforsowała, gdyby Argentyna nie musiała przystąpić do dogrywki w dziesiątkę. Emiliano Martínez bronił skutecznie i szczęśliwie, ale coś w końcu musiało wpaść – traf chciał, że chwała strzelca jedynego, zwycięskiego gola w najważniejszym meczu

FOT. IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 66800531b1

przypadła Ferranowi Torresowi, największemu nieudacznikowi pośród hiszpańskich napastników, który dotąd na mundialu ani razu nie strzelił celnie do bramki. Argentyna dopiero pod koniec dogrywki, kiedy poczuła na gardle ostrze upływającego czasu, a Hiszpanie uznali, że czas skupić się na obronie wyniku, podjęła pierwsze w meczu próby strzałów – wszystkie daremne i niecelne.

Statystyki były kompromitujące dla Albicelestes, kibicowanie Argentynie w tę ostatnią mundialową niedzielę jako żywo przypomniało mi to, co czułem w 1990 r., kiedy Maradona miotał się z niemocy i rozpaczy, z każdą minutą lepiej świadom tego, że tym razem dociągnięcie swojej kadry do finału było szczytem możliwości, wynikiem nad stan.

Piłka nożna jest najzdrowszym z uzależnień.

Serce mi pękło, gdy patrzyłem na pomeczowe łzy Leo Messiego, a radość dominatorów z Europy jedynie mnie drażniła, podobnie jak narcystyczny trampiszon wręczający medale i puchar, a potem próbujący się znaleźć w kadrze razem z fetującą zwycięstwo, świeżo koronowaną Hiszpanią.

Argentyna popełniła zasadniczy błąd, wygrywając z Anglią w półfinale. Wiadomo było bowiem, że Hiszpanom nikt nie podskoczy, a mecz o trzecie miejsce jako bezpośrednie starcie zainteresowanych indywidualnymi trofeami byłby pasjonujący.

O ile finał był festiwalem brudnej gry i niemocy ofensywnej, mecz o trzecie miejsce okazał się karnawałem goli i składnych akcji. Tyle że 6:4 to niepoważny wynik niepoważnego meczu, w którym Francuzi najpierw zademonstrowali, że gra o brąz jest poniżej ich godności, a potem Anglicy uznali, że rzuconego ochłapu to oni nie chcą. W efekcie jedni pozwalali drugim strzelać, nikt nikogo nie faulował, nikt nikogo ukradkiem nie podszczypywał. Walki o piłkę nie stwierdzono, jak już jedna ekipa ją miała, to pozwalano jej akcję dokończyć i czekano, co z tego wyniknie. Być może Jankesi tak właśnie wyobrażają sobie piłkę nożną – jako nieustanną fiestę z hokejową liczbą bramek, indywidualnymi popisami i brakiem paraliżującej stawki, bo nie o ciężar gatunkowy chodzi, lecz o zabawę.

Mieliśmy zatem do czynienia z efektowną parodią futbolu, czymś w rodzaju meczu pokazowego, boiskowej operetki; nazywanie tego wydarzenia meczem doskonałym jest nieporozumieniem, chodziło raczej o wysoki poziom kabaretowy, nie tak arcydzielny jak u Starszych Panów, może nieco lepszy niż u Olgi Lipińskiej. Harry Kane uznał, że na tę dziecinadę nie ma ochoty, więc przyglądał się z ławki jak nienasycony Kylian Mbappé za zgodą rywali odbiera Messiemu prymat strzelca wszech czasów. I stąd łzy Leo w puencie tego rozwlekłego turnieju – na finiszu stracił nawet nagrodę pocieszenia, bo rzutem na taśmę to Francuz wdrapał się na szczyt, zostając pierwszym od czasu Justa Fontaine'a królem strzelców z dwucyfrową liczbą goli, jak i liderem mundialowej tabeli snajperów.

Czy po tym najdłuższym w historii turnieju o piłkarskie mistrzostwo świata kibice mają prawo czuć się przesyceni? Chyba jedynie ci niedzielni. Piłka nożna jest najzdrowszym z uzależnień, dla mnie najlepsze w tym mundialu było to, że tak późno się skończył. Nie pozostawił ani chwili na żałobę, tradycyjną depresję lipcową, nie groziło mi żadne odstawieniowe delirium. Ot, dzień przerwy i eliminacje pucharów z udziałem naszych ekip.

Jestem już za stary, żeby robić sobie przerwy od futbolu, ma być grane cały rok, to mi się podoba, chciałbym umrzeć podczas oglądania meczu, jeśli nie utłukę się w końcu w górach lub jaskiniach. Potrafię sobie nawet wyobrazić mundial 64-zespołowy, którym już straszy prezes FIFA, nie boję się zgonu z przejedzenia piłką, groźba przekibicowania jest mi obca. Niechże więc ten piłkarski trans trwa jeszcze dłużej, w końcu czeka się na niego cztery lata. Infantino wie, że może sobie bezkarnie powiększać liczbę uczestników, dopóki nie wpadnie na pomysł, by mundial rozgrywać częściej – to w wygłodzeniu, w oczekiwaniu, w tych niezmiennych interwałach tkwi tajemnica mundialowej magii. Hokejowe mistrzostwa świata rozgrywane są co roku i trudno już się połapać, kto ile tytułów zdobył, ich prestiż jest dalece mniejszy od turniejów olimpijskich dających czas na wybrzmienie chwały zwycięzcom. Dopóki chciwcy z FIFA nie zaczną majstrować przy częstotliwości rozgrywania turniejów finałowych, można spać spokojnie.

Tymczasem zaś, wiedziony nienasyceniem, wybrałem się do Żyliny, aby naocznie świadkować powrotowi do Europy po nieomal ćwierćwieczu drużyny katowickiego GKS. Fanatycy Gieksy prezentowali się imponująco, w odzianej na żółto ciżbie zajmując trzy sektory pośród 7 tys. diváków przybyłych na słowacki stadion. Miasteczko nad Wagiem nie widziało jeszcze takiego najazdu, zbrojna policja licznie prezentowała wyposażenie i otoczyła okolice stadionu, spodziewając się apokalipsy, albowiem Ślązacy są sprzysiężeni z cokolwiek nielubianym na Słowacji ostrawskim Banikiem.

Można by rzec, że Katowice grały u siebie, co nie wróży dobrze przed rewanżem, skoro atut ogłuszającego dopingu przyjaznej widowni nie pomógł zawodnikom. Przegrali mecz po kiepskiej grze z bardzo przeciętnymi rywalami. Niestety, pięć drużyn z ekstraklasy w europejskich pucharach to za dużo, wiele wskazuje zresztą na to, że tym razem w fazach ligowych możemy mieć tylko jednego reprezentanta.

Lech w eliminacjach Champions League rozbił na wyjeździe mistrzów Danii i wygląda więcej niż solidnie, ale Górnik, Raków i GKS zaprezentowały się kiepsko, Jagiellonia zaś kiepsko wylosowała Rangersów z Glasgow w drodze do Ligi Europy. Dobrze zatem nie przeoczyć letnich zmagań naszych pucharowiczów, jesienią możemy ich próżno wypatrywać.

Wojciech Kuczok

eprasa.pl 66800531b1

Na ceremonii rozdania medali Hiszpanom udało się wyrzucić z kadru Trumpa, który chciał być na zdjęciach z piłkarzami. 19 lipca 2026 r.

OSTATNI TAKI MUNDIAL

Futbol idzie w stronę pozasportowej rozrywki dla bogatych

Mateusz Mazzini

Postawmy sprawę jasno – piłka nożna nigdy nie była sportem niewinnym. Już w latach 30. XX w., złotym okresie włoskiego futbolu, tamtejsza reprezentacja była jedną z ulubionych zabawek reżimu faszystowskiego i ważnym elementem jego propagandy. W 1938 r. Włosi grali nawet w czarnych koszulkach, a przed meczami wykonywali rzymski salut w kierunku trybun. Ich trener Vittorio Pozzo utrzymywał bardzo dobre relacje z faszystowskimi dygnitarzami, co później, w typowy sposób tłumaczono jako chęć obrony jego zawodników przed turbulencjami politycznymi.

Z kolei pół wieku później, w czasie argentyńskiego mundialu w 1978 r., świat patrzył, jak trofeum drużynie gospodarzy wręczał krwawy dyktator Jorge Videla, odpowiedzialny za stworzenie brutalnego systemu tortur i represji. Niektóre mundialowe spotkania odbywały się tak blisko więzień, że przetrzymywani w nich opozycjoniści mogli w celach słyszeć wiwatujących kibiców. A żeby mistrzostwa przebiegły po myśli organizatorów, prawdopodobnie wywierano presję na arbitrów.

Żeby wejść do finału, Argentyna musiała pokonać Peru stosunkiem co najmniej czterech goli – w przeciwnym razie kwalifikowała się do niego Brazylia. Brazylijczycy bezskutecznie prosili organizatorów o jednoczesne rozpoczęcie ich spotkania i meczu gospodarzy. W dodatku Videla odwiedził sędziego i Peruwiańczyków w szatni przed pierwszym gwizdkiem. Argentyna wygrała 6:0, znalazła się w finale i triumfowała w rozgrywkach.

Komercjalizacja bez granic

Na tym tle afera wokół Folarina Baloguna, napastnika reprezentacji USA, którego czerwona kartka została anulowana po osobistej

FOT. JACQUELYN MARTIN/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 66800531b1

interwencji Donalda Trumpa, wygląda na niewinną przysługę bez konsekwencji. Balogun to wszak piłkarz niezły, ale żaden z niego fenomen, a gospodarze mają drużynę co najwyżej przeciętną. Nie byliby w stanie wejść do finału bez jakiegoś skandalu. Ich losy zresztą zweryfikowało boisko, Balogun wrócił, ale Belgia okazała się dla Amerykanów za silna. (wygrała 3:1).

Teoretycznie można w tym miejscu postawić kropkę, pisząc, że „ostatecznie triumfował futbol", bo Amerykanie z turnieju wylecieli dość szybko. Wygrali Hiszpanie, bezsprzecznie najlepsza, a na pewno najlepiej zorganizowana drużyna turnieju. W dodatku w czasie ceremonii rozdania medali udało się im wyrzucić z kadru samego Trumpa, który chciał być na zdjęciach z hiszpańskimi piłkarzami tonącymi pod złotym confetti. Można wspominać te mistrzostwa jako triumf europejskiej piłki, z trójką z czterech półfinalistów wywodzących się z Europy. Można zachwycać się indywidualnymi popisami, wszak były to mistrzostwa jasno świecących gwiazd, na czele z Leo Messim, Kylianem Mbappé czy Anglikiem Cudem Bellinghamem. Można opowiadać tradycyjne historie o małych stawiających czoła wielkim – bo takie rzeczy zawsze dzieją się na mundialach – tym razem Wyspy Zielonego Przylądka rozkochały w sobie pół świata, niemal wyrzucając z turnieju Argentynę.

Problem w tym, że pod dość cienką warstwą typowych mundialowych historii kryje się rzeczywistość bardzo dla futbolu niedobra. Komercjalizacja do granic możliwości, polityka obecna nie tylko z powodu telefonów Trumpa, ale właściwie w każdym aspekcie organizowania turnieju, przemycane pod progiem reformy zasad w celu zaspokojenia sponsorów, a nawet całkowita amerykanizacja sposobu, w jaki turniej był pokazywany w telewizji, na czele z obsesyjnym pokazywaniem celebrytów na trybunach. Po tym mundialu w międzynarodowym futbolu już nigdy nie będzie dominował sport. Może nawet trudno będzie go zauważyć.

Po mistrzostwach pojawiły się głosy chwalące organizatorów za stworzenie doskonałej atmosfery i ciepłe przyjęcie kibiców z innych krajów. Owszem, na pewno tak było, tysiące fanów doskonale bawiło się w USA, Meksyku i Kanadzie. Tyle że to raczej zasługa nie „organizatorów", lecz zwykłych ludzi, mieszkańców tych krajów. Co zgrabnie podsumował Joe Divine, brytyjski analityk sportowy i gospodarz podcastu sportowego „Tifo", tworzonego przez serwis The Athletic: „Przekonaliśmy się co najwyżej, że nie wszyscy Amerykanie są tacy jak ich polityczni przywódcy".

Reprezentacja Iranu musiała trenować w jednym kraju, żeby grać w drugim, bo gospodarz meczów ostrzeliwał rakietami ich państwo.

W cieniu autorytaryzmu

Nie wszyscy jednak w USA bawili się doskonale, bo amerykańska część mundialu odbywała się w cieniu autorytaryzmu, w jaki stacza się kraj. Żadne problemy społeczne wywołane przez administrację Trumpa nie zniknęły, bo ktoś grał w piłkę. Mało tego, nawet specjalnie ich nie ukrywano, tylko świat postanowił w ich stronę nie patrzeć.

Przed mundialem obawiano się problemów na granicach oraz agresywnego zachowania policji imigracyjnej ICE wobec przybyszów. I choć obyło się bez głośnych przypadków, na pewno nie wszyscy mieli równy dostęp do futbolu i byli tak samo traktowani. Po każdym meczu reprezentacji Egiptu tamtejsi fani wrzucali do mediów społecznościowych relacje ze spotkań z ochroną stadionów i z ICE, podczas których byli zatrzymywani i kierowani na indywidualne kontrole. Części w ogóle nie wpuszczono na stadiony „ze względów bezpieczeństwa".

Ale i tak nic nie przebije historii Iranu, który z powodu rozpętania przez Trumpa wojny w Zatoce musiał przenieść swoją bazę treningową do Tijuany w Meksyku. Irańscy piłkarze codziennie trenowali pod obserwacją policjantów z długą bronią, którzy eskortowali ich z ośrodka treningowego na lotnisko i nie spuszczali z oka nawet na terenie stadionów. Jak w takich warunkach ktokolwiek miałby się skupić na grze w piłkę, wiedząc, że w ojczyźnie giną ludzie, a na domy i szkoły spadają bomby?

Żeby zrozumieć skalę absurdu, można opisać irański przypadek zdaniem: Reprezentacja musiała trenować w jednym kraju, żeby grać w drugim, bo gospodarz meczów w trakcie turnieju ostrzeliwał rakietami ich państwo. Nazwanie tego „nierównymi warunkami rywalizacji" nie nadaje się nawet na eufemizm.

Choć na trybunach atmosfera bywała sielankowa, poza nimi działo się to samo, z czym mamy do czynienia w USA od 20 stycznia 2025 r. ICE nadal przeprowadzało naloty na szkoły, szpitale, sądy i centra kultury, wywożąc do ośrodków relokacyjnych ludzi w trakcie procedury legalizowania pobytu w USA. W dodatku FBI dało agentom tej służby wolną rękę w sianiu terroru, także wśród protestujących Amerykanów, ogłaszając, że nie będzie już prowadzić śledztw w sprawie starć ICE z ludnością cywilną – w tym śmiertelnych postrzeleń demonstrantów.

Na trybunach atmosfera bywała sielankowa, ale poza nimi ICE nadal przeprowadzało naloty na szkoły, sądy i centra kultury.

Stany Zjednoczone pod rządami Trumpa nie przestały być krajem nieprzychylnym obcym, atmosfera strachu i niepewności w spotkaniach z mundurowymi nie zniknęła na okres rozgrywek. Fakt, że

eprasa.pl 66800531b1

reprezentacja Haiti przyjechała na turniej, nie zniwelował faktu, że rodacy piłkarzy mieszkający w USA stracili prawo do tymczasowej ochrony prawnej i azylu w ramach specjalnego programu stworzonego przed powrotem Trumpa. Trudno kibicować piłkarzom, kiedy w każdej chwili grozi ci deportacja, choć spełniasz wszystkie kryteria administracyjne wymagane do pozostania w kraju.

Futbol podzielony

Sama warstwa sportowa też nie pozostała nietknięta. Gianni Infantino, powszechnie znienawidzony przez kibiców, zakochany w Trumpie szef światowej federacji piłkarskiej, zrobił coś, czego w piłce nie robiono od prawie 150 lat – zmienił jej format. Zamiast dwóch połówek po 45 minut, z okruszkami doliczonego czasu, na tegorocznym mundialu oglądaliśmy mecze de facto podzielone na kwarty, jak w rozgrywkach koszykówki. Oto Infantino bowiem, pod pretekstem dbania o zdrowie zawodników grających w wysokich temperaturach, wprowadził obowiązkowe „przerwy na nawadnianie". I choć po raz pierwszy format 90-minutowy ustalono w 1866 r. na okoliczność meczów drużyn z Londynu i Sheffield, a jako formalny standard angielska federacja skodyfikowała go w 1897 r., to od tego roku oglądamy futbol podzielony na cztery, a nie na dwie części.

Infantino zrobił to z własnej inicjatywy. Nie zmienił przepisów, nie zwołał delegatów z federacji krajowych, nie konsultował tego ani z piłkarzami, ani z trenerami. Po prostu stwierdził, że od teraz będą robić sobie przerwy co 23 minuty, dzięki czemu on znajdzie dwie dodatkowe okazje do emitowania pełnowymiarowych reklam w czasie transmisji telewizyjnych.

W ogóle na tych mistrzostwach nie dało się uciec od wrażenia, że wszystko robione było pod dyktando rachunku ekonomicznego i maksymalizacji zysków. Żeby sport na wskroś europejski, w dodatku przez Europę całkowicie zdominowany, na siłę zamerykanizować, do finału dodano tzw. half-time show, zestaw występów artystycznych w przerwie. Był to pokaz co najwyżej przeciętny, mający niewiele wspólnego z futbolem. Nawet dodanie dawnych brazylijskich gwiazd – Ronalda i Ronaldinha – w roli kierowców pick-upa z Madonną na pokładzie nie zbliżyło tego kuriozum do natury futbolu. Jednocześnie przerwa została w ten sposób wydłużona z 15 do 27 minut.

Dla każdego, kto kiedykolwiek uprawiał sport, nawet na poziomie półprofesjonalnym, szkody są oczywiste. Trzeba 12 minut dłużej utrzymać temperaturę ciała, nie pozwolić mięśniom zastygnąć, usztywnić się, nie mówiąc o koncentracji i formie psychicznej. Może w amerykańskich sportach, z natury znacznie bardziej poszatkowanych, pełnych przerw, zawodnicy do takiej ingerencji są przyzwyczajeni. W futbolu na pewno nie. Niestety, prawdopodobnie stanie się to normą, przynajmniej na okoliczność finałów i meczów o podwyższonej randze.

Żeby zamerykanizować sport na wskroś europejski, do finału dodano zestaw występów artystycznych w przerwie.

Tak samo normą będą megalomańskie zapędy Infantina prowadzące do rozbudowania mundialu do niewyobrażalnych rozmiarów. Już teraz niemal pewne wydaje się kolejne powiększenie turnieju, do 64 drużyn. W tym roku było ich 48, wcześniej 32. Na razie FIFA nie wydała oficjalnego komunikatu, ale zrobił to Alejandro Domínguez, szef COMNEBOL, federacji piłkarskiej Ameryki Łacińskiej. Kolejny mundial odbędzie się częściowo tam, bo z okazji setnej rocznicy pierwszych mistrzostw świata po jednym jubileuszowym meczu zorganizują Argentyna, Paragwaj i Urugwaj, choć sam turniej odbędzie się w… Hiszpanii, Portugalii i Maroku.

Już ta konstrukcja jest kuriozalna, a rozdęcie turnieju na 64 drużyny stworzy logistyczny koszmar. Spotkań w jego trakcie będzie 128 na 20 stadionach, a rozgrywki potrwają cały miesiąc. Przy tak wielkich obciążeniach dla organizatorów radykalnie spada liczba krajów, które będą w stanie gościć mundial. Dla jednego państwa wydaje się to niemożliwe, więc do dziwnych koprodukcji, często pozbawionych sensu geograficznego – jak wysłanie piłkarzy na trzy mecze na drugi koniec świata – będzie dochodzić praktycznie za każdym razem.

Nietrudno stwierdzić, jaki to będzie miało wpływ na światową piłkę nożną. Miesiąc rozgrywek, w momencie gdy piłkarze i tak są już przeciążeni trwającym na okrągło sezonem, tylko zwiększy liczbę kontuzji. Większe dystanse i geograficzne rozrzucenie sprawi, że fani nie będą w stanie podróżować za swoimi drużynami. Nie mówiąc o tym, że mało kogo będzie stać na uczestnictwo w tak sformatowanym turnieju.

64 drużyny to również mnóstwo meczów na słabym poziomie. Można oczywiście rozpisywać się na temat urody goszczenia na rozgrywkach Curaçao, ale potem ich starcie z Niemcami, zakończone wynikiem 7:1, okazuje się nudnym meczem do jednej bramki. Infantino – którego według „New York Post" Trump widziałby w roli sekretarza generalnego ONZ – do swoich mocarstwowych planów dorabia ideologię popularyzacji sportu, mówiąc, że „wszyscy muszą mieć szansę na mundial". Tyle że już ją mają, wystarczy wygrać eliminacje w swoich strefach kontynentalnych.

Pod rządami tego człowieka futbol idzie w stronę pozasportowej rozrywki dla bogatych, przy okazji której autokraci mogą sobie zrobić fotkę z gwiazdami sportu. Nawet jeśli zawsze tak było, to skala – podobnie jak w przypadku niszczenia demokracji przez Trumpa – jest bezprecedensowa. Włoski dziennik „La Gazzetta dello Sport" nazwał współczesny futbol „systemem Infantina". Szkoda tylko, że w tym systemie piłki jest już mało i będzie coraz mniej.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 66800531b1

Francuski work-life balance zagrożony

Czy więcej dni wolnych oznacza dziś nad Sekwaną luksus?

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Czy Francuzi pracują za mało? Dla obozu Emmanuela Macrona odpowiedź wydaje się oczywista, jednak związki zawodowe oraz opozycja mają inne zdanie na ten temat. Debata o czasie pracy oraz o dniach wolnych stała się jednym z najważniejszych sporów o przyszłość francuskiego modelu społecznego.

1 maja jest we Francji ważnym świętem. Odwołuje się nie tylko do najważniejszych zdobyczy francuskiego socjalizmu, ale jest też ciekawym zjawiskiem obyczajowym – w trakcie święta obdarowuje się bliskich i znajomych konwaliami. To symboliczny wyraz sympatii oraz życzliwości, który wpisuje się w wiosenny klimat tego święta. Spór o Święto Pracy we Francji coraz mniej dotyczy jednak samej jego symboliki, a coraz bardziej realnych fundamentów gospodarki.

Francuski system – oparty na 35-godzinnym tygodniu pracy, dużej liczbie dni wolnych czy takich udogodnieniach jak prawo do bycia offline, rozbudowana ochrona przed zwolnieniem czy wynagradzanie nadgodzin – coraz częściej zderza się z presją globalnych gigantów gospodarczych, którzy w odpowiedzi na te systemowe gratyfikacje przenoszą swoje ośrodki np. do Polski. W tej sytuacji spór o kalendarz świąt okazuje się tylko pretekstem do zadania ważniejszych pytań: czy państwo dobrobytu w XXI w. da się pogodzić z globalnym dyktatem gospodarki liberalnej, czy może Francja będzie zmuszona zrewidować swoje społeczne priorytety?

Metro, robota, lulu

Francja uchodzi za jeden z krajów o najzdrowszej kulturze pracy. Czy jednak na pewno tak jest? Zwyczaje pracownicze dobrze ilustruje dewiza „Métro, boulot, dodo", co w dosłownym tłumaczeniu znaczy „metro, robota, lulu". Francuzi wstają zazwyczaj późno, idą do pracy na 9.00-9.30, spożywają długi, dwugodzinny obiad o godz. 12.00, a potem pracują często nawet do 20.30-21.00. Cały rytm dnia podyktowany jest pracą. Nie ma czasu na życie rodzinne, dzieci również spędzają cały dzień w szkole – od 9.00 do 17.00 albo 18.00 – czas ten wydłuża jeszcze przerwa obiadowa. Urlop macierzyński trwa standardowo nieco ponad trzy miesiące. Wszystko po to, aby raz w roku pozwolić sobie na wakacje nad morzem lub na wyspach któregoś z departamentów zamorskich. Według francuskiego prawa pracy każdemu przysługuje pięć tygodni urlopu.

Problem w tym, że wszystko jest regulowane, lecz nic nie jest gwarantowane. Praca we francuskich firmach charakteryzuje się specyficznym połączeniem tradycyjnych struktur hierarchicznych z rozbudowanym systemem ochrony pracowników.

Mimo rosnącej popularności partycypacyjnych modeli zarządzania (w których pracownicy są w większym stopniu włączani w podejmowanie decyzji), wiele przedsiębiorstw nadal funkcjonuje w wyraźnie pionowej strukturze, w której decyzje podejmowane są głównie przez kadrę kierowniczą, a kontrola nad pracownikami jest duża. Wielu pracowników pochodzących z innych krajów zwraca również uwagę na kwestię prezenteizmu, czyli obecności w biurze i przestrzegania nieformalnych norm, niekiedy ważniejszych niż sama wydajność.

Charakterystyczne dla francuskiej kultury pracy są także często organizowane spotkania, nacisk na konsultacje i wymianę opinii, co może prowadzić do spowolnienia procesów decyzyjnych. Jednocześnie Francja wyróżnia się pozornie silnym przywiązaniem do zachowania równowagi między życiem zawodowym a prywatnym (work-life balance), czego przejawem są wspomniany skrócony tydzień pracy, wynagradzanie nadgodzin, długie urlopy oraz słynna przerwa obiadowa – istotny element życia społecznego. Integracja w miejscu pracy odbywa się również poprzez

eprasa.pl 66800531b1

1 maja jest we Francji ważnym świętem. Francuzi obdarowują się wtedy gałązkami konwalii, będącymi symbolem wiosny.

nieformalne rytuały, takie jak wspólne spotkania przy aperitifie po pracy.

Ten model pracy jawi się więc z jednej strony jako przyjazny pracownikom i nastawiony na relacje społeczne, a z drugiej – sformalizowany i mniej elastyczny niż modele funkcjonujące np. w krajach anglosaskich czy w Europie Północnej. Francuski model pracy jest często przedstawiany jako duma Republiki, jednak jego liczne dysfunkcje, związane np. ze zbyt sformalizowaną administracją czy rozbudowaną biurokracją, prowadzą do wycofywania się zagranicznych inwestorów oraz exodusu młodych poza granice państwa. Coraz więcej osób mówi także, że system uwzględnia tylko pracowników starszych pokoleń, pomijając młodych, co dodatkowo podkreśla polityka obecnego prezydenta.

Macron chce, by Francuzi pracowali więcej

We „Francji Macrona" dochodzi do pewnego konfliktu. Z jednej strony państwo udziela znaczącej pomocy socjalnej, która demobilizuje rynek pracownika, z drugiej – oferuje różnorakie metody optymalizacji fiskalnej, co najbogatszych zwalnia z podatku. Wszystko to dodatkowo pokrywa skrajnie rozbudowana machina administracyjna. Według danych raportu francuskiego Narodowego Instytutu Statystyki i Badań Ekonomicznych (INSEE) we Francji metropolitalnej 12,9 mln gospodarstw domowych, czyli 44% wszystkich gospodarstw, korzysta z co najmniej jednego świadczenia socjalnego. Wymienić tu należy: zasiłki rodzinne (*allocations familiales*), dodatki mieszkaniowe (*aides au logement*), RSA (Revenu de Solidarité Active) – gwarantowany minimalny dochód dla osób powyżej 25. roku życia (oraz młodszych w trudnej sytuacji), premię aktywnościową (*prime d'activité*) wspierającą osoby pracujące, których zarobki nie przekraczają określonych progów.

Świadczenia te stanowią jednak średnio tylko 11% dochodu gospodarstw domowych, które je otrzymują (INSEE, „Les revenus et le patrimoine des ménages", Édition 2024). Biorąc pod uwagę starzenie się społeczeństwa, koszty obsługi długu publicznego i przenoszenie przedsiębiorstw do Europy Środkowo-Wschodniej, prowadzi to Francję do gospodarczej zapaści.

Zatem nie ma nic dziwnego w tym, że liberalny obóz prezydenta od lat stara się wdrożyć w życie rozwiązania radykalne, np. zniesienie dwóch dni wolnych od pracy. Propozycja premiera François Bayrou, który w ramach planu oszczędnościowego na 2026 r. zaproponował zniesienie Poniedziałku Wielkanocnego oraz wolnego Dnia Zwycięstwa, argumentując, że Francuzi powinni „pracować więcej", by poprawić sytuację finansów publicznych, wywołała silny sprzeciw partii politycznych, związków zawodowych i szerokiej opinii publicznej. Ostatecznie nowy premier, Sébastien Lecornu, wycofał się z tej propozycji.

Innym przykładem jest reforma emerytalna, która co prawda weszła w życie, jednak nie jest tematem politycznie zamkniętym. Najważniejszą zmianą było podniesienie ustawowego wieku emerytalnego z 62 do 64 lat dla kobiet i mężczyzn oraz stopniowe wydłużanie okresu składkowego do 43 lat (172 kwartałów). Reforma została uchwalona w 2023 r. bez głosowania w Zgromadzeniu Narodowym, przy wykorzystaniu art. 49.3 konstytucji. Wywołało to ogromne protesty społeczne, gdyż artykuł ten pozwala rządowi przyjąć ustawę, pomijając parlament, chyba że deputowani w określonym terminie przegłosują wotum nieufności wobec rządu.

Francuskie firmy to połączenie tradycyjnych struktur hierarchicznych z rozbudowanym systemem ochrony pracowników.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66800531b1

Dla obozu liberalnego problemem jest koszt praw pracowniczych w warunkach globalnej konkurencji. W centrum tej debaty znajdują się związki zawodowe oraz regularne protesty społeczne, które we Francji często skutecznie blokują reformy rynku pracy czy systemu emerytalnego. Spór dotyczy jednakże nie tylko liczby przepracowanych godzin. Zwolennicy reform mówią o konieczności „pracowania więcej", ich przeciwnicy odpowiadają zaś, że Francuzi może pracują krócej, ale należą do najwydajniejszych pracowników w Europie. Konflikt nie dotyczy już więc tylko efektywności ekonomicznej, lecz tego, czym obecnie ma być postęp: przede wszystkim wzrostem gospodarczym i konkurencyjnością czy też ochroną jakości życia.

Debata o świętach, czasie pracy czy wieku emerytalnym jawi się więc jako dyskusja o modelu cywilizacyjnym. Francja pozostaje jednym z ostatnich krajów Zachodu, który próbuje bronić przekonania, że celem gospodarki nie powinno być wyłącznie zwiększanie produktywności, lecz także ochrona czasu wolnego i jakości życia obywateli.

Francja broni przekonania, że cel gospodarki to nie tylko zwiększanie produktywności, lecz także ochrona czasu wolnego i jakości życia obywateli.

Nowe dni wolne zamiast pracy 1 maja

W kwietniu 2026 r. Zgromadzenie Narodowe rozpatrywało projekt ustawy „mającej umożliwić pracownikom niektórych placówek i usług pracę 1 maja", czemu sprzeciwia się lewica. Deputowani La France insoumise (LFI) proponują wręcz ustanowienie nowych dni wolnych od pracy. „Będziemy się mobilizować, aby sprzeciwić się tej niesprawiedliwej ustawie", zapowiedział poseł Thomas Portes (LFI).

Projekt ustawy został odrzucony w pierwszym czytaniu, jednakże nie oznaczana to jego definitywnego końca. Ze względu na zastosowanie procedury przyśpieszonej sprawa została skierowana do dalszych prac, a rząd zapowiedział przygotowanie nowego projektu dotyczącego przede wszystkim piekarni i kwiaciarni. Łącznie złożono aż 114 poprawek, z czego duża część pochodzi od lewicy. Oprócz propozycji usunięcia jednego z artykułów oraz zwiększenia dodatków dla osób pracujących 1 maja LFI proponuje także ustanowienie następujących nowych świąt państwowych:

- **16 stycznia** – na pamiątkę rozporządzenia z 1982 r. wprowadzającego piąty tydzień płatnego urlopu. „Od 44 lat pracownicy we Francji nie uzyskali dodatkowych dni urlopu", argumentuje ugrupowanie Mathilde Panot.
- **4 lutego** – w celu upamiętnienia dnia zniesienia niewolnictwa we wszystkich francuskich koloniach ustanowionego przez Konwent Narodowy w 1794 r.
- **18 marca** – na cześć Komuny Paryskiej i ku pamięci ofiar represji podczas „Krwawego tygodnia" w maju 1871 r.
- **26 czerwca** – dla upamiętnienia krwawego stłumienia robotniczego powstania czerwcowego z 1848 r., które według LFI symbolizuje zerwanie francuskich elit z ideą republiki społecznej.
- **30 lipca** – dzień przyjaźni. Zdaniem LFI „przyjaźń jest kategorią polityczną o potencjale rewolucyjnym", sprzyjającą solidarności i rozwojowi jednostki.
- **4 sierpnia** – na pamiątkę zniesienia przywilejów feudalnych szlachty i duchowieństwa przez Zgromadzenie Narodowe w 1789 r.
- **22 września** – dla uczczenia proklamowania I Republiki Francuskiej w 1792 r., wydarzenia uznawanego za początek końca wielowiekowego porządku feudalnego.

LFI argumentuje, że Francja ma obecnie 11 dni ustawowo wolnych od pracy, podczas gdy średnia w Unii Europejskiej wynosi 12. Partia powołuje się również na dane OECD, według których francuski pracownik przepracowuje średnio 1491 godzin rocznie, czyli więcej niż pracownicy m.in. w Niemczech, Norwegii, Danii, Szwecji, Austrii, Islandii, Luksemburgu czy Holandii. 33 poprawki złożone przez LFI są więc wyrazem sprzeciwu wobec projektu dopuszczającego pracę 1 maja. Według Thomasa Portesa i Ersilii Soudais odebranie pracownikowi choćby jednego dnia świątecznego oznacza pozbawienie jego bliskich wspólnego czasu oraz ograniczenie społecznej funkcji świąt jako okresu odpoczynku i uczestnictwa w życiu wspólnotowym. Posłowie uważają, że projekt jest kolejnym atakiem „na jedno z najważniejszych osiągnięć społecznych" francuskiego modelu pracy.

Warto także podkreślić, że odbiór działań rządu wśród pokolenia, które wchodzi na rynek pracy, jest wyjątkowo negatywny. Nie dość, że młodzi ludzie mierzą się z bezprecedensowym kryzysem związanym z brakiem perspektyw, to jeszcze często zmuszeni są akceptować umowy na gorszych warunkach niż te, które podpisywali ich rodzice. W pokoleniu Z większa jest także świadomość własnych praw, a to powoduje, że zabezpieczenia pracownicze są dla nich równie ważne jak dostęp do pracy.

Spór o 1 maja i ewentualne nowe dni wolne od pracy wykracza jednak daleko poza techniczne kwestie organizacji kalendarza. Staje się kolejną odsłoną głębszego konfliktu o sens francuskiego modelu socjalnego, który od dekad tylko pozornie ochrania pracowników. Z jednej strony pojawia się presja dostosowania do realiów globalnej konkurencji, wymuszającej większą elastyczność i wydłużenie aktywności zawodowej. Z drugiej – silnie zakorzenione jest przekonanie, że czas wolny, święta i odpoczynek stanowią nie przywilej, lecz fundament republikańskiego ładu społecznego.

Odpowiedź na pytanie, czy więcej dni wolnych oznacza dziś luksus nie do utrzymania, czy też istotę francuskiego modelu „cywilizacyjnego", pozostaje otwarta, ale od niej zależy przyszłość całego systemu.

Sarah Bomba

eprasa.pl 66800531b1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wojna czy (nie)pokój – uczta debatowania

Naukowcy i naukowczynie z najlepszych uniwersytetów, Polki i Polacy a także osoby pochodzenia polskiego z całego świata przyjechali do Warszawy na debatę w ramach Concilium Civitas, instytucji afiliowanej przy Uniwersytecie Civitas.

Imponujący jest fakt, jak z inicjatywy Jacka Żakowskiego udaje się corocznie zaprosić do udziału tak liczną grupę wybitnych ekspertów z takich uniwersytetów jak Oxford, Harvard, Yale, Columbia, Chicago, São Paulo, Sydney i wielu innych. To okazja do wysłuchania wypowiedzi i sporów, które prowadzone z takim rozmachem właściwie w Polsce się nie zdarzają. Daje to niezwykłą okazję doświadczenia klimatu debaty, z jaką w naszym kraju rzadko mamy do czynienia w sferze publicznej. Czyni ją to wyjątkową, choć nie wzbudza takiego zainteresowania i zaciekawienia mediów, jak choćby Open'er Festival.

Tegoroczne dyskusje skupiały się wokół hasła „Wojna czy (nie)pokój", co pozwalało poznać skrajnie odmienne podejścia interpretacyjne i wielokierunkowe możliwości rozmowy na ten bardzo szeroko zakreślony temat. Zaskoczyło mnie, że bardzo wielu prelegentów kluczowy temat rozpatrywało niemal wyłącznie w kontekście wojny w Ukrainie, ale i cieszyły głosy (prof. Ladislau Dowbor), które odnosiły się do globalnej rzeczywistości przemocy wojennej. Można zaryzykować stwierdzenie, że słyszalny był głos i bogatej Północy, i globalnego Południa, co radykalnie poszerzało przestrzeń debaty. Interesujące było usłyszenie stanowisk osób pracujących naukowo na uczelniach związanych ze sztuką wojenną czy z wojskowością, które zderzały się z opiniami „humanistów" i przedstawicieli nauk społecznych. Wyglądało na to, że do takich zderzeń intelektualnych dochodzi bardzo rzadko – niosą konieczność skonfrontowania się ze stylami całkowicie odmiennego myślenie i argumentowania oraz krzyżowania się języków naukowej interpretacji.

By przybliżyć rozmach poruszanych kwestii wymienię część tytułów debat oraz uczestników dyskusji. Spotkanie otworzył wykład „Weaponizacja w czasach wojny i (nie)pokoju" Andrzeja Szeptyckiego (podsekretarza stanu w MNiSW).

Kolejne panele to:

• „Narody niezgody" – wprowadzenie: prof. Jan Zielonka (Uniwersytet Oksfordzki, Uniwersytet Warszawski, współinicjator Concilium Civitas), komentarz: prof. Anna Wojciuk (Uniwersytet Warszawski); uczestnicy paneli: prof. Piotr H. Kosicki (Uniwersytet Maryland w College Park, Uniwersytet McGilla w Montrealu), prof. Agnieszka Pasieka (Uniwersytet w Montrealu), prof. Anita Jean Prażmowska (London School of Economics), prof. Michał Krzyżanowski (Uniwersytet w Uppsali).

• „Dziwna wojna" – wprowadzenie: prof. Katarzyna Zysk (Norweski Uniwersytet Obrony), komentarz: prof. Jacek Siewiera (Akademia Marynarki Wojennej); panel: prof. Ireneusz P. Karolewski (Uniwersytet Lipski), prof. Irena Grudzińska-Gross (Uniwersytet w Princeton).

• „Gospodarka (nie)pokoju" – wprowadzenie: prof. Ladislau Dowbor (Papieski Uniwersytet Katolicki w São Paulo), komentarz: Beata Stelmach (prezes Totalizatora Sportowego); panel: dr Paweł Bukowski (University College London, PAN), dr Wojciech Paczos (Uniwersytet w Cardiff), prof. Ania Zalewska (Uniwersytet w Leicester).

• „Demokracja wojenna" – wprowadzenie: prof. Elżbieta Matynia (New School for Social Research), komentarz: prof. Radosław Markowski (PAN); panel: prof. Mateusz Grochowski (Uniwersytet Tulane w Nowym Orleanie, Uniwersytet w Yale), prof. Jan Pakulski (Uniwersytet Tasmański w Hobart), prof. Jan Kubik (Uniwersytet Rutgersa w Nowym Brunszwiku, dziekan Concilium Civitas), dr Natalia Krzyżanowska (Uniwersytet Örebro).

Całość zakończyła Wielka Doroczna Debata Concilium Civitas – „Stan gry", a gośćmi panelu byli: prof. Ladislau Dowbor (Papieski Uniwersytet Katolicki w São Paulo), prof. Elżbieta Matynia (New School for Social Research), prof. Wojciech Sadurski (Uniwersytet w Sydney i Uniwersytet Warszawski), prof. Jan Zielonka (Uniwersytet Oksfordzki, Uniwersytet Warszawski), prof. Katarzyna Zysk (Norweski Uniwersytet Obrony).

Zapis dyskusji można obejrzeć, klikając linki :https://www.facebook.com/conciliumcivitas lub: https://www.youtube.com/results?search_query=concilium+civitas.

O szczegółach spotkania można także przeczytać w Almanachu Concilium Civitas, gdzie publikowane są teksty uczestników i uczestniczek: https://conciliumcivitas.pl/almanachy/almanach-2026-27/.

Jestem głęboko przekonany, że przez kilka dni XII piętro Pałacu Kultury i Nauki gościło jedną z najciekawszych inicjatyw intelektualnych w Polsce.

Trudno kończyć zaproszenie do wejścia w ten świat jednym zdaniem, zdecydowałem się więc przywołać krótki fragment eseju prof. Ladislava Dowbora: „Dysponujemy wystarczającymi zasobami finansowymi, produkujemy już tyle, by wszyscy mogli prowadzić komfortowe i godne życie; wiemy też, co należałoby zrobić. W tym celu potrzebujemy globalnego paktu, a nie dominacji »twardej siły«". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66800531b1

Czy bezpłatna plaża stanie się wkrótce luksusem?

Tomasz Skowronek

Kilkaset osób w milczeniu wspina się stromą drogą prowadzącą przez wzgórza Parku Narodowego Arrábida. Nie niosą transparentów z hasłami wymierzonych w rząd czy deweloperów. Nie protestują przeciwko budowie autostrady, kopalni czy elektrowni. Mijają sosny, wapienne skały i zatoki, które od pokoleń są częścią krajobrazu południowej Portugalii. Wiedzą, że jeśli przegrają, miejsce to już nigdy nie będzie takie samo.

Na pierwszy rzut oka wygląda to jak lokalny spór o fragment ziemi. W rzeczywistości jest symbolem konfliktu, który rozlewa się po całej Europie. Coraz częściej mieszkańcy wychodzą na ulice nie po to, by walczyć o wyższe płace czy niższe podatki, lecz o prawo do korzystania z przestrzeni, która przez dziesięciolecia wydawała się wspólna.

Stawką jest plaża. Ta sama, na której uczyli się pływać jako dzieci, na którą przychodzili z rodzicami i spędzali letnie popołudnia. Dziś obawiają się, że to miejsce wkrótce stanie się częścią luksusowej inwestycji, a dostęp do niego przestanie być oczywisty.

To nie jest wyłącznie portugalska historia. Podobne protesty wybuchają od Atlantyku po Morze Egejskie. W Grecji mieszkańcy walczą z ekspansją prywatnych leżaków, w Turcji protestują przeciw komercjalizacji wybrzeża, w Hiszpanii sprzeciwiają się zabudowie linii brzegowej, a we Włoszech od lat trwa spór o to, czy plaże są jeszcze dobrem wspólnym, czy jedynie dochodowym biznesem.

Coraz częściej przedmiotem konfliktu nie jest samo morze. Chodzi o prawo, by w ogóle móc do niego dojść.

Ręce precz od Arrábidy!

Setki mieszkańców aglomeracji Setúbal protestowały 19 lipca przeciwko temu, co określają jako próbę prywatyzacji fragmentu wybrzeża Parku Narodowego Arrábida. Demonstracja odbyła się zaledwie kilka tygodni po tym, jak Portugalska Agencja Ochrony Środowiska (APA) przed sezonem letnim zapewniała, że „w Portugalii nie ma czegoś takiego jak prywatna plaża". Jednak zdaniem protestujących rzeczywistość wygląda inaczej.

W Grecji łączna liczba chronionych plaż objętych programem Natura 2000 wzrosła do 251.

Marsz zorganizowany przez ruch obywatelski Deslarrrguem a Arrábida! (Ręce precz od Arrábidy!) zgromadził mieszkańców, ekologów oraz polityków różnych ugrupowań. Ich sprzeciw to odpowiedź na działania spółki Palácio da Comenda – właścicieli posiadłości Herdade da Comenda, która domaga się uznania, że tereny graniczące z ujściem rzeki Sado – wraz z plażami Rasca, Comenda, Rainha, Maria Esguelha i Albarquel – powinny zostać uznane za własność prywatną, a nie część publicznej domeny morskiej.

Spór nie dotyczy wyłącznie plaż. Mieszkańcy protestują przeciw stawianiu ogrodzeń, zamykaniu tradycyjnych dróg prowadzących nad morze oraz próbom przejęcia drogi miejskiej nr 1056. „Protestujemy przeciw zamknięciu dostępu publicznego, budowie ogrodzeń i zamiarowi właścicieli Herdade da Comenda, którzy chcą przejąć drogę miejską", powiedział organizator protestu João Cruz. W demonstracji uczestniczył również koordynator Bloku Lewicy José Manuel Pureza: „Musimy się przeciwstawić bezczelności bardzo bogatej rodziny, która uważa, że ma prawo do plaż tylko dla siebie, tylko dlatego że jest bardzo zamożna".

Choć portugalskie prawo gwarantuje publiczny charakter wybrzeża, mieszkańcy obawiają się, że formalne przepisy coraz częściej będą przegrywać z interesami właścicieli atrakcyjnych nadmorskich terenów. Nie jest to jednak wyłącznie portugalski problem.

Plaże mają być dla ludzi

Latem 2023 r. podobny protest wybuchł w Grecji. Tym razem przeciwnikami mieszkańców nie byli właściciele ziemscy, lecz właściciele barów i klubów plażowych, którzy rok po roku zajmowali coraz większą część wybrzeża, rozstawiając na nim leżaki i parasole.

Odpowiedź mieszkańców na te działania była zaskakująco prosta. Przychodzili na plaże z własnymi ręcznikami i rozkładali je tam, gdzie zgodnie z prawem powinno być miejsce dostępne dla wszystkich. Tak narodził się tzw. ruch ręcznikowy. Organizatorzy nie walczyli z turystyką, lecz domagali się egzekwowania obowiązującego prawa.

„Oburzeni – i słusznie – obywatele organizują się i domagają się oczywistego: bezpłatnego dostępu do plaży, która zgodnie z konstytucją jest domeną publiczną", głosiły nagłówki gazet. Protest szybko rozprzestrzenił się z Paros na inne greckie wyspy. Media zaczęły opisywać obywatelską mobilizację jako jeden

eprasa.pl 66800531b1

Marsz zorganizowany przez ruch obywatelski Deslarrrguem a Arrábida! (Ręce precz od Arrábidy!) zgromadził mieszkańców, ekologów oraz polityków różnych ugrupowań.

z najciekawszych przykładów oddolnej walki z nadmierną komercjalizacją przestrzeni publicznej. Co ważne, demonstracje przyniosły wymierne efekty.

W kwietniu 2026 r. grecki rząd rozszerzył listę chronionych plaż do kilkuset lokalizacji. Na tych odcinkach wybrzeża obowiązuje zakaz ustawiania parasoli, leżaków, food trucków czy tymczasowych konstrukcji, a także obowiązują ograniczenia dotyczące zgromadzeń, pojazdów i nagłośnienia.

„Dzięki ostatnio dodanym miejscom łączna liczba chronionych plaż objętych programem Natura 2000 wzrosła do 251", informował dziennik „Kathimerini". Status Natura 2000 chroni wybrane fragmenty wybrzeża nie tylko przed zabudową, ale również przed stopniowym ich przekształcaniem w kolejne komercyjne kurorty.

Podobne hasło coraz częściej słychać także po drugiej stronie Morza Egejskiego. W Turcji protestujący skandują: „Plaże należą do ludzi!". Choć tureckie prawo jasno określa wybrzeże jako dobro publiczne, rzeczywistość wygląda inaczej. Wzdłuż wybrzeża Morza Egejskiego kolejne odcinki plaż zajmują prywatne kluby, hotele i płatne strefy wypoczynku. Coraz trudniej znaleźć miejsce, gdzie można po prostu rozłożyć własny ręcznik.

Od Çeşme przez Bodrum po Ayvalık dostęp do morza coraz częściej wiąże się z obowiązkową opłatą lub warunkowany jest określoną kwotą wydaną w restauracji czy klubie plażowym. Na części plaż koszt jednodniowego pobytu przekracza dzienne wynagrodzenie osoby otrzymującej płacę minimalną.

W lipcu głośno było o wydarzeniach w Bodrum, nazywanym czasem tureckim Saint-Tropez. Doszło tam do sporu między mieszkańcami, którzy chcieli korzystać z plaży i rozłożyć się na niej z własnymi ręcznikami, a przedstawicielami prywatnych firm zarządzających terenami nadmorskimi. Jedni przekonywali, że plaże są dobrem wspólnym, drudzy twierdzili, że mają wyłączne prawo do korzystania z zajmowanego przez siebie odcinka wybrzeża.

Konflikt wpisuje się w szerszą debatę o kosztach życia i turystyki w Turcji. Według dziennika „Hürriyet" ceny w prywatnych klubach plażowych wzrosły przed sezonem o 20-30%, a część obiektów zrezygnowała z opłat za wejście, zastępując je obowiązkową minimalną kwotą do wydania na miejscu.

Krajobraz zmienia się w towar

Hiszpania od dziesięcioleci jest symbolem masowej turystyki. To właśnie tutaj już w latach 60. rozpoczął się bum budowlany, który na trwałe zmienił znaczną część wybrzeża. Hotele, apartamentowce, mariny i kompleksy wakacyjne zaczęły powstawać niemal przy samej plaży. W wielu miejscach zniknęły wydmy chroniące wybrzeże, naturalna roślinność została zastąpiona betonem, a krajobraz podporządkowano potrzebom rynku turystycznego.

Co pewien czas w różnych regionach kraju wybuchają protesty przeciwko kolejnym tego typu inwestycjom. Mieszkańcy zwracają uwagę na fakt, że linia brzegowa staje się coraz bardziej zabudowana, a przestrzeń, która miała pozostać wspólna, stopniowo zamienia się w towar.

Jeszcze dalej poszły Włochy, gdzie symbolem letniego wypoczynku stały się prywatne kąpieliska. Model prywatnych klubów plażowych

FOT. FB.COM/TREVO TRANSIÇAO ECOLÓGICA VOLUNTÁRIA

eprasa.pl 66800531b1

funkcjonuje w wielu krajach Europy, ale nigdzie nie osiągnął takiej skali jak właśnie tam. Większość piaszczystych odcinków liczącego ok. 8 tys. km włoskiego wybrzeża objęta jest koncesjami.

W gminie Gatteo nad Adriatykiem niektóre fragmenty plaż są niemal w całości zajęte przez prywatnych operatorów. Plażowicze płacą za wszystko: leżaki, parasole, dostęp do basenów, restauracji czy parkingów. Od świadczących te usługi właścicieli państwo pobiera stosunkowo niewielkie opłaty.

Według raportu włoskiego Trybunału Obrachunkowego w latach 2016-2020 wpływy z koncesji wynosiły średnio zaledwie 101,7 mln euro rocznie, choć wartość całej branży szacowana jest na 7-8 mld euro. Największe prywatne kompleksy, zajmujące tysiące metrów kwadratowych atrakcyjnego wybrzeża, płacą często zaledwie kilkanaście tysięcy euro rocznie. W praktyce oznacza to, że popularne kąpielisko potrafi zarobić na czynsz za cały sezon w ciągu jednego dnia.

W niektórych częściach Toskanii ponad 90% stanowią prywatne plaże. W Kampanii prywatne koncesje obejmują ok. 70% wybrzeża, a w samym Neapolu – nawet 95%.

Znalezienie *spiaggia libera*, czyli bezpłatnej plaży, coraz częściej oznacza długi spacer. Takie miejsca znajdują się zwykle z dala od kurortów, przy ujściach rzek lub na kamienistych fragmentach wybrzeża. Często brakuje tam ratowników, toalet i podstawowej infrastruktury.

Niedawno włoskie media żyły historią kobiety z Apulii, która została upomniana, ponieważ jej syn jadł na plaży kanapkę przyniesioną z domu. Kobieta wcześniej zapłaciła za leżaki i parasol, jednak regulamin prywatnego kąpieliska zabraniał spożywania własnego jedzenia. Incydent wywołał ogólnokrajową dyskusję o granicach komercjalizacji plaż oraz o tym, czy właściciele prywatnych kąpielisk mogą kontrolować każdy aspekt pobytu swoich gości. Problem miał zostać rozwiązany już niemal 20 lat temu.

W Turcji coraz trudniej znaleźć miejsce na rozłożenie własnego ręcznika.

Bitwa o europejskie plaże

Dyrektywa Bolkesteina z 2006 r. zobowiązała państwa Unii Europejskiej do przyznawania koncesji na korzystanie z wybrzeża w drodze otwartych, przejrzystych i konkurencyjnych przetargów. Celem było ukrócenie wieloletnich przywilejów i otwarcie rynku. Kolejne włoskie rządy jednak odwlekały reformę. Termin wdrożenia przepisów przesuwano z 2012 na 2015 r., następnie na 2020. W końcu w 2018 r. przedłużono obowiązywanie dotychczasowych koncesji aż do 2033 r.

Dlaczego tak się stało? Roberto Biagini, prawnik i były radny Rimini, w rozmowie z magazynem „Monocle" nie pozostawia złudzeń. Sytuacja ma się tak, a nie inaczej, „ponieważ we Włoszech nie ma poważnej klasy politycznej. Lewica, prawica, centrum, Ruch Pięciu Gwiazd i rządy techniczne – wszystkie były pod butem lobby plażowego establishmentu". To dlatego m.in. stowarzyszenie Mare Libero od 2019 r. prowadzi kampanię na rzecz odzyskania większej części plaż dla mieszkańców. Bo dostęp do morza nie powinien zależeć od grubości portfela.

Historie z Portugalii, Grecji, Turcji, Hiszpanii i Włoch różnią się szczegółami, ale opowiadają o tym samym zjawisku. W całej Europie wybrzeże staje się coraz cenniejszym zasobem. Rosną ceny gruntów, rozwija się turystyka premium, a wraz z nią presja na zagospodarowanie każdego atrakcyjnego fragmentu plaży. Formalnie większość europejskich wybrzeży pozostaje dobrem publicznym. W praktyce coraz częściej trzeba zapłacić za leżak, przejść przez teren prywatnego hotelu albo szukać ostatnich skrawków piasku, na których można rozłożyć własny ręcznik.

Przez stulecia plaża była przestrzenią wspólną – miejscem spotkań, odpoczynku i swobodnego dostępu do morza. Dziś coraz częściej staje się produktem. Jedni płacą za leżak, drudzy za wejście, jeszcze inni za apartament z widokiem na wodę.

Czy za kilkanaście lat bezpłatna plaża będzie jeszcze czymś oczywistym, czy stanie się luksusem?

Tomasz Skowronek

eprasa.pl 66800531b1

Oko w oko Tomasz Jastrun

Nie tylko szwajcarskie krajobrazy

Muszę wrócić do luksusowego Wróblewa. Powinienem przewidzieć, że luksus tego miejsca może pobudzić zazdrość niektórych czytelników i oburzenie, że mnie na to było stać. Wyjaśniam, że taki był kaprys właściciela, by mnie było na to stać. Zdarza się. Na Szwajcarię też nie byłoby mnie stać, gdybyśmy nie zamieszkali w domu naszej przyjaciółki. Pragnę tym wyjaśnieniem pocieszyć niektórych czytelników moich felietonów. Jedziemy na tym samym wózku, nawet eleganckim, ale ciągniętym przez zabiedzoną szkapę.

•

Anna Siewierska, politolożka, którą poznałem w Wejherowie, fajna osoba, pisze o PiS: „Manichejski obraz świata – dobro i zło, cywilizacja chrześcijańska i barbarzyńcy »poza kulturą«, polityka godności i »obrzydliwcy«. Ruszyła kampania wyborcza, w której PiS już nawet nie udaje, że ma politycznych przeciwników – ma wrogów, których trzeba pokonać i zniszczyć. Podstawowa emocja to, jak zwykle, strach. Ale jest też coś nowego – wstręt – Tusk i jego ludzie mają wzbudzać obrzydzenie, mają się kojarzyć ze zwyrodnialcem z Kłodzka, z psychopatycznym szefem prosektorium w Warszawie, ze zbezczeszczonymi zwłokami starca ze Szpitala Południowego i upokorzoną staruszką czekającą wiele godzin na operację wyrostka. Czyjś ojciec i czyjaś matka. Te emocje będą rezonować, bo Polacy mają krótką pamięć. Czy Koalicja Obywatelska ma pomysł, jak reagować? Czy będzie potrafiła narzucić własną narrację, czy będzie jedynie gasić pożary?”.

Tyle cytat. Otóż własnej narracji liberałów za bardzo nie widać. Bardzo podobnie było, gdy przed laty przegrywaliśmy wybory. Mądrzy ludzie ostrzegają, że kiedy do władzy dojdzie trójgłowa prawica, to wpadniemy w czarną dziurę i będzie faszyzm. Nie widzę tego aż tak czarno, to nie będzie faszyzm, tylko faszyźmik z polskim schabowym wkładem. I na pewno bardzo popsują demokrację i postarają się, aby nie stracić władzy. Można tylko liczyć, że będą się podgryzać nawzajem. To już się zaczęło. Morawiecki rozbija PiS. Muszę powiedzieć, że tego bym po tym cyniku się nie spodziewał. Prezes też się tego nie spodziewał i jest głęboko wstrząśnięty nielojalnością byłego premiera, którego w swoim geniuszu wymyślił, podobnie jak Dudę i Nawrockiego. Prezes całą swoją istotą nie ufa ludziom, co nie chroni go przed błędami. To były błędy konieczne, jakby powiedział Wałęsa. Ambicja to zdumiewające zwierzę, im więcej dostaje władzy, tym bardziej rośnie.

•

W Szwajcarii. Blisko naszej wsi Denens miasteczko Morges, niemal codziennie okrążamy rondo, na którym Paderewski uchyla kapelusza, stojąc przy białym fortepianie. W Morges w 1936 r powołany został tzw. Front Morges – polityczne porozumienie działaczy polskich stronnictw centrowych, zawiązane z inicjatywy Ignacego Jana Paderewskiego i gen. Władysława Sikorskiego, skierowane przeciw sanacji. Tak, w Polsce zapachniało wtedy faszyzmem. Paderewski miał pod Morges posiadłość. Ten światowej sławy pianista i polityk ma ogromne zasługi dla odrodzenia Polski w 1918 r. Planuję czytać o nim, gdy wrócę do kraju.

•

Antek, nasz syn kinoman, poszedł w Lozannie na premierę „Odysei”, filmu Nolana. Była prędzej niż w Polsce, a on nie mógł się doczekać. My w tym czasie spacerujemy po mieście rozrzuconym po wzgórzach. W Lozannie w latach 1939-1940 mieszkał i wykładał Mickiewicz, tu napisał kilka wierszy nazwanych lirykami lozańskim. Małe, zwięzłe jak drogocenne kamyki. To ostatnie jego utwory.

Ambicja to zdumiewające zwierzę,
im więcej dostaje władzy, tym bardziej rośnie.

I zamilkł. Do śmierci w 1855 r. nie napisał już żadnego wiersza. Stracił talent? Nie traci się talentu, schodzi się tylko czasami z poetyckiej ścieżki, a wtedy zarasta ona drzewami. Sztuka przestała być ważna, ważny był czyn. Legion żydowski, który tworzył potem w Turcji – miał się bić o wolną Polskę – przyprawiłby Brauna o ból głowy. No i ta matka wieszcza bardziej niż podejrzana, bo z frankistów.

•

Francuskie Annecy. Oszałamiający widok na jezioro w ramach Alp. Stare miasto poprzecinane kanałami. Wpływ piękna na nastrój, tego nie da się oszacować. Będąc w nim, szybko do niego się przyzwyczajamy i przestajemy je doceniać. Picasso pytany, dlaczego w jego domu i w pracowni obrazy stoją odwrócone grzbietami, odparł, że jak wiszą, to widzi po jakimś czasie tylko ramy. Tak, ale myślę że nawet piękno, do którego przywykliśmy, jest z nami i karmi nas sobą.

•

Marysia jest milionerką i ma dwuskrzydłowy dom z dużym błękitnym basenem nad Jeziorem Lemańskim, oraz panoramicznym widokiem na Alpy. I ma też wielkie zmartwienie, bo jest teraz sama. Tyle przestrzeni i piękna dla jednej tylko osoby to wielka bieda. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66800531b1

Ojciec czerwonych beretów

Życiorys gen. Edwina Rozłubirskiego wymyka się czarno-białym schematom

Wiktor Brożek

Czerwonych beretów nie trzeba przedstawiać nikomu. Formacja powstała w 1957 r. jako 6. Pomorska Dywizja Powietrznodesantowa z siedzibą w Krakowie i stała się jedną z najbardziej znanych jednostek Wojska Polskiego. Dołączenie do niej zawsze było chlubą, powodem do dumy, ale i zobowiązaniem. Wielką popularność zyskała m.in. dzięki filmowi „Czerwone berety" z 1962 r. w reżyserii Pawła Komorowskiego. Jedną z kluczowych postaci wojsk powietrznodesantowych, ukształtowaną przez wielu dowódców, a obecnie wygumkowywaną z kart historii, był gen. Edwin Rozłubirski. Postać barwna, ale dla wielu zbyt „niepoprawna". Zwłaszcza dla tych, którzy go nigdy nie poznali.

W 1963 r. Edwin Rozłubirski został dowódcą 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej, elitarnej jednostki spadochroniarzy.

Młodość generała w żaden sposób nie wskazywała na jego przyszłą drogę polityczną. Urodził się 4 maja 1926 r. w Białymstoku w polsko-żydowskiej rodzinie bez większych sympatii politycznych (o których byśmy wiedzieli). W 1939 r. wstąpił do Korpusu Kadetów nr 1 im. Józefa Piłsudskiego we Lwowie. W tym samym roku wybuchła wojna. Po latach generał krytycznie oceniał rzeczywistość polityczną sanacyjnej Polski. Państwo w jego oczach było wsteczne i nierozwijające się, opresyjne w stosunku do mniejszości narodowych i prowadzące absurdalną politykę zagraniczną: Polska najpierw konfliktowała się ze wszystkimi sąsiadami, by później szukać sojuszników daleko. Jakkolwiek oceniałby jednak swoje państwo, musiał szybko dorosnąć i walczyć. Nie tylko o życie swoje, ale i za naród.

Wojna zastała młodego kadeta we Lwowie, w którego obronie brał udział. Miasto zajęła Armia Czerwona. Okres wojny był w życiu przyszłego generała czasem trudnych wyborów. Miał tylko 15 lat i w tych ciężkich warunkach musiał sobie radzić zupełnie sam. Jak wspominał, szukał wtedy wyłącznie zemsty na okupancie. Ideologia kryjąca się za tą walką nie miała dla niego znaczenia. W końcu trafił do Gwardii Ludowej, gdzie dostał się na kurs podoficerski (lub coś, co go w tamtych warunkach przypominało), i walczył na Kielecczyźnie – obszarze ze szczególnie rozbudowanymi w skali kraju strukturami GL, a później i AL. To wtedy, jak wspominał, stał się jednoznacznie lewicowy, choć nie był w stanie jeszcze tego tak nazwać. Ogromna bieda tamtejszej prowincji sprawiła, że walka o wolną Polskę stała się dla niego także walką o postęp społeczny. Przedwojenna sanacyjna Polska nie była zdolna go zapewnić.

Wziął także udział w walkach w powstaniu warszawskim, gdzie odznaczył się w boju. Za swoją walkę dostał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari od dowódcy Armii Krajowej Tadeusza Bora-Komorowskiego. Takie to były skomplikowane losy Polaków.

Trudno uznać, by polityka była dla Rozłubirskiego sprawą istotną, by kierował się nią w życiowych wyborach. Trzeba jednocześnie pamiętać, że w tak młodym wieku i w takich warunkach nie należy oczekiwać tej dogłębnej wiedzy o rzeczywistości, która nam dzisiaj jest dana. Generał, patrząc wstecz, po latach mówił, że nie żałował żadnego z wyborów i że gdyby wrócił do tamtych czasów, postąpiłby tak samo. Kierowały nim motywy patriotyczne i w danym momencie inna opcja z jego punktu widzenia, mówiąc delikatnie, była nierealistyczna. Przed takimi samymi dylematami stanął nie tylko on, ale i całe pokolenie, które do Wojska Polskiego trafiło z Syberii, a później zdobyło Berlin i na Bramie Brandenburskiej zatknęło biało-czerwoną flagę.

Po wojnie w sposób naturalny karierę związał z wojskiem. Nie ma sensu wymieniać każdej jednostki, w której służył. Najważniejsze informacje to wątki związane z nauczaniem w Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie oraz walką z Ukraińską Powstańczą Armią w Bieszczadach. Jak widać, koniec wojny nie oznaczał końca walk.

Ze względu na swoją przeszłość Rozłubirski miał w ówczesnych warunkach także problemy. Wypominano mu otrzymanie Virtuti Militari od „londyńskiego" generała. W wyniku czystki wymierzonej w środowisko Władysława Gomułki i lewicę, która działała w kraju podczas wojny, został pod koniec 1950 r. zawieszony w pełnieniu obowiązków służbowych. Bronił wówczas Gomułki, Żymierskiego i Spychalskiego. Nie dał się złamać nawet wtedy, gdy był odpowiedzialny również za żonę i dwie córki. Po zawieszeniu w czynnościach został kierowcą ciężarówki, ale Informacja Wojskowa wciąż starała się wymusić na nim zeznania dotyczące wspomnianych przełożonych, których obciążano wydumanymi zarzutami z czasów wojny.

eprasa.pl 66800531b1

Spokój odzyskał po 1956 r. Demokratyzacja i przemiany polityczne, w wyniku których zelżały wcześniejsze represje, sprawiły, że mógł ponownie zacząć służbę w wojsku, i to na nie byle jakim stanowisku, bo szefa gabinetu Ministra Obrony Narodowej. Być może marszałek Spychalski docenił jego niezłomność i siłę ducha. Awansowany na pułkownika Rozłubirski objął także dowództwo 1. Praskiego Pułku Zmechanizowanego, utworzonego w miejsce 1. Dywizji Piechoty powstałej w Sielcach nad Oką.

Gen. Edwin Rozłubirski, 26 sierpnia 1984 r.

Kraków stał się dla płk. Rozłubirskiego miejscem szczególnie ważnym, które nosił w pamięci do końca życia. W 1963 r. został dowódcą 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej, elitarnej jednostki spadochroniarzy w czerwonych beretach. Ta tzw. dzika dywizja była szczególnie bliska Krakowianom i niejednokrotnie stawała się powodem ich dumy. Gdy dowodził nią Rozłubirski, spadochroniarze byli obecni w życiu całego regionu. Organizowali przysięgi na Rynku Głównym, ratowali podróżników, którzy utknęli w górach, a w 1965 r., podczas ćwiczeń wojsk Układu Warszawskiego w okolicach Erfurtu w NRD, zaprezentowali się jako nowoczesna jednostka w niczym nieustępująca zachodnim odpowiednikom. Dywizja wzięła też udział w asyście i oprawie pogrzebu legendarnego polskiego generała, Stanisława Sosabowskiego, dowódcy polskich spadochroniarzy uczestniczących w słynnej operacji Market Garden. Jego prochy zostały sprowadzone do Polski i złożone na cmentarzu na Powązkach.

Edwin Rozłubirski, awansowany w 1965 r. na generała brygady, nie mógł całkowicie odseparować się od polityki. Podczas pełnienia służby w Krakowie popadł w konflikt z I sekretarzem KW PZPR Czesławem Domagałą. Współpraca generała z poprzednikiem Domagały, Lucjanem Motyką, układała się na ogół dobrze, ale Domagała miał inny charakter. Spierali się o np. bractwo kurkowe, które Rozłubirski objął patronatem, a które I sekretarz uważał za przeżytek.

Punktem zwrotnym okazały się protesty studenckie w 1968 r. Generał odmówił użycia swoich żołnierzy przeciwko demonstrującym. Mimo szacunku i podziwu dla Gomułki potrafił zachować własny osąd sytuacji.

Pod koniec 1950 r. Rozłubirski, zawieszony w pełnieniu obowiązków służbowych, bronił Gomułki, Żymierskiego i Spychalskiego, nie dał się złamać.

Niestety, za niezależność i sprzeciw zapłacił wysoką cenę – został odwołany z pracy w MON, a w 1971 r. zwolniono go ze służby i przeniesiono do rezerwy.

Po tych wydarzeniach nadal działał w organach państwa, miał swój wkład w tworzenie polskich wojsk specjalnych, czego efektem jest współczesny GROM. Dbał szczególnie o pamięć o polskich spadochroniarzach, zarówno tych z czasów II wojny światowej, jak i współczesnych. Napisał wiele wspomnień, a nawet opowiadań wydanych w słynnej Bibliotece Żółtego Tygrysa. Pozostawał aktywny publicznie do końca życia, udzielał się w mediach i nie ukrywał lewicowych poglądów. Bronił dorobku swojego, ale i tych, którzy byli za słabi lub już nie mogli się bronić. Był nawet kandydatem Sojuszu Lewicy Demokratycznej do Senatu w 1993 r., lecz nie uzyskał mandatu. Zmarł 12 maja 1999 r. w Warszawie.

Mimo że w życiu musiał dokonywać trudnych, a nawet kontrowersyjnych wyborów, nie sposób mu odmówić charakteru i samodzielności w podejmowaniu osądów. Nie był karierowiczem, tylko oddanym żołnierzem. Nic więc dziwnego, że w środowisku polskich spadochroniarzy jest dobrze pamiętany i często wspominany. To szczególnie ważne w momencie, gdy niektórzy na historii chcą eksperymentować. Sławomir Cenckiewicz w 2016 r. powiedział w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej", że nie chce, by Centralne Archiwum Wojskowe, którym kierował, znajdowało się przy ulicy Czerwonych Beretów. Uznał, że tradycja polskich spadochroniarzy jest tylko jedna, i wykluczył z niej całą historię formacji po 1957 r. Spotkało się to oczywiście z oporem weteranów, ale co ważniejsze – także obecnych żołnierzy. ■

FOT. PAP/WITOLD ROZMYSŁOWICZ

eprasa.pl 66800531b1

Misja konsula Herra

Mały konsulat w Opolu łączy działania lokalnych władz i mniejszości niemieckiej

W Opolu znajduje się najmniejszy niemiecki konsulat w Polsce. Ale to tu w trakcie zakończonej właśnie misji konsula Petera Herra na dobre zaistniała nowoczesna kultura niemiecka, miały miejsce polsko-niemieckie wydarzenia miejskie uwspółcześniające wizerunek Niemiec i mniejszości niemieckiej. Opolskie stało się też centrum obchodów 35. rocznicy podpisania Traktatu między Rzecząpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 17 czerwca 1991 r.

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Spotykamy się w 35. rocznicę podpisania traktatu o dobrym sąsiedztwie. Gratuluję uroczystości, podczas której dobrze brzmieli nawet politycy, a Marlena Dietrich „rozmawiała" na scenie z Czesławem Niemenem swoją wersją piosenki „Czy mnie jeszcze pamiętasz?", do której kupiła prawa autorskie.
W jakim punkcie są nasze relacje?

– Nasze państwa, dwaj bezpośredni sąsiedzi, mają dziś silną potrzebę wzmocnienia architektury bezpieczeństwa oraz rozszerzenia współpracy gospodarczej. Wynika to z wydarzeń rozgrywających się poza granicami Niemiec i Polski. Obecnie musimy przeznaczyć niebagatelne środki na zapewnienie zdolności obronnych i bezpieczeństwa obywateli oraz dalsze istnienie naszych państw. Oznacza to również konieczność strategicznego dostosowania kierunku działań gospodarczych, tak aby ten proces się rozwijał.

Jaką rolę widzi pan teraz dla mniejszości niemieckiej, obecnej także w lokalnych władzach województwa opolskiego?

– Dostrzegam zbieżność celów i potrzeb Polaków oraz Niemców, co utwierdza mnie w przekonaniu, że jesteśmy partnerami idealnymi – czy to w kontekście obronności, gospodarki, czy kultury. Mniejszość niemiecka jest podmiotem wyjątkowo pasującym do roli budowniczego mostów między obydwoma społeczeństwami obywatelskimi. Poświęciłem wiele czasu, by zachęcać jej członków do realizacji tego celu, staraliśmy się ich pozyskać do uczestnictwa w tym procesie – skorzystać na tym mogą wszystkie zaangażowane strony. Nasze społeczeństwa lepiej się poznają i nawiązują współpracę. Zrealizowaliśmy wiele wspólnych projektów – także tutaj, w Opolu.

PETER HERR
– kierownik Konsulatu Republiki Federalnej Niemiec w Opolu (2022-2026). Wcześniej zastępca konsula generalnego i kierownik administracji w Konsulacie Generalnym Niemiec w Doniecku, dyplomata w zespole Ambasady Niemiec w Mińsku, placówek w Krakowie, Wilnie, Rydze, Izmirze.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 66800531b1

Brzmi to nieco idealistycznie, bo polska większość jest daleka od realnego kontaktu z niemiecką mniejszością i odwrotnie. Trudno takie relacje nawiązać – myślę o tych częściach Polski, gdzie więcej jest obaw niż doświadczenia ze współmieszkania, bycia sąsiadem.

– Moim celem była reforma i modernizacja projektów dla mniejszości. Odnieśliśmy w tym zakresie kilka sukcesów. Wspólnie – mam na myśli moją współpracownicę, „przewodniczkę" i tłumaczkę, panią Sandrę Cierniak – opracowaliśmy kilka podejść projektowych, które okazały się bardzo skuteczne. Zorganizowaliśmy np. razem festiwal uliczny w Opolu, którego wcześniej nie było. Podjęliśmy współpracę ze Stowarzyszeniem Pro Liberis Silesiae z Raszowej, związanym z dwujęzyczną szkołą Montessori, które wykonuje świetną pracę z młodzieżą, a to jest dla mnie priorytetem, bo to młodzi napędzają świat. Opracowaliśmy projekt współpracy z miastem Opole, udało nam się nawiązać dobre kontakty z opolskim magistratem – prezydent Arkadiusz Wiśniewski był w tej kwestii bardzo otwarty i pomocny. Zrobił to dla swojego miasta i jego mieszkańców – Polaków, Niemców, dla wszystkich. Pozostaję pod ogromnym wrażeniem tych działań.

Jakie wydarzenia były owocem tej współpracy?

– Zorganizowaliśmy np. na rynku w Opolu święto piwa dla Niemców, Polaków i Czechów – czegoś takiego też nie było, Opole organizowało takie wydarzenie wcześniej jedynie z Czechami. Zacieśniliśmy więzi z partnerskim miastem Ingolstadt – tamtejsi artyści i przedstawiciele kultury uznali nasz festyn uliczny za fantastyczne doświadczenie. Zobaczycie państwo niebawem – mnie już tu nie będzie – widowiskowy tradycyjny Schäfflertanz, taniec bednarzy, prezentowany w wybranych miejscach raz na siedem lat. Bednarze zatańczą w Opolu 25 i 26 września.

Kiedy robi się coś dobrego, coś, co zapada ludziom w pamięć, tworzy to pewną ciągłość. I na tym właśnie polega piękno tej misji. To dziedzictwo konsulatu w Opolu i wszystkich osób, które brały w tym udział.

W 2024 r. berlińska scena techno została wpisana przez UNESCO na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego, niedługo później w Opolu gościł festiwal muzyki elektronicznej Resonance.

– Podczas festiwalu ulicznego wymienialiśmy się pomysłami z pracownikami wydziału kultury magistratu. Wspomniałem, że wspaniale byłoby powitać w Opolu didżejów z Berlina, ze słynnych klubów, takich jak Tresor. Sześć miesięcy później magistrat zaakceptował pomysł, projekt odniósł ogromny sukces. Pierwszy festiwal miał miejsce 6 grudnia 2024 r., rok później odbyła się druga edycja, w tym – kolejna. Wspólnie z miastem Opole pokazujemy polskiemu społeczeństwu nowoczesne Niemcy. To niezwykle ważne. Do Opola zjechała także Warszawa.

Pamiętamy kwestię obcięcia dotacji budżetowych w 2022 r. na naukę języka mniejszości narodowych i etnicznych, ale tylko dla języka niemieckiego.

– Był to czas, w którym zaczęły zachodzić pewne bolesne zmiany, zwłaszcza dla mniejszości niemieckiej, którą oczywiście przedstawiano jako wroga numer jeden – tak to wyglądało w kampaniach wyborczych i innych sytuacjach. Kiedy PiS ograniczyło liczbę godzin nauczania języka niemieckiego, uczenie języka mniejszości było trudne. Cieszę się, że to już historia. I to pokazuje prawdziwe oblicze Polski: – demokratycznej i zaangażowanej w równość.

Konsulat we współpracy z marszałkiem opolskim i wojewodą oraz Fundacją im. Friedricha Eberta organizuje konferencję poświęconą obronie cywilnej.

Zaczynał pan kadencję w Opolu w 2022 r., wojna w Ukrainie już trwała. W 2023 r. w Polsce nastąpiły znaczące zmiany polityczne.

– Od samego początku postrzegałem Polskę jako kraj głęboko demokratyczny, niezależnie od tego, kto rządził i która partia miała większość. Fundamenty demokracji pozostały nienaruszone – to coś, co naprawdę w Polsce cenię. Podobnie jest w Niemczech – różne bloki polityczne walczą o większość i władzę, to normalny proces w demokracji. Trzeba mieć świadomość, że partie polityczne prowadzą kampanie. W przypadku PiS przypomina to działania niektórych partii niemieckich: próbują wykreować obraz wroga, przed którym następnie starają się chronić wyborców, a siebie przedstawiać jako wybawców: tylko my możemy uchronić was przed złem. To taktyka partyjna prawdopodobnie tak stara jak same partie polityczne. Nie ma nic wspólnego z polskim sposobem myślenia jako takim; to raczej odwieczny schemat, który był, jest i będzie. Nawet jeśli partia odniesie sukces pozwalający jej rządzić, nie oznacza to, że ma rację w tym, co mówi – i sądzę, że przedstawiciele tych partii zdają sobie z tego sprawę.

Słychać zewsząd, że otworzył pan ten konsulat oraz mniejszość niemiecką na świat zewnętrzny.

– Nic by się nie udało bez zaangażowania partnerów w mieście i w regionie. Aktualnie konsulat we współpracy z marszałkiem opolskim i wojewodą oraz Fundacją im. Friedricha Eberta organizuje konferencję poświęconą obronie cywilnej. Z jednej strony, wynika to z ryzyka powodzi, problemu obu naszych krajów, z drugiej – ochrona ludności jest oczywiście również powiązana z zagrożeniami zewnętrznymi. Niestety, mnie już przy tym nie będzie, ale to my położyliśmy podwaliny pod to wydarzenie – konferencja odbędzie się w Opolu, a nie w stolicy czy innym mieście.

Mamy rok rocznic, w tym 25. rocznicę partnerstwa między Nadrenią-Palatynatem i województwem opolskim.

– Zacytuję w tym miejscu słowa konsula generalnego Martina Kremera: jesteśmy regionem modelowym

eprasa.pl 66800531b1

– wzorowym partnerem, pokazującym, jak można kształtować relacje niemiecko-polskie, jak wiele możemy się od siebie nauczyć i jak wzajemnie się uzupełniać.

W tle mamy incydent w Berlinie z politycznym awanturnikiem Robertem Bąkiewiczem, wywołującym też niepokoje na granicy polsko-niemieckiej.

– Chciałbym podkreślić, że Niemcy i rząd federalny doskonale zdają sobie sprawę, że powstanie Miejsca Pamięci dla Polski 1939-1945 jest konieczne – powiedzmy to w ten sposób – również dla Polski, dlatego Bundestag już podjął decyzję w tej sprawie. Ten kamień (chodzi o ważący ok. 30 ton głaz, który upamiętnia polskie ofiary II wojny światowej – przyp. red.), który z pewnością nie był dobrze potraktowany przez tego dżentelmena, jest symbolem tymczasowym. Gdybym np. ja bez zgłoszenia zgromadzenia w Opolu w podobnym miejscu się pojawił, prawdopodobnie zostałbym przesłuchany. Albo przyszedłby jakiś miły polski policjant i powiedział: no cóż, nie ma dyskusji, trzeba zareagować, bo to wandalizm. Chcę tylko zwrócić uwagę, że takie sytuacje się zdarzają, a my musimy iść dalej.

Losy nieistniejącego pomnika polskich ofiar wojny poruszają jednak wielu Polaków.

– To nie ma być pomnik sam w sobie – ma tam także powstać Dom Niemiecko-Polski. W centrum Berlina, na terenie dawnej Opery Krolla – to bardzo eksponowane miejsce, jedno z najdroższych w stolicy. I właśnie tam powinien się znaleźć. Podkreślam to tylko dlatego, że chcę pokazać, że Niemcy i Polska chcą się do siebie zbliżyć. Niemcy robią wiele, aby to osiągnąć, ponieważ jesteśmy świadomi wydarzeń z naszej niedawnej historii. I nie jesteśmy z nich dumni.

Czy już jest pan spakowany, gotowy do wyjazdu?

– To jeszcze przede mną. Jeszcze pożegnanie z kolegami z konsulatu – wszystko kiedyś się kończy, tak w życiu bywa, również tutaj, w pięknym Opolu. Muszę przyznać, że i miasto, i jego mieszkańcy urzekli mnie od samego początku. Nie czułem się w nim jak obcokrajowiec, obcy. Znam już co prawda Kraków z wcześniejszej pracy w konsulacie, to bardzo piękne miasto, ale tutaj podobało mi się szczególnie. Być może chodzi o genius loci samego Opola? Zawsze spotykałem tu dobrych ludzi.

Jak pan sobie radził na co dzień bez znajomości języka polskiego?

– Ludzie rozpoznają mnie jako obcokrajowca i to właśnie ich otwiera. Myślę, że nie wszystko trzeba odczytywać za pomocą języka mówionego. Ilekroć miałem pytania podczas zakupów czy w innych sytuacjach, zawsze udawało mi się znaleźć Polaka, który mnie rozumiał i chętnie pomagał. Ta serdeczność naprawdę definiuje Polskę. Ludzie cieszą się, widząc kogoś takiego jak ja, kogoś nietutejszego. Są komunikatywni i ciekawi, dlaczego tu jestem.

Kontakty z urzędnikami to zupełnie inny poziom rozmów – zakładam, że większość z nich nie mówi po niemiecku, może poza członkami mniejszości niemieckiej.

– Oczywiście, w rozmowach pośredniczyli moi współpracownicy. Ale chcę też podkreślić, że przedstawiciele władz lokalnych posługują się pewnego rodzaju niewerbalną retoryką. Nawet kiedy mówię po niemiecku, a osoba naprzeciw mnie mówi po polsku – zauważam to często – dość szybko rozumiemy, co chcemy powiedzieć. To także w ogromnym stopniu przyczyniło się do nadania tym rozmowom sensu – rezonowały w umyśle, a często i w sercu – oraz do nawiązania wspólnej linii komunikacyjnej, a przede wszystkim wzajemnego zrozumienia. I to jest niezwykłe. Z pewnością pomaga też to, że Polacy i Niemcy nie różnią się aż tak bardzo. To ludzie z Europy Środkowej – dwa sąsiednie narody, które w rzeczywistości mają bardzo podobną kulturę i są bardzo do siebie podobne pod względem zachowań społecznych.

Widzę na pana biurku statuetkę Opolskiego Pegaza „za mecenat nad rozwojem kultury i ochronę jej dóbr".

– Byłem zaskoczony i naprawdę dumny – dostałem nagrodę kulturalną od miasta Opola za projekty, które wspólnie realizujemy. To szczególnie miłe. Zwłaszcza że żaden inny niemiecki konsulat wcześniej jej nie otrzymał. Czuję dumę, ale wynika ona przede wszystkim z tej współpracy. Chodzi nie tyle o te spektakularne projekty czy wzniosłe idee walki o lepszy świat, ile o codzienną pracę. Zespół konsulatu liczy 20 osób, uważam je za dobrych kolegów. Jesteśmy bardzo małym konsulatem, ale o dużym wpływie.

Co z panem pozostaje po tych czterech latach misji w Opolu?

– Przede wszystkim wspomnienie o Polakach, którzy zawsze są pomocni i z których strony nigdy osobiście nie spotkałem się z negatywnymi opiniami na temat Niemiec. Oczywiście zabieram ze sobą także wspomnienia o moich kolegach. Nigdy nie udałoby mi się zrobić samemu tego, co zrobiliśmy wspólnie. Bardzo za to dziękuję. Szczególnie zaś utkwiły mi w pamięci otwartość i życzliwość ludzi, którzy nie mówią: jesteś z Niemiec – dlaczego tu jesteś? Oni zapraszają: chodź, usiądź, opowiedz o sobie.

Dokąd pan wraca?

– Mieszkam w południowo-zachodnich Niemczech, bardzo blisko granicy z Francją. To też bardzo piękny region.

Jakie są pana dalsze plany?

– Pomyślę o tym, jak trochę odpocznę. Ale na razie nieco zwolnię. Tego chce ode mnie żona. I cóż, trzeba jej słuchać. I w Polsce, i w Niemczech słuchamy żon.

Beata Dżon-Ozimek

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Zapisz się na NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66800531b1

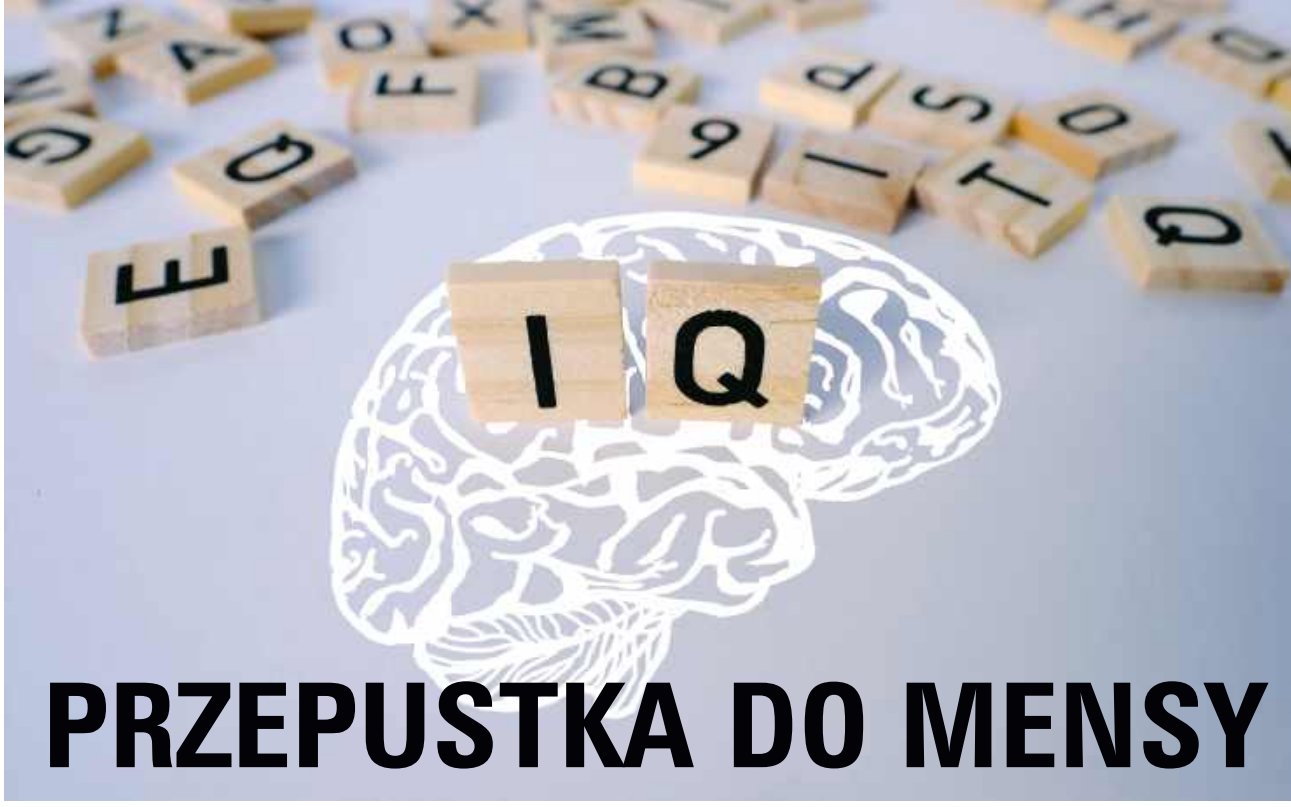

PRZEPUSTKA DO MENSY

Czy certyfikat wysokiej inteligencji oznacza lepsze życie?

Bronisław Tumiłowicz

Kolejka do sali konferencyjnej w Hotelu Novotel na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich w Warszawie ustawia się przed godz. 9 rano, 20 minut przed początkiem testu. Kolejne sesje – a na niedzielę przewidziano aż osiem takich wydarzeń dla grup po 25 zarejestrowanych osób – rozpoczynają się podobnie. Kandydat lub kandydatka okazuje dowód tożsamości, podpisuje na liście przydział miejsca i zgodę RODO, by wejść na salę, gdzie otrzyma zestaw zadań, głównie rysunkowych. Pozwolą one zmierzyć sprawność umysłową, zdolność szybkiego kojarzenia, znajdowania związków między figurami geometrycznymi, ciągami liczb itd.

Test na iloraz inteligencji przeprowadzają wykształceni psychologowie. Po godzinie prace są zbierane i idą do oceny. Pracy jest sporo. Jedna z oceniających zapewnia, że upora się z testami w ciągu pięciu dni, drugiej może to zająć dwa tygodnie, a nawet więcej.

Uczestnicy testów otrzymają wynik mejlowo, podobnie jak rejestrowali się na stronie Stowarzyszenia Mensa Polska, co wiązało się jeszcze z wpłatą 100 zł. Jeśli zaliczą test, czyli osiągną wynik co najmniej 130 pkt uprawniający do dołączenia do grupy górnych 2% populacji,

> Żeby dołączyć do Mensy, trzeba zaliczyć test na co najmniej 130 pkt.

czyli członków stowarzyszenia Mensa, otrzymają certyfikat wysokiego IQ. Jeśli zdobędą mniej punktów, mogą powtórzyć test w kolejnej sesji. W Warszawie odbędzie się ona 20 września 2026 r. Prawie każdego miesiąca Mensa organizuje sesje testowe w różnych miastach.

Wysoka punktacja to inteligencja, którą popularnie określa się mianem geniusza, natomiast przeciętny wynik oscyluje ok. 100. Ponad 68% populacji mieści się w granicach od 85 do 115 pkt. Wynik poniżej 70 kwalifikowany jest jako niemal niepełnosprawność intelektualna. Jednak sama punktacja w niewielkim stopniu determinuje rangę czy też sprawność życiową danej osoby, bo „geniusze" z najwyższą punktacją wcale nie muszą się wyróżniać w społeczeństwie.

Taka prawda o wysokim IQ może nawet zniechęcać do wstępowania do Mensy, w której za legitymację członkowską trzeba zapłacić i jeszcze co roku uiszczać 150 zł składki. Ale bywają wyjątki. Piosenkarka Doda, czyli Dorota Rabczewska, chwaliła się swego czasu, że jej iloraz inteligencji wynosi 156, tylko o 4 pkt mniej niż Billa Gatesa. Artystka dodawała nieskromnie, że jeśli dzisiaj może pozwolić sobie na willę z ogrodem i Porsche Carrera 4, zawdzięcza to swojej inteligencji. Z innych źródeł wynika, że najwyższy iloraz inteligencji w Polsce, szacowany na ok. 180, miał pisarz Stanisław Lem, niegdyś felietonista „Przeglądu". Można

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

również dowiedzieć się, że w 2005 r. ówczesna licealistka Ania Koralewska osiągnęła wynik 176 IQ, ale rozwiązała test brytyjski, z Oxfordu. Co się z nią dziś dzieje? Studiowała medycynę, jest nauczycielką akademicką w Katowicach, z licznymi publikacjami naukowymi na koncie.

Co zatem daje sprawność określana wysokim ilorazem inteligencji? Na stronie stowarzyszenia wyliczane są „przewagi" mensan. Jako pierwsza – poczucie humoru. Ale mowa jest też o trudności w odnalezieniu się w tzw. normalnym świecie, bo takie osoby odstają od szablonów i norm. Zatem Mensa jest dla nich przystanią życzliwości i zrozumienia. Każdego roku organizowane są zjazdy, odbywają się też spotkania różnych grup specjalnych zainteresowań i grup regionalnych.

„Lubimy się nawzajem w większości przypadków, w każdym razie bez trudu tolerujemy wzajemnie nasze, dość liczne dziwności", czytamy w autoprezentacji, przyprawionej szczyptą ironii: „Wolimy np., jak Andrzej Poniedzielski, satyryk, niezrzeszony w Mensie (a szkoda), »durnieć wolniej niż ten świat«".

Stowarzyszenia Mensa Polska, „dziecko transformacji", powstało w 1989 r. Pierwszą sesję testową poprowadził w Warszawie Ed Vincent, ówczesny dyrektor administracyjny Mensa International. Piszący te słowa uczestniczył z sukcesem w tamtym wydarzeniu. Obecnie Mensa zrzesza ok. 145 tys. członków z ponad 100 krajów. Najliczniejsze są środowiska mensan w USA, Wielkiej Brytanii i w Niemczech. W Polsce liczba przekracza 2,2 tys. członków.

Wracamy do warszawskiego Novotelu, gdzie pierwsza poranna grupa opuściła już salę konferencyjną, i do stolika recepcji przeciskają się kolejni kandydaci, którzy wcześniej się zarejestrowali i opłacili udział w teście. Łatwo wyliczyć, że wpłaty wszystkich uczestników danego dnia złożą się na kwotę 20 tys. zł. Z tego trzeba opłacić wynajem sali oraz psychologów przeprowadzających testy. Kolejkę obsługuje wolontariusz, który wspomina poprzednią sesję warszawską, gdy organizacja serwowała uczestnikom kawę i ciasteczka. Tym razem nie uwzględniono tego w budżecie. Przy okazji można jednak się dowiedzieć, że grupa regionalna mensan 40+ organizuje w tym dniu śniadanie w dzielnicy Ursynów.

Do stolika podchodzi kandydat niezarejestrowany, który liczy, że będzie mógł rozwiązać test z marszu. Ale dziś wszystkie miejsca są już zajęte. Najwyraźniej wiele osób pragnie sprawdzić swoje możliwości intelektualne, traktując wynik jako swoistą przewagę. Natomiast praktyczna lista korzyści z członkostwa w stowarzyszeniu nie jest szczególnie bogata. Kuszące może być towarzystwo osób o zbliżonych upodobaniach, które chętnie nawiązują kontakty. Stowarzyszenie współpracuje też z wieloma firmami i instytucjami, które oferują różne zniżki, np. w obiektach sportowych, prywatnej opiece medycznej, na stacjach paliw, przy zakupie różnych towarów, nawet w sklepie Sekrety Czekolady. Życie osoby z wysokim ilorazem inteligencji może więc być nieco słodsze niż reszty.

Bronisław Tumiłowicz

Nic nie słyszeli – dziś grają Chopina

Film dokumentalny o ludziach, którym implant ślimakowy dał drugie życie. Festiwal „Ślimakowe rytmy", podczas którego setki zaproszonych gości mogło wysłuchać, jak grają i śpiewają osoby z implantami. Musical „Powrót Beethovena", do którego libretto napisał prof. Henryk Skarżyński – opowieść o jego pacjentach i ich historiach. O rodzicach, którzy i z obawami, i z nadzieją przyjechali z dziećmi do Kajetan, o małych pacjentach, dla których implant oznaczał przeniesienie w nową rzeczywistość – ze świata ciszy w świat dźwięków. O trudach rehabilitacji, zderzeniu z własnymi słabościami i nietolerancją otoczenia. I o Beethovenie, który – gdyby żył w naszych czasach – słyszałby…

To wszystko mogliśmy obejrzeć i usłyszeć w Kajetanach, w Światowym Centrum Słuchu, które prof. Henryk Skarżyński przekształcił na jeden sobotni dzień nie tylko w centrum koncertowe, ale i w centrum promocji współczesnej medycyny i jej możliwości.

„To cud", mówi w „Powrocie Beethovena" mama małego chłopca, który dzięki implantowi nie będzie głuchy, będzie słyszał. „To nie cud – to medycyna", odpowiada jej profesor. Medycyna pozwalająca ludziom, którzy z powodu choroby skazani byli na wegetację, żyć pełnią życia.

Na zdjęciu: prof. Henryk Skarżyński i laureaci „Ślimakowych rytmów", już 12. edycji festiwalu. Przyjechali z całego świata – z Tajwanu, Australii, Argentyny, Japonii… I dali wspaniały koncert!

(rw)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66800531b1

KURTYNA W GÓRĘ

Wagner w Sopocie

Wydarzeniem tegorocznego Baltic Opera Festivalu w Trójmieście była wagnerowska „Walkiria" wyprodukowana przez Royal Danish Theater i Grecką Operę Narodową.

Opera w efektownej inscenizacji Johna Fuljamesa, wznowionej i przeniesionej na scenę Opery Leśnej w Sopocie przez młodą duńską reżyserkę Johanne Holten, rozgrywa się niejako w dwóch planach. Bogowie urządzający świat ginącym w krwawych konfliktach śmiertelnikom to architekci,

projektujący w zaciszu eleganckich biur powojenny świat. Główny element funkcjonalnej scenografii projektu Toma Scutta stanowią ruchome monumentalne drewniane schody, po których wspinają się bohaterowie. W zależności od potrzeby grają także dom Hundinga i skałę, na której Wotan więzi nieposłuszną córkę.

Pełna dramaturgii muzyka Wagnera w plenerowej scenerii brzmiała doskonale. Orkiestrę Opery Bałtyckiej wspomaganej przez muzyków Symfonicznej Lwowskiej Filharmonii Narodowej im. Myrosława Skoryka poprowadził Axel Kober. Ale siłą spektaklu były kreacje Tomasza Koniecznego w roli Wotana, Stephanie Muther jako Brunnhilde oraz Izabeli Matuły jako Sieglinde –poruszające zwłaszcza w trzecim akcie. Nie tylko znakomite wokalnie, ale też dojrzałe, wyraziste aktorsko.

Wagnerowski repertuar, rzadko wystawiany w na polskich scenach, wciąż ma inscenizacyjny i interpretacyjny potencjał.

Michał Centkowski

Richard Wagner, „Walkiria", reżyseria John Fuljames, reżyseria wznowienia Johanne Holten. Premiera wznowienia 2 lipca 2026, Opera Leśna w Sopocie.

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Baron Vintage Elektro

Tego wieczoru możemy się spodziewać muzyki pełnej energii, pulsującego groove'u i emocji angażujących publiczność od pierwszych taktów. To najnowszy projekt jednego z najwybitniejszych polskich saksofonistów jazzowych, Piotra Barona. Formację tworzą wybitni artyści różnych generacji, a każdy z nich to osobna część historii polskiego jazzu. Repertuar zespołu stanowią autorskie kompozycje Barona, pochodzące z lat 80. i będące, jak sam mówi, powrotem do młodości. Usłyszymy zatem energetyczne połączenie jazz-rocka, funku i soulu, a zaśpiewa gościnnie Maria Baron, córka artysty. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 1 sierpnia, godz. 19

ZASŁUCHAJ SIĘ

Dobry Łotr

Rok drugi

Dobry Łotr to zespół z okolic Brzeszcz i Oświęcimia, który z powodzeniem łączy folk, rock i folkowy punk z refleksyjnymi tekstami. Jego muzyka emanuje energią i autentycznością, a bogate instrumentarium – od skrzypiec i mandoliny po akordeon – nadaje utworom niepowtarzalny charakter i gwarantuje niezapomniany koncert. Piosenki opowiadają o życiowych doświadczeniach, trudnych wyborach i nadziei, dzięki czemu łatwo odnaleźć w nich własne emocje. Minialbum „Rok drugi", zawierający utwory „Jabłoń", „Nowy (Kim chciałbyś być)", „Old Eagle", „Wojna" i „Księżniczka", to spójny, a jednocześnie zróżnicowany materiał, który dostarcza zarówno refleksji, jak i dobrej energii. To muzyka, która poprawia nastrój i zachęca do kolejnych odsłuchów.

(jw)

MIĘDZY OKŁADKAMI

Lech Wojciech Szajdak

Poeci autentyści – przedstawiciele, utwory Łatwo o mnie pomyśl, łatwo o mnie zapomnij

pod redakcją dr. Tadeusza Skoczka

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości, Poznań-Warszawa 2025

Autentyści to nie była konkretna grupa poetycka, jak Skamander czy Żagary, lecz raczej ogólne zjawisko obecne w polskiej literaturze międzywojennej. Określenia tego używa się wobec twórców, których poezja charakteryzowała się autentyzmem przeżyć, prawdziwością emocji i postawą odrzucającą sztuczność. Ważną postacią w tym nurcie był Stanisław Czernik, wydawca miesięcznika „Okolica Poetów", w którym swoje wiersze publikowali niektórzy członkowie Grupy Poetyckiej „Wołyń". Współtworzył ją ojciec autora przedstawionego po raz pierwszy tak bogatego zbioru poezji autentystów, Stefan Szajdak. W tomie znajdujemy wiersze Stanisława Czernika, Tadeusza Juliusza Demczyka, Józefa Andrzeja Frasika, Czesława Janczarskiego, Bolesława Kobrzyńskiego, Jana Bolesława Ożoga, Jerzego Pietrkiewicza i Stefana Szajdaka.

(es)

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. OPERA LEŚNA, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 66800531b1

Nasza druga strona ciszy

Surrealizm staje się remedium na współczesne lęki. Pomaga rozbroić wewnętrzne napięcia

Daniel Wójtowicz

„Gdy już nie będę mogła mówić, będzie o mnie milczał wiatr”*, pisała w wierszu „Obecność” Erna Rosenstein. Taka cisza jednak nie zapadła. Dziś mówią za nią jej obrazy – i to donośnie. Oczy świata sztuki zwróciły się właśnie na Polskę – w wiedeńskim Belwederze otwarto dużą monograficzną wystawę malarstwa artystki (1913-2004), przedstawiając ją jako jeden z najbardziej oryginalnych głosów w europejskiej sztuce powojennej. Świadectwem rangi tego wydarzenia jest fakt, że ekspozycji oddano przestrzeń muzealną aż na pół roku.

Świt (portret ojca), 1979

Północ (portret matki), 1979

Miło mi było jako Polakowi włączyć się w międzynarodowy tłum zwiedzających, zachwyconych przywiezionymi z Polski 80 obrazami. Nie opuszczało mnie przy tym pytanie: skąd wzięło się nagłe zainteresowanie znaczącego muzeum europejskiego tą stosunkowo mało znaną artystką? I o czym ono świadczy?

Przede wszystkim Erna Rosenstein przestaje być twórczynią mało znaną. W ostatnich latach prezentacje jej dzieł odbyły się w Londynie, Nowym Jorku, Zurychu czy Kassel. Wiedeńska ekspozycja wpisuje się w ten harmonogram, podkreślając zarazem wiedeński ślad w jej biografii. To tutaj artystka uczyła się w latach 30. ubiegłego wieku. Do Wiednia wysłał ją ojciec – sędzia lwowski – w obawie przed wejściem córki do kręgów lewicującej młodzieży oraz grozą narastającej w Polsce niechęci do Żydów.

Duża część abstrakcyjnych obrazów ukazanych na wiedeńskiej wystawie rodzi skojarzenia z kwiatami, tkankami czy anatomią ciała. Emanuje z nich zachwyt nad biologicznym fenomenem życia i jego zagadkowością. Odbiorców fascynuje to szczególnie, gdyż wiedzą, że te formy tworzyła kobieta obciążona niewyobrażalną traumą. Najmocniejszym ładunkiem tej twórczości – tym, który przyciąga wielu i w tajemniczy sposób w tych dziełach eksploduje – są jej makabryczne doświadczenia z czasów okupacji.

Artystka poznała piekło lwowskiego getta. Po ucieczce stamtąd w 1942 r. rodzice Erny zostali zamordowani w jej obecności w lesie pod Małkinią przez przewodnika, który za opłatę miał zapewnić im schronienie. Dziewczyna uciekła przed przeznaczoną dla niej kuli. Na dodatek musiała później w dramatycznych okolicznościach wyrzec się związku z zamordowanymi rodzicami, a nawet milczeniem osłonić sprawcę, by przed małomiasteczkowym tłumem zataić swoje pochodzenie. „Jak można z takim bagażem żyć dalej, zachowując spokój i pogodę ducha?”, pytają przejęci odbiorcy jej prac. Bo pogoda emanuje nie tylko z dzieł autorki, ale też z widocznej na nagraniach filmowych jej subtelnej osobowości.

„Dla mnie śmierć i narodziny łączą się ze sobą”, wyznawała w wywiadzie prasowym. Miała na myśli również to, że chwila mordu dokonywanego na ojcu i matce stworzyła jej szansę ucieczki. Z przejmującym optymizmem uznała, że swoją straszną śmiercią rodzice podarowali jej życie po raz drugi.

Obecność rodziców w prezentowanych dziełach jest wieloraka. Słynny obraz „Ekrany” z 1951 r., ukazujący rozczłonkowane postacie, miejscami przesłonięte geometrycznymi płaszczyznami, uzmysławia konieczność wyłączenia z całego spektrum naszego dzisiejszego spojrzenia wizji przeszłości, a przynajmniej jej części. Z kolei na dwóch jednorodnych, klasycznych w stylu portretach matka i ojciec mają głowy odcięte od elegancko ubranych sylwetek. Ta absurdalna

eprasa.pl 66800531b1

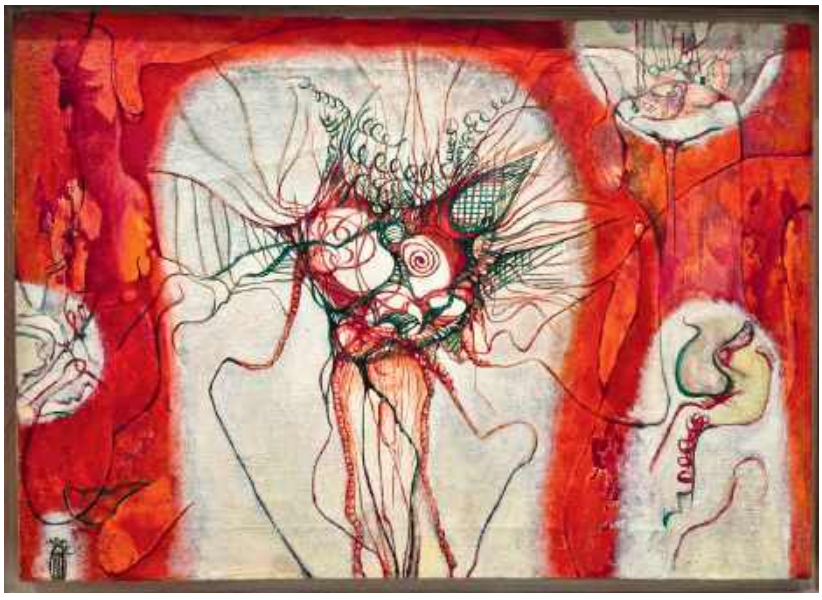

Kwiaty piekła, 1968

kompozycja oraz dostojny i pogodny wyraz twarzy głów zawieszonych w próżni to surrealistyczny opis złożoności traumy. Pokazuje, że ciężar okrutnej śmierci nie musi zamazywać barwy dobrych wspomnień o bliskich.

Żyjemy w czasach, w których zatraciliśmy umiejętność konstruktywnego przeżywania żałoby. Staliśmy się, jak pisze filozof Tomasz Stawiszyński, całkowicie bezradni wobec złego losu, lęku i codziennego stresu. Surrealizm – umiejętność wyskoczenia poza wymiar brutalnej rzeczywistości na „drugą stronę ciszy" – staje się dla współczesnego człowieka specyficznym remedium na te lęki. Pomaga rozbroić wewnętrzne napięcia.

Ściany korytarzy wystawowych wypełnione zostały przetłumaczonymi na języki niemiecki i angielski krótkimi wierszami artystki. W latach 70. poezja stała się drugą wielką domeną Rosenstein, pewnie nie bez zachęty męża, uznanego krytyka literackiego Artura Sandauera. Była swoistym sposobem na przeżywany przez twórczynię niedosyt możliwości pełnego wyrażenia emocji na płótnie. „Bezdomne ślady kroków przechodzą, milcząc ulicą. Niewidocznieje nawet zapomnienie. (...) Już rozsypał się cały ciężar. Zamiast mnie – idzie tłumem – tajemnica", zapisała w 1983 r. w wierszu „Zobacz".

Na wystawie znajduje się też wiele późniejszych dzieł, o przytłaczającej wymowie. Namalowane prostymi kreskami i maźnięciami pędzla ogromne anatomiczne zbliżenie ludzkiej skóry uwidacznia zalane krwią miejsca dotkliwego ukłucia. Obraz „Uderzenia" powstał w okolicach marca 1968 r., gdy polscy Żydzi przeżywali apogeum antysemickiej nagonki. Niektórzy widzą w tym fragmencie skóry skorupę Ziemi – siedliska człowieka. Obok wisi niewielki, ale niezwykle ekspresyjny i ognisty obraz „Kwiaty piekła".

Duża część jej surrealistycznych prac jest barwna i pogodna, nawet jeśli jawi się jako głęboko refleksyjna. Obraz pod przewrotnym tytułem „Chwila wieczności" skonstruowany jest z organicznej, przypominającej kwiat formy (o falliczno-macicznych kształtach). Po jego obrysie wędrują wkoło niezliczone małe ludziki, przeżywające chwilową, prywatną wieczność. „Sztuka to wieczne szukanie, ciągłe odkrywanie nowych światów; wewnętrznych i zewnętrznych. W gruncie rzeczy to jest to samo. (...) Tam wewnątrz jest całkowite pomieszanie czasu i przestrzeni, tumult, chaos. Z tego chaosu coś się jednak wyłania", opowiadała artystka.

Rosnące zainteresowanie malarstwem Erny Rosenstein wpisuje się w ponowną fascynację surrealizmem. Może to wynikać z niepokoju o bieg spraw na świecie i obawy przed jego ponownym brunatnieniem. Zmęczeni agresywną codziennością odczuwamy potrzebę ucieczki poza granice rzeczywistości.

Ponadto wolność i swoboda myślenia, których surrealizm jest wyrazicielem, stają w obliczu nowych wyzwań – choćby cyfrowych algorytmów, coraz mocniej formatujących ludzką percepcję. W świecie, który żongluje prawdą i zmusza do zanurzania się w brudnych realiach, ocaleniem staje się nasza zdolność do pojmowania abstrakcji i gotowość wychodzenia poza granice dosłowności.

Może dlatego ponownie rodzi się zainteresowanie tak doskonałym surrealizmem, jak ten Erny Rosenstein? zMoże dlatego jej malarstwo przestaje być dziwne, a staje się krainą „po drugiej stronie ciszy", do której z potrzebą ukojenia chce się wejść.

Wystawa „Jenseits der Stille"
Wiedeń, Unteres Belvedere (Dolny Belweder)
do 10 stycznia 2027 r.

*Cytaty pochodzą z publikacji zbiorowej „Erna Rosenstein" pod red. Józefa Chrobaka, Stowarzyszenie Artystyczne Grupa Krakowska, Kraków 1992.

TRAWERSEM PRZEZ SZTUKĘ
– pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza
125 zł
200 stron relacji z najważniejszych wystaw
malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie
Zamów na: **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. **Wysyłka GRATIS**

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ

eprasa.pl 66800531b1

NIE PRZEGAP CZERNIAKA

Uważajmy na poparzenia słoneczne

PROF. PIOTR RUTKOWSKI
– kierownik Kliniki Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie

Od czerwca prof. Piotr Rutkowski zasiada w ścisłym kierownictwie ASCO, komitetu odpowiadającego za globalne działania największego towarzystwa onkologicznego na świecie. To pierwsza taka funkcja powierzona Polakowi. Profesor zajmuje się kompleksową diagnostyką i leczeniem operacyjnym nowotworów tkanek miękkich, leczeniem operacyjnym mięsaków, diagnostyką i leczeniem operacyjnym nowotworów skóry – rakiem podstawnokomórkowym, płaskonabłonkowym i czerniakiem.

Rozmawia Beata Igielska

Jaka zmiana na skórze powinna nas zaniepokoić?

– Trzeba pamiętać, że nowotwory skóry są częste. Chociaż sam czerniak nie jest tak częsty. Ma różny kolor, może mieć też bardzo różne rozmiary, a jego główną cechą jest to, że się zmienia. Czyli czegoś na skórze nie było, a pojawiło się i rośnie, albo coś było nawet przez długi czas i zaczęło się zmieniać, powiększać. Czerniak jest zmianą asymetryczną, ma nierówne brzegi. Naprawdę należy zwrócić uwagę na przekształcanie się zmiany skórnej, bo czasem pacjenci mówią, że mieli 10 lat jakąś zmianę i zaczęła im rosnąć. Nie należy odkładać wizyty u lekarza. Na skórze przekształcają się różne łagodne zmiany: znamiona albo brodawki czy naczyniaki. Nie jest jednak tak, że jeśli coś się zmienia, to od razu musi to być nowotwór skóry. Niemniej nie powinniśmy tego lekceważyć. W przypadku raków skóry to są często niegojące się ranki. Jeżeli coś nam się nie goi powyżej sześciu tygodni, powinniśmy się tym zainteresować.

Czy łatwo wykryć czerniaka, jeżeli jest na bardzo wczesnym etapie?

– Dermatolog lub chirurg onkolog jest w stanie wykryć czerniaka za pomocą dermatoskopu lub wideodermatoskopu. Część pacjentów pyta, czy nie lepiej sięgnąć po wideodermatoskop, czyli połączenie dermatoskopu z bardzo dokładnym monitorem, który dodatkowo sam analizuje zmiany skórne. Odpowiadam: nie, wideodermatoskop jest głównie potrzebny do kontroli dużej liczby znamion. W większości wideodermatoskopów można wszystko zeskanować, pozaznaczać, gdzie te zmiany są, i porównywać w czasie, jak się zmieniają. A w przypadku większości chorych wystarczy zwykła dermatoskopia. Jest naprawdę bardzo czułym badaniem, jeśli dermatoskop obsługuje osoba, która się na tym zna. Dotychczas systemy AI nie przebijają doświadczonych lekarzy.

Bać się czerniaka, czy nie?

– Choroby są częścią naszego życia, nie ma sensu cały czas bać się

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66800531b1

wszystkiego. Należy zachowywać się tak, żeby zmniejszyć ryzyko zachorowania na nowotwór skóry.

Tym nowotworom można zapobiegać w relatywnie prosty sposób: nie eksponować się nadmiernie na promieniowanie ultrafioletowe. Nie opalać się intensywnie i intencjonalnie, a szczególnie nie doprowadzać do poparzeń słonecznych. Wcześnie wykryty nowotwór skóry jest właściwie jedną z najlepiej wyleczalnych chorób nowotworowych. To my sami często decydujemy, jak przebiegnie leczenie, bo jeżeli coś łatwo wykryć, to szkoda, żebyśmy tracili na starcie możliwość wczesnego i prostego wyleczenia. Generalnie leczenie niezaawansowanego nowotworu skóry jest bardzo proste – usuwamy zmianę i na tym kończymy. Czasem dodatkowo trzeba dociąć bliznę. Często dzieje się to w znieczuleniu miejscowym, nie zostaje duży ślad, jest to proste, nieobciążające dla pacjenta.

Każdy bardziej zaawansowany etap czerniaka jest objęty dużo bardziej skomplikowanym leczeniem – rozbudowaną chirurgią, biopsją węzła wartowniczego, leczeniem uzupełniającym, czyli dodatkowym leczeniem systemowym, np. przez rok. Albo skomplikowanym i też niekiedy toksycznym leczeniem za pomocą immunoterapii skojarzonej, jeżeli czerniak dał już przerzuty, czy do regionalnych węzłów chłonnych klinicznych, czy do innych narządów. Zwracanie uwagi na skórę jest zatem bardzo ważne, bo nawet stosunkowo łagodne raki skóry, jeżeli są zaawansowane, są bardzo trudne w leczeniu i okaleczające dla pacjenta.

Co oferuje pacjentom zmagającym się z czerniakiem nowoczesna medycyna? Wspomniał pan o leczeniu uzupełniającym i o leczeniu immunoterapią skojarzoną.

– Medycyna dużo nam oferuje, chociaż większość etapów leczenia, jak powiedziałem, mogłaby być w ogóle niepotrzebna. Jeżeli już jednak zaawansowane leczenie jest konieczne, to nie ma żadnych wątpliwości, że leczenie systemowe czerniaka zmieniło się jak w mało którym nowotworze. Przede wszystkim poznano mechanizmy oszukiwania przez czerniaka naszego układu immunologicznego, co jest szczególnie ważne, ponieważ odblokowanie tego układu pozwala spokojnie poradzić sobie z mechanizmami oszukiwania przez czerniaka. Kiedy zaczynałem pracę, z przerzutowym czerniakiem pięć lat miało szansę przeżyć 2% pacjentów. Teraz ma szansę przeżyć ok. 50%. Mało tego, większość pacjentów, którzy przeżyli pięć lat, jest wyleczona z przerzutowego czerniaka. To zasługa immunoterapii, którą w większości stosujemy jako immunoterapię skojarzoną, czyli działającą na dwa różne punkty uchwytu układu immunologicznego. Ale też mamy leki ukierunkowane molekularnie na inhibitory BRAF i MEK, czyli nowoczesne leki celowane, które blokują szlak sygnałowy MAPK odpowiedzialny za namnażanie komórek nowotworowych. Są one bardzo ważne w leczeniu uzupełniającym, ale również w chorobie przerzutowej, jeżeli nie zadziała immunoterapia. A na horyzoncie są szczepionki mRNA – taki spersonalizowany rodzaj szczepionek, które nie tyle zapobiegną samemu czerniakowi, ile jego nawrotowi.

> Naprawdę należy zwrócić uwagę, jeśli zmiana skórna się zmienia.

Dostępna już niedługo szczepionka mRNA będzie wzmacniać odpowiedź immunologiczną na czerniaka.

– To ważne, że nie będzie działać jak karabin maszynowy: strzelamy na oślep, żeby wszystkie komórki układu immunologicznego walczyły przeciwko różnym antygenom. Szczepionka zadziała dokładnie na swojego czerniaka i to jest to superodkrycie.

Na czym ono polega?

– Wycinamy czerniaka, przetwarzamy go w kawałki, które są inne niż ludzki organizm. Te kawałki nazywamy neoantygenami. Z kawałków ze swojego czerniaka robi się szczepionkę mRNA. A mRNA potrafi produkować te właśnie małe kawałki czerniaka, które nie są groźne, bo to nie jest czerniak. Produkuje je tylko po to, żeby pokazywać układowi immunologicznemu najgorsze punkty swojego czerniaka i wtedy chory może zwalczyć czerniaka dużo skuteczniej. Bo układ immunologiczny się go uczy. Limfocyty idą do szkoły i na studia. Wygląda to bardzo obiecująco. Jeśli ten mechanizm zadziała w czerniaku, na co wszyscy mamy nadzieję, to pewnie zadziała w raku płuca, nerki i w innych nowotworach. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za trzy miesiące będziemy znali pierwsze wyniki badań.

Użył pan nazwy dwóch genów najczęściej zmutowanych w czerniaku.

– Najczęściej jest zmutowany gen BRAF, ale żeby leczenie lepiej działało przy mutacji tego genu, stosuje się leki, które działają zarówno na białko BRAF, jak i na białko MEK. I rzeczywiście połączenie tych dwóch leków jest superskuteczne, hamuje rozmnażanie się czerniaka, ale niestety bywa, że po pewnym czasie czerniak omija ten mechanizm. Dlatego immunoterapia z reguły jest dużo trwalsza w swoim mechanizmie działania, ale nie jest taka szybka. Gdy więc potrzebujemy szybkiego zadziałania na czerniaka, leki celowane są lepsze.

Ale żeby zastosować leczenie celowane, trzeba zrobić dokładną analizę mutacji.

– Ważne, żeby zrozumieć, że w czerniaku to komórki nowotworu mają specyficzną mutację, czyli zaburzenie genetyczne, a nie komórki naszego organizmu. Czyli jest to zaburzenie tylko i wyłącznie w nowotworze. I właśnie dlatego badamy dokładnie czerniaka.

A gdy już czerniaka zbadamy dogłębnie, możemy wkroczyć z terapią szytą na miarę?

– Tak, bo ją można zastosować, tylko kiedy występuje specyficzne zaburzenie, dlatego ona się nazywa celowana. Jeśli zaburzenia nie ma, nie stosujemy leczenia celowanego.

W Polsce udało się też wprowadzić leczenie przedoperacyjne w niektórych sytuacjach w czerniaku.

– Tak, zastosowanie dwóch cykli immunoterapii skojarzonej, kiedy są kliniczne przerzuty do regionalnych

eprasa.pl 66800531b1

węzłów chłonnych. To działa niezwykle skutecznie, nawet bardziej niż pooperacyjna immunoterapia.

Dlaczego leczenie przedoperacyjne jest tak skuteczne?

– Bo stosujemy je w momencie, kiedy jeszcze nowotwór nie jest wycięty. Limfocyty dzięki stymulacji przez immunoterapię naciekają go, uczą się go, czyli idą do szkoły limfocytowej. Kiedy już się nauczą tego nowotworu, to nawet gdy się go usunie, nauczone limfocyty zostają.

Często używamy tu nazwy immunoterapia – co to jest?

– Immunoterapia to bardzo szerokie pojęcie w medycynie i w onkologii – szczepionki też są immunoterapią. Nieswoistą immunoterapią jest podawanie interferonu (interferony to naturalne białka wytwarzane przez układ odpornościowy, które znalazły zastosowanie jako leki przeciwwirusowe, immunomodulujące i przeciwnowotworowe. Ich głównym zadaniem jest pobudzanie układu odpornościowego do walki z infekcjami oraz hamowanie namnażania się komórek nowotworowych – przyp. red.).

W tej chwili w leczeniu czerniaka stosujemy przeciwciała, które działają dokładnie na te punkty w układzie immunologicznym, które go z reguły hamują i które wykorzystuje też czerniak do tego, żeby zahamować nasz układ odpornościowy. Gdy układ odpornościowy się odblokuje, zaczyna działać dużo skuteczniej przeciwko czerniakowi. Niekiedy też niestety działa przeciwko swojemu organizmowi – to dodatkowy efekt związany z toksycznością leczenia. Z reguły immunoterapia nie działa bezpośrednio na czerniaka, tylko aktywuje nasz układ immunologiczny do walki z nim. I dlatego efekty leczenia są tak trwałe. Bo jeżeli układ już się odblokuje, nauczy się swojego czerniaka, to działa później bez leków. To fantastyczny mechanizm, za który zresztą naukowcy dostali Nagrodę Nobla.

Na czym polega leczenie uzupełniające?

– Leczenie uzupełniające oznacza, że większość nowotworów litych, czyli nowotworów krwi, leczymy za pomocą chirurgii czy chirurgii z radioterapią. To znaczy nowotwory lite niszczymy miejscowo. Ale nawet jeśli świetnie wytniemy taki nowotwór, i tak niekiedy okazuje się, że powstają przerzuty, bo komórki nowotworowe gdzieś się ukryły. Sama chirurgia więc nie wystarcza. W związku z tym należy dodać coś skuteczniejszego. Nie we wszystkich nowotworach można mówić o takim szczęściu. W czerniaku można. Jeżeli zastosujemy leczenie uzupełniające albo tabletki, albo właśnie immunoterapię dodatkowo przez rok po chirurgii, to u 25% mniej chorych choroba nawraca. Mówimy o chorobie o bardzo wysokim ryzyku, gdzie prawie 20% chorych jest dodatkowo wyleczonych.

Czyli już nie będziemy słyszeć opowieści o rychłej śmierci chorych na czerniaka, mimo leczenia?

– Tak, a z drugiej strony będziemy bardziej narażeni na nowotwory skóry, choćby z powodu zmian klimatycznych. Od tego nie uciekniemy. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) szacuje, że w ciągu najbliższych 10 lat o 76% wzrośnie zachorowalność na nie przez fale upałów i wzmożone nasłonecznienie.

Najważniejsze jest więc rozsądne podejście do opalania, a nie leżenie na plaży nad Bałtykiem?

– Nie chodzi o to, żeby siedzieć w domu. Chodzi o to, żeby racjonalnie korzystać ze świeżego powietrza i tyle.

Ja tego lata w czasie fal upałów chodzę z parasolką.

– I to jest bardzo dobry pomysł. Chińczycy, Japończycy, Koreańczycy nigdy się tego nie wstydzili. Dobrą opcją jest używanie odzieży anty-UV, choć sam noszę zwykłe ubrania. No chyba że idę w góry, wtedy mam odzież ochronną. Resztę ciała smaruję kremem z filtrem.

Wokół filtrów narosło mnóstwo mitów. Ostatnio czytałam, że filtr 30 jest wystarczający.

– Jeśli ktoś jest bardzo wrażliwy na słońce, proponuję używanie filtra 50. Wyższy nie jest potrzebny, bo różnica między 50 a powyżej 50 wynosi między 0,5% a 1%.

Czy filtry mineralne sprawdzają się?

– Filtry mineralne to rodzaj papki stanowiącej zaporę, przez którą promieniowanie UV nie przeniknie. A filtry chemiczne wchodzą w reakcję z promieniowaniem UV, czyli z fotonami, i obniżają ich penetrację.

Czy te chemiczne są bezpieczne, skoro znamy doniesienia o truciu krokodyli czy obumieraniu rafy koralowej pod ich wpływem?

– Wszystko zależy od ilości, jeżeli nieustannie całe ciało smarowalibyśmy kremem z filtrem, pewnie nie byłoby to dobre. Dlatego zawsze zalecam ochronę mieszaną: odpowiedni ubiór, kapelusz, a resztę ciała smarujemy kremem z filtrem. Jeżeli ma się czapkę z daszkiem, bez nauszników, to jednak pamiętajmy o uszach i nosie. Uszy są wystające, eksponowane. Szczególnie u starszych osób skóra jest bardziej zmieniona, dlatego ochrona uszu jest ważnym elementem prewencji raków skóry.

Na nosie też robią się raki?

– Oczywiście, że tak. Te na uszach i nosie są dużo trudniejsze w leczeniu, bo tam jest bardzo mało skóry, nie mówiąc o efekcie kosmetycznym.

Czyli na koniec, panie profesorze, apelujemy o zdrowy rozsądek. I jeszcze przypomnijmy, w jakich godzinach unikamy słońca.

– Unikajmy między godz. 10 a 16. W samo południe siedźmy w cieniu. Jeśli czas spędzamy nad wodą, wchodźmy do niej i wracajmy do cienia.

Beata Igielska

Dermatoskopia jest bardzo czułym badaniem. Dotychczas systemy AI nie przebijają doświadczonych lekarzy.

Leczenie niezaawansowanego nowotworu skóry jest bardzo proste – usuwamy zmianę i na tym kończymy.

eprasa.pl 66800531b1

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Mamma mia, podróże kształcą, choć bywa, że poniewczasie. Gdybym to ja wiedział 40 lat temu, że mogę na bierzmowaniu obrać sobie takiego patrona, nikt by mnie od tego nie odwiódł. Ani twarda ręka ojca, któremu już wtedy nie było łatwo mnie złapać, a tym bardziej uderzyć bez narażenia się na szwank w szamotaninie, ani dyscyplinarne rozmowy z katechetami, ani groźba proboszcza, ani też presja świętoszkowatych ciotek – konsekrowanych dziewic rodzinnych, które skwapliwie doglądały czystości mojego ducha.

Owóż jako 14-latek miałem ducha utytłanego głównie brudnymi myślami, nałogowo odbywałem nieczyste praktyki toaletowe, a bunt wobec katolickich rytuałów wezbrał już we mnie do erupcji. Owszem, sakramentu nie odmówiłem, ale wyłącznie z powodu chciwości, albowiem kumple przekonywali mnie, że na imprezie rodzinnej dostaje się drogie prezenty, to jakby taka druga komunia, trzeba dać ramolom się wykazać. Dzieci rębaczy miały od rodziców obiecane składaki, a nawet kolarzówy, dzieci wszystkim nam patronował ten sam święty spokój, dla którego braliśmy udział w tej hucpie i dla którego większość z moich ówczesnych współtowarzyszy sakramentalnych potem brała jeszcze śluby kościelne, chrzciła swoje dzieci, uczęszczała na msze co niedziela i pewnie z ostatnim namaszczeniem odejdzie z tej ziemi.

Gdybym wtedy wiedział, nie odpuściłbym – cóż, kiedy wywiedziałem się przypadkiem dopiero przed kilkoma dniami w Cagliari, szukając schronienia przed piekielnym upałem, a imię jego było czterdzieści i cztery w cieniu. Był to skwar w moim życiu najsroższy – taki, że nie dało się przez nos oddychać, bo parzyło, a na co drugiej ulicy karetka zgarniała otępiałych udarowiczów. Miałem ambitne plany wędrowne, ale zwiedzacze mi puściły i zwiałem do klimatyzowanego muzeum archeologicznego, aby obejrzeć te wszystkie artefakty wykopane z nuragów i domów wróżek. Skądinąd Wenus sardyńska sprzed 7 tys. lat obroniłaby się i w galerii sztuki współczesnej.

Święty Lucyferze, módl się za nami

sztygarów nowiutkie Atari lub Commodore, poza tym rodzina „z Efu" miała z tej okazji przysłać obfity paket, no i każdy z gości przynosił w kopercie jakiś banknocik, należało tylko przekonać go, że jest się wystarczająco dojrzałym, aby przejąć hajs osobiście – wszak było się świeżym pomazańcem, co prawda mikro, na znak dojrzałości wiary.

40 lat temu mój świat dzielił się na fanów Republiki i Lady Pank, ja należałem do tej pierwszej grupy, wybrałem takie samo imię jakie ulubiony gitarzysta wybrał dla swojego syna. Poza tym historia oddania życia za drugiego człowieka w lagrze była jednak konkretna i poruszająca. Świętość tego gestu była dla mnie jasna i całkiem współczesna, wybrałem więc sobie za patrona Maksymiliana Kolbego, o jego żarliwym przedwojennym antysemityzmie z „Rycerza Niepokalanej" nie miałem wtedy pojęcia, a pewnie nawet gdybym miał, uznałbym, że śmiercią w bunkrze głodowym za to odpokutował. Mój bunt utonął więc pod falą oportunizmu, bo jakkolwiek przeciw dorosłym już w ostatniej klasie podstawówki miało się wiele argumentów i sprzeciwiało we wszystkim dla samej zasady, ale nade wszystko chciało się płynąć z rówieśniczą grupą, do niej przynależeć, nie narażać się na wykluczenie ze stada, ostracyzm, bullying czy jak tam zwał (wtedy wcale nie zwał, bo język miało się ubogi, ale za to bogaty zestaw lęków przed odrzuceniem). Słowem: wszyscy dali się pomazać, to i ja się dałem. Któżby z nas wtedy oddawał się studiom teologicznym i zgłębiał żywoty świętych – w salkach katechetycznych podsuwano nam pomysły na najmniej kontrowersyjnych patronów Kościoła katolickiego, nikomu nie przyszło do głowy, żeby wykazać się oryginalnością, wszak

Ale ileż można przesiedzieć w muzeum, trzeba było wziąć się w garść i przedreptać chociaż kilka ulic, był to w pewnym sensie także test kardiologiczny, bo ulice w Cagliari strome, na stare miasto trzeba się wdrapywać, zadyszka nawet po trzydziestce byłaby uprawniona. Wylazłem więc, 44 w cieniu nie odpuszczało, a na otwartym terenie, na wybetonowanym Placu Bastionu Saint Remy musiało być z 60. W niejakim popłochu zacząłem schodzić ku zacienionej ulicy. I nagle widzę nazwę Via San Lucifero, i sobie myślę, że to omamy udarowe, trzeba się szybko znowu gdzieś schronić – dostrzegam kościół, wchodzę, bo tam chłód stagnuje, a to Chiesa di San Lucifero, a w środku on sam, brodacz z obdartym nosem, leży na swoim sarkofagu, święty Lucyfer. Biskup, patron miasta, zajadły wróg heretyków, święty Kościoła katolickiego, starszy niż średniowieczne utożsamienie jego imienia z upadłym aniołem. Do Lucyfera to i apostata może się pomodlić, pomyślałem i wyszeptałem błagania o to, by upał zelżał, a przynajmniej aby mi w nagrodę za tę bezwiedną i niespodzianą pielgrzymkę udało się uniknąć porażenia słonecznego. I aż mię od tego w słonecznym splocie przyjemnie zamrowiło, że choć nie do Księcia Ciemności, jednakowoż w świątyni Lucyfera wznoszę modły.

Może i zdurniałem na starość, ale ludzkość zmądrzała, dość teraz wynaleźć sobie zbuntowanej młodzieży najdziwniejsze imiona świętych w wyszukiwarce i juści mogą przekonywać proboszczów, że chcą, by ich patronem był Kwadrat (jest aż dwóch, jeden z Utyki, drugi Apologeta z Aten), orleański Monitor, lub, last but not least, Prymityw z hiszpańskiej Galicji. ■

eprasa.pl 66800531b1

Ceny windują turyści wewnętrzni. Bo Kaliningrad stał się popularnym kierunkiem dla bogatszych Rosjan z Moskwy czy Petersburga.

Pierwszy dom w Unii Europejskiej

Między Polską a obwodem kaliningradzkim: do życia w takim miejscu można, a nawet trzeba się przyzwyczaić

Marcin Terlik

Z Lizą spotykam się w kawiarni na warszawskich Bielanach. Mieszka w Polsce od ponad 10 lat, po polsku mówi perfekcyjnie. Skończyła w Polsce studia, tutaj wyszła za mąż i pracuje w jednej z korporacji. Z Polską wiąże przyszłość, choć obywatelstwa jeszcze nie ma i, jak mówi, jedna decyzja urzędnika może wywrócić jej życie do góry nogami.

W Kaliningradzie spędziła 17 pierwszych lat życia. Pytam, co przychodzi jej pierwsze do głowy, gdy myśli o swoim rodzinnym mieście. Zastanawia się krótką chwilę i odpowiada: korki. – W Warszawie transport miejski działa dużo lepiej. Czasem aż wstyd jechać gdzieś samochodem. W Rosji nie, tam wszędzie jeździ się swoim autem.

Kolejna rzecz to architektura. Kaliningrad, czy też Królewiec, to Königsberg, przez kilka stuleci najważniejsze miasto i perła niemieckich Prus Wschodnich. Pod koniec II wojny światowej został potężnie zniszczony, najpierw przez alianckie naloty, potem przez oblężenie i szturm Amii Czerwonej. A po wojnie, gdy znalazł się w granicach Związku Radzieckiego, architekturze miasta ostateczny cios zadała nowa władza i nowi mieszkańcy. (…)

Liza najbardziej w mieście lubi rejon swojej szkoły. Tam stare budynki przetrwały w niezłym stanie. Poza tym niedaleko mieszkała jej babcia, okolica kojarzy jej się więc z dzieciństwem. Pokazuje mi na telefonie zdjęcie szkoły. Duży poniemiecki budynek z czerwonej cegły, przed wojną mieścił się w nim szpital. Przypomina mi moją podstawówkę, w której z kolei kiedyś były pruskie koszary. (…)

– Wiesz, w Rosji jest taki mit, że w Kaliningradzie mieszkają Niemcy albo mieszanka Niemców i Rosjan. To zupełna nieprawda. Po wojnie wszyscy Niemcy zostali wysiedleni, a na ich miejsce przyjechały różne narodowości Związku Radzieckiego – zaznacza. Jej własna rodzina w większości pochodzi z Białorusi, dokładnie z okolic Brześcia. Dziadkowie wyemigrowali do obwodu w latach 50. – Przyjechali tam, bo była praca, były możliwości. Puste terytorium, fajny kawał ziemi z dostępem do morza. Jeden dziadek został rybakiem, drugi mechanikiem na rybackim statku. To były w tamtych czasach jedne z lepszych zawodów – opowiada.

Oswajanie pustego terytorium po Niemcach trwało długo. W zasadzie oswoiło go dopiero trzecie, nasze pokolenie. – Moja babcia nigdy nie powie, że Kaliningrad jest jej bliski. To dla niej ciągle coś obcego. Tata, choć tu urodzony, utożsamia się jeszcze jako Białorusin. A przynajmniej pół na pół. Ja już nie. W mojej świadomości jestem Rosjanką z Kaliningradu.

Od białoruskich korzeni zaczęły się kontakty Lizy z Polską. Jako dziecko jeździła na wakacje do rodziny pod Brześciem. Pierwsze wspomnienie z Polski to przesiadka do autobusu na Białoruś na Dworcu Zachodnim w Warszawie. – Rozumiesz, że to nie może być dobre wspomnienie – mówi ze śmiechem.

Faktycznie, autobusowa Warszawa Zachodnia, choć niedawno ruszył jej remont, do dziś nie należy do

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

najprzyjemniejszych miejsc w stolicy. Co dopiero 25 lat temu.

– Potem było już lepiej – dodaje szybko Liza. Ze zdumieniem dowiaduję się, że jako dziecko była w Polsce kilkadziesiąt razy. (…)

– To było zupełnie normalne, że w piątek wieczorem tata mówił: a może pojedziemy do Sopotu. Wchodziliśmy na Booking, patrzyliśmy na oferty last minute i w sobotę, od razu po moich lekcjach, wsiadaliśmy w samochód, bo w Rosji lekcje są także w sobotę. To było tak, jakbyś z Warszawy jechał do Łodzi – tłumaczy Liza.

Pamięta, że w Polsce nad morzem już wtedy, w latach dwutysięcznych, było całkiem zachodnio. Można było wypić kawę w ładnej kawiarni albo wypożyczyć na jeden dzień rowery. W rosyjskich kurortach nad Bałtykiem, Zielonogradsku czy Swietłogorsku, panował wtedy jeszcze sowiecki klimat. Rosjanie bez trudu zdobywali turystyczne wizy, uprawniające do wielokrotnych wjazdów do Polski. Kiedy kończyła się jedna, od razu wyrabiali kolejną.

– Wiza po prostu zawsze była. To było zupełnie naturalne – tłumaczy.

Jej szkoła organizowała wycieczki do zamku w Malborku. Na letnie obozy dla rosyjskich dzieci Liza jeździła na Mazury. Po ubrania wybierali się do Gdańska, bo tam w sklepach był większy wybór. A w drodze powrotnej koniecznie robili przystanek w supermarkecie po proszki do prania, wybielacze i papier toaletowy. (…)

– Kiedy lecieliśmy na wakacje, nie patrzyliśmy na loty z Kaliningradu, tylko z Gdańska albo Warszawy. Nie zastanawialiśmy się nad tym szczególnie. Szanowaliśmy granicę, jasne, ale to była po prostu procedura do przejścia. Polska od początku była oczywistym aspektem mojego życia.

•

Granica, która dla Lizy wydawała się czymś tak normalnym, normalna jednak nie jest. Gdy spojrzeć na mapę, widać, że to najmniej naturalna z polskich granic. Gdy inne meandrują z rzekami albo biegną zygzakiem po górskich szczytach, ta jest w zasadzie prostą kreską. Przypomina postkolonialne granice znane z map Afryki czy Bliskiego Wschodu, wytyczane przez mocarstwa bez oglądania się na miejscową ludność. (…)

Przedwojenna niemiecka wieś Schönbruch została podzielona granicą przez sam środek. Słupy przecięły ją pomiędzy kościołem a szkołą.

Dziś na powierzchni trzyma się tylko polska część. Domy są w większości odmalowane, ale ich poniemieckość zdradzają spadziste dachy i czerwone, ceglane dachówki. Zbudowane zostały wzdłuż wybrukowanej kocimi łbami alei, obsadzonej po bokach wiekowymi dziś dębami. Na jednym jej końcu, przy wjeździe do wsi, stoi omszały kamień. Wciąż można na nim odczytać napis ułożony z gotyckich liter, który w poprzedniej epoce odliczał „Meilen bis Königsberg", mile do Królewca. (…)

– Jesteśmy pierwszym domem w Unii Europejskiej. Albo ostatnim, zależy jak patrzeć – mówi Wioletta Wach, dyrektorka DPS w Szczurkowie.

A podopieczni? W DPS w Szczurkowie jest ich ponad 40. Wioletta Wach mówi, że zaraz po rosyjskiej inwazji na Ukrainę pojawiły się opory, by przysyłać tu starszych ludzi. Teraz jednak nikt ich nie ma. Trzeba żyć normalnie.

Kierownikiem działu gospodarczego „pierwszego domu w Unii" jest Daniel Wasylik, energiczny, czterdziestokilkuletni mężczyzna. Pochodzi ze Szczurkowa, spędził tu całe życie. Wspomina, że kiedyś podopieczni DPS uciekali do Rosji. Czy raczej gubili drogę. Wśród mieszkańców były osoby, które ze względu na wiek i choroby nie do końca orientowały się w rzeczywistości. Wystarczyło, że ktoś wyszedł z domu, zrobił kilka kroków w złą stronę i trafiał do innego kraju. Rosyjscy pogranicznicy, kiedy łapali takiego delikwenta, po prostu odstawiali go do szlabanu, nie robiąc z tego zdarzenia nawet notatki, nie mówiąc już o karaniu.

Bo do niedawna granica wyglądała zupełnie inaczej. Zwoje żyletkowej

Jak jest teraz w Królewcu? Ludzie utknęli w otoczonym przez Polskę i Litwę obwodzie.

Okna z jej biura na pierwszym piętrze wychodzą prosto na Rosję. Można do tego kraju zaglądać ponad granicznym płotem jak do ogrodu sąsiada. Pytam, czy nie obawia się siedzieć tutaj, jakieś 50 m od państwa rządzonego przez Władimira Putina. – Nawet mniej niż 50! Ale nie, nie ma strachu. Jesteśmy za blisko. Jakby coś się miało zacząć, rakiety przelecą nam nad głowami – odpowiada.

Do życia w takim miejscu można, a nawet trzeba się przyzwyczaić. Wioletta mieszka w Ostrym Bardzie, wsi leżącej 7 km na wschód od Szczurkowa. Codziennie dojeżdża do pracy rowerem, a droga łącząca obie miejscowości biegnie przy samym granicznym płocie. Przyznaje, że w 2022 r., po rozpoczęciu się wojny w Ukrainie, z obawą zerkała w stronę rosyjskiego lasu. Zastanawiała się, czy komuś nie przyjdzie do głowy strzelić w stronę samotnej rowerzystki. Ale z czasem obawy odeszły. Nikt nigdy nie strzelał.

concertiny i słupy z czujnymi obiektywami kamer stanęły dopiero ostatnio, po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wcześniej była stara, waląca się siatka, a w innych miejscach nie było nawet i tego. Daniel wspomina, że jako nastolatek w latach 90. chodził kilka razy z kolegami na rosyjską stronę jak na spacer.

– Ot, tak z ciekawości, zobaczyć, jak tam jest. Ze 2 km od granicy był kołchoz. Szliśmy, posiedzieliśmy z ludźmi, pogadaliśmy i wracaliśmy. Nikt nas nie zatrzymywał. Tak samo Rosjanie przychodzili czasem tutaj. Bieda u nich była.

Takich opowieści o dawnych kontaktach przez dziurawą granicę jest w okolicy mnóstwo. Raz dobrych, raz złych. (…) W Szczurkowie najsłynniejsza jest historia Adama. To nowsza sprawa. Doszło do niej na początku 2022 r., gdy Rosja szykowała się do ataku na Ukrainę, a stosunki międzynarodowe były napięte jak postronki. Kolczaste zasieki

eprasa.pl 66800531b1

w Szczurkowie miały pojawić się dopiero rok później. Wtedy na granicy stała tylko licha siatka.

Jak to bywa z miejscowymi legendami, wersje różnią się w szczegółach. Jedni opowiadają, że Adam podniósł stary szlaban, drudzy, że przeciął siatkę. Niektórzy twierdzą, że chciał porozmawiać z Putinem (...). Wszyscy są zgodni, że mieszkający przy samej granicy mężczyzna pewnego dnia wsiadł na skuter i przejechał w szalonym rajdzie na drugą stronę. Tam sam miał zaczepić rosyjskich żołnierzy, chcąc im coś szczerze wytłumaczyć. Ci jednak nie mieli ochoty na dyskusje. Zamiast tego go zatrzymali i wydali w ręce swoich władz. Adam rok spędził w rosyjskim więzieniu, zanim wreszcie oddano go Polakom i mógł wrócić do Szczurkowa.

Rosjanie bez trudu zdobywali wizy turystyczne, uprawniające do wielokrotnych wjazdów do Polski.

Spotykam Adama na jego ganku, kilka kroków od granicznego szlabanu. Nie chce jednak rozmawiać o tamtych zdarzeniach. Śpieszy mu się, bo gotuje obiad. Poza tym i tak wszystko, co miał do powiedzenia dziennikarzom, powiedział.

Rzeczywiście, w 2023 r., krótko po swoim zwolnieniu, udzielił wywiadu „Faktowi". Opowiadał, że Rosjanie „w miarę dobrze go traktowali", choć „polskie więzienie przy rosyjskim wygląda jak przedszkole".

„Groziło mi od dwóch do siedmiu lat pozbawienia wolności. W więzieniu miałem celę czteroosobową, w końcu jednak sprawę umorzono i odesłano mnie do domu. Skuter też oddali. Na okrągło podawali kaszę i ryż, ryż i kaszę. Schudłem 18 kg. Raz mnie potraktowali paralizatorem, bo za dnia usiadłem na łóżku, a tam jest to zabronione", wspominał w tamtej rozmowie.

Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości, to przypadek Adama musiał mu uświadomić, że czasy się zupełnie zmieniły. Zbłąkani grzybiarze czy nieuważni zbieracze ślimaków nie mogą już liczyć na zwykłe odstawienie pod bramkę w płocie.

– Wcześniej rosyjscy żołnierze chodzili wzdłuż granicy, kiwali do nas głowami jak ludzie. Mówili nawet czasem po polsku „dzień dobry" – wspomina Daniel Wasylik. – Teraz nie ma szans, żeby z nimi zamienić słowo. Zresztą prawie ich nie widać. Siedzą w krzakach i unikają Polaków. Nawet jak coś tam u siebie wycinają, to tak, żeby się nie pokazać.

– A co tam wycinają?

– Mówią, że drogę na Polskę robią. Ale to ludzie tak chyba tylko żartują.

•

Liza, kiedy kończyła liceum, wiedziała, że na studia chce wyjechać z obwodu. W grę wchodziły trzy kierunki: Moskwa, Petersburg albo Unia Europejska.

– Moskwa nigdy mi się nie podobała. Wielka, tłoczna. W Petersburgu nikogo nie miałam. To było dla mnie obce miasto. Polska była logicznym wyborem. Znałam ją z wakacji, była bliżej domu. Dużo szybciej i taniej można było dojechać do Kaliningradu z Warszawy niż z Moskwy czy z Petersburga. Poza tym nie podobała mi się sytuacja polityczna. Chciałam wyjechać z Rosji.

Najpierw uczyła się polskiego w Łodzi, w specjalnym studium językowym dla obcokrajowców. Podstawowe zwroty znała już wcześniej, ale niuanse polskiej gramatyki okazały się sporym wyzwaniem. Na przykład rodzaj niemęskoosobowy. To, że kobiety i zwierzęta wrzucone są do jednego gramatycznego worka.

– Że mówi się „te dziewczyny" i „te psy", ale „ci chłopcy"–- dziwi się do tej pory Liza. No i zbitki spółgłosek. To z ich powodu w Rosji na Polaków mówi się „Pszeki".

Ostatecznie język polski nie był dla Rosjanki wielką przeszkodą. Po roku w Łodzi dostała się na studia, finanse na Uniwersytecie Warszawskim

– A co cię zaskoczyło w Polakach? Jak już tu przyjechałaś na stałe i lepiej ich poznałaś.

– Religia – odpowiada bez zastanowienia. – Mieszkałam w akademiku z polską współlokatorką. Była niedziela. Budzę się i widzę, że ona już wstała i zaczyna się gdzieś szykować. Patrzę na zegarek: ósma. Mówię: coś ci się pomyliło, dzisiaj jest niedziela, a nie poniedziałek, przecież nie ma zajęć. A ona, że nie, nie pomyliła się. To dokąd się wybierasz? Do kościoła. Do kościoła? To był dla mnie szok. U nas w Kaliningradzie ludzie nie chodzą co tydzień do cerkwi, nawet ci starsi, bardziej religijni, modlą się raczej w domu. Do cerkwi się idzie na święta i tyle. Nie ma lekcji religii w szkołach. Jak ślub, to cywilny. Kościelny ludzie biorą może po kilku albo kilkunastu latach.

Wydaje jej się, że młodzi Polacy są bardziej konserwatywni, gdy chodzi o obyczajowość. Choć nie do końca, bo np. osoby homoseksualne mają w Rosji gorzej. Tam za paradę równości można trafić do więzienia.

Co jeszcze zaskoczyło? Kawior. Że nawet nie ma go w sklepach.

– U nas na nowy rok zawsze musi być na stole kawior. Ludzie kupują tyle, że ma się go dosyć. Ten czerwony w Kaliningradzie nie był nawet szczególnie luksusowym produktem. Co innego ten czarny, to już jest droga sprawa. W ogóle Polacy jedzą mało ryb. Na przykład suszonych w zasadzie tu nie ma. Teraz jest trochę łatwiej je kupić, bo Ukraińcy pootwierali sklepy z żywnością ze Wschodu.

Wreszcie urzędy. W Rosji są czynne w tygodniu do godziny 20 i dodatkowo w sobotę. – Jak mam coś załatwić w polskim urzędzie, jeśli otwarty jest tylko do 16? – dziwi się Liza. – Do dzisiaj nie mogę tego zrozumieć.

A uprzedzenia?

– W Rosji jest taki stereotyp o Polakach, że nie lubią Rosjan – przyznaje Liza. Myślę sobie, że nie jest on taki bezpodstawny, szczególnie w ostatnim czasie. Pytam więc, jak ona to odczuwa. W końcu jest w Polsce od ponad 10 lat.

– Naprawdę trudno mi sobie przypomnieć jakieś złe sytuacje – mówi. – Okej, raz, jak przyjechaliśmy z rodzicami do Gdańska, ktoś próbował zniszczyć nasze rejestracje. To było po 2014 r. i aneksji Krymu. I potem, kiedy już tutaj studiowałam i miałam samochód z Kaliningradu. Na strzeżonym parkingu na Mokotowie

eprasa.pl 66800531b1

odmówili mi wykupienia abonamentu. Wskazali na moje numery i powiedzieli „pani nie obsługujemy". Nie powiedzieli tego wprost, ale zrozumiałam, że chodzi o to, że jestem Rosjanką.

– A po lutym 2022?

Liza się waha. Bała się wtedy, że każą jej wyjeżdżać z Polski, nieważne, że praca, mąż i prawo pobytu. Ale nikt jej niczego nie kazał. Nikt niczego nie powiedział. Z drugiej strony nikt przypadkowy na ulicy nie rozpozna, że jest Rosjanką. Myśli o swoich bliskich i znajomych, tych, którzy zostali w Kaliningradzie. Wszyscy mają masę doświadczeń z Polską. Wyjazdy na handel, weekendy, wakacje, zakupy przy granicy. Przez lata „oczywisty aspekt życia".

– Wiesz, takie osoby trudno przekonać, że w Polsce jest źle. Widzieli ją w końcu na własne oczy – mówi Liza. I dodaje po chwili zastanowienia: – Wydaje mi się, że inaczej jest z młodszym pokoleniem. Tym, które ma teraz 20 lat. Jeździli do Polski tylko jako dzieci. Oni mogą uwierzyć, kiedy słyszą, że tu jest rusofobia i nieprzyjaźń. A jak ktoś nie może sam sprawdzić faktów, to wierzy w to, co jest w telewizji.

•

Pandemia i sankcje odbiły się mocno na mieszkańcach Kaliningradu. Słyszę to wielokrotnie. Powtarzają to Rusłana, Aleksiej i druga Liza, do których kontakty dostaję od wspólnych znajomych. Wszyscy oni żyli w tym mieście i wszyscy albo już z Rosji wyjechali, albo planują z niej wyjazd. Bo ciężko, bo strach przed poborem, bo sytuacja polityczna. Jak jest teraz w Królewcu? Po pierwsze, ludzie utknęli w otoczonym przez Polskę i Litwę obwodzie. Wyjazdy do Unii stały się niemal niemożliwe, a bilety lotnicze do „dużej"Rosji dużo kosztują. Po drugie, ceny na miejscu poszły ostro w górę. Wymiana towarów z resztą Rosji idzie przede wszystkim przez terytorium Litwy, a ta nie patyczkuje się w egzekwowaniu sankcji. Od napaści na Ukrainę konsekwentnie ogranicza tranzyt do Królewca. Ponad milion mieszkańców obwodu coraz bardziej uzależnionych jest od transportu drogą morską. Który ojczyzna zapewnia im z coraz większym trudem.

Wreszcie ceny windują turyści wewnętrzni. Bo Kaliningrad stał się popularnym kierunkiem dla bogatszych Rosjan z Moskwy czy Petersburga. Pozbawieni możliwości podróżowania na Zachód, lecą do Królewca po namiastkę europejskości i bałtyckie powietrze. Robią sobie zdjęcia na tle ulic z poniemieckim brukiem. Kupują mieszkania w mieście i letnie dacze nad morzem.

– Kaliningrad jest zatłoczony, szczególnie latem – mówi mi druga Liza, nauczycielka angielskiego, z którą łączę się przez popularną w Rosji aplikację Telegram. W Królewcu spędziła całe życie. Dopiero w zeszłym roku wyprowadziła się do Moskwy, bo jej chłopak dostał tam pracę.

– Najbardziej zmieniły się miasteczka nad morzem. Jeśli chcesz dojechać publicznym transportem, będziesz stał w ścisku i miał problemy z oddychaniem. Przez turystów urosły też ceny. W restauracjach są już takie same jak w Moskwie. A zarobki nie są tak wysokie i nie jest wcale łatwo znaleźć pracę. Wszystko się pogorszyło, kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie.

Wzdycha. Mimo to marzy, żeby wrócić do rodzinnego miasta. Nie znosi ogromu Moskwy, wyobcowania jej mieszkańców.

– Dopiero gdy wyjechałam z Kaliningradu, zdałam sobie sprawę, w jak pięknym miejscu mieszkałam. Kocham tę atmosferę, Bałtyk, to, że wszędzie jest blisko. Ludzie są wspaniali. Przed wojną myśleliśmy o sobie jako o części Europy. W Rosji byłam po raz pierwszy, gdy miałam 24 lata – dodaje, uznając w domyśle, że bycie w Królewcu nie liczy się jako bycie w Rosji. – Teraz to się zmienia. Nie możemy już jeździć na Zachód. Nie mamy już tej przewagi nad resztą.

Zgadza się z nią Aleksiej, niespełna 30-latek, który w obawie przed mobilizacją do wojska wyjechał do Wielkiej Brytanii:

– Mogę nie być obiektywny, ale myślę, że ludzie z Kaliningradu są inni. (…)

•

– Kontakty? W tej chwili nie ma kontaktów. Od wojny w Ukrainie jesteśmy wrogiem numer jeden dla rosyjskiej propagandy.

Ryszard Doda siedzi za biurkiem w niewielkiej budce, która robi za jego bosmanat. Na ścianie ma mapę Zalewu Wiślanego, za oknem rzekę Pasłękę, która kilkaset metrów dalej do tego zalewu wpada. Przy obu brzegach rzeki kołyszą się zacumowane jachty.

– Miałem znajomych z tamtej strony, takich, którzy negowali działania Putina – kontynuuje bosman. – Walili w niego publicznie, na Facebooku. I nagle zniknęli. Zdjęcia skasowane, nie odpisują na wiadomości. No więc tak, kontakty się zerwały.

Opowieści o dawnych kontaktach przez dziurawą granicę jest w okolicy mnóstwo. Raz dobrych, raz złych.

Rozmawiamy w Starej Pasłęce, małej wsi nad Zalewem Wiślanym kilka minut drogi od Braniewa. Miejscowość leży po północnej stronie rzeki, czyli tej bliżej Rosji. Po stronie południowej, od razu za mostem, jest Nowa Pasłęka. I w Starej, i w Nowej Ryszarda Dodę znają wszyscy. Stworzył tu przystań dla żaglówek jeszcze w latach 90. i od tamtej pory jest jej szefem. (…)

– Do Kaliningradu już nie pojadę. Przecież bym nie wrócił. Nogi by mi z dupy powyrywali.

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, pływał tam przez Zalew Wiślany. Wtedy jeszcze było można, wystarczyło wypełnić kilka papierów. A Rosjanie przypływali z Królewca do jego portu na Pasłęce. Bawili się razem, biesiadowali, przywozili sobie prezenty.

– Relacje były więcej niż rodzinne. (…)

Fragmenty książki *Z widokiem na Polskę*, Ringier Axel Springer, Warszawa 2026

eprasa.pl 66800531b1

Chrystian Ślusarczyk

Tarator.

CHŁODNE SMAKI POŁUDNIA

LETNIE ZUPY – ORZEŹWIAJĄ I SYCĄ

W środku lata w jednym z popularniejszych w Polsce hipermarketów znajdziemy prawie 300 różnych owoców i warzyw. Niewykluczone, że jesienią, kiedy rodzimi rolnicy zbiorą kolejne dobra, liczba ta jeszcze się zwiększy.

Przed laty nie kupowaliśmy tego, co nam akurat było potrzebne, ale to, co „rzucili". Na przykład latem od święta pojawiała się importowana z bratniej Bułgarii papryka. Ale mało kto wiedział, co i jak zrobić z tego egzotycznego wówczas warzywa. Dziś nasza wiedza o warzywnym sezonowym bogactwie jest nieporównywalnie większa niż kilkadziesiąt lat temu.

Ten, kto latem odwiedza naszych południowych sąsiadów, zauważy, że w tamtejszych sklepach wybór owoców, a warzyw w szczególności, jest uboższy niż u nas. Tak jest nawet na Węgrzech, gdzie klimat pozwala na uprawę większej ilości owoców i warzyw. Tamtejsza letnia kuchnia – z niewielkimi wyjątkami – pozostaje głucha na światowe trendy nakazujące ograniczyć ciężkie, mięsne potrawy na rzecz kuchni lekkiej, z przewagą warzyw sezonowych.

Od kilkunastu już lat Polacy przygotowują letnie sałatki z wykorzystaniem niemal całego sklepowego dobra. Powstały i wciąż powstają liczne bary sałatkowe. Ale i w naszej domowej kuchni sałatki warzywne zajmują coraz ważniejsze miejsce. Sałata grecka np. do naszego menu zawitała na trwałe. Warzywa (sezonowe i nie tylko), zazwyczaj w formie wymyślnych surówek, towarzyszą większości naszych potraw.

W gorące dni, których w roku mamy coraz więcej, problemem pozostają zupy. Gotowanie rosołu czy innych polskich zup wymaga stosunkowo długiego czasu. A co za tym idzie – dodatkowego nagrzewania mieszkań pozbawionych najczęściej klimatyzacji. Trudno wszak wyobrazić sobie, by popularne flaczki czy krupnik spożywać na zimno.

Na południu Europy z tym problemem poradzono sobie już dawno. I to nie dlatego, że większość mieszkań chłodzi klimatyzator. Tam także chętnie je się flaczki (np. w Turcji), ale one przypisane są raczej do jadłospisu zimowego. Sezonowość potraw na Półwyspie Iberyjskim czy Bałkańskim to jeden z ważniejszych wyróżników tamtejszej kuchni. To cecha, której w obliczu coraz dłuższych fal upałów warto poświęcić więcej miejsca.

Bułgarska recepta na upał

Chłodnik z botwinki jest smaczną i pełną witamin zupą. Ale w jej przypadku nie obejdzie się bez gotowania i dodatkowego ogrzewania i tak już zbyt ciepłych mieszkań. A gotowanie posiekanych buraczków i dodatków zajmie nam niewiele mniej czasu niż ugotowanie pomidorówki.

W Bułgarii i sąsiedniej Macedonii nie mają problemu z wyborem królowej letnich zup. Od wieków kulinarną palmę pierwszeństwa dzierży tam tarator. To chłodnik, w wersji klasycznej na bazie kwaśnego mleka, mniej lub bardziej rozcieńczonego wodą (skala zależy od preferencji).

Bułgarskie kwaśne mleko (kiseło mljako) jest wyjątkowe. Powstaje z mleka, w którym zaszła fermentacja dwoma ważnymi szczepami bakterii: żyjącej tylko w Bułgarii *Lactobacillus bulgaricus* i *Streptococcus thermophilus*. Bakterie te nadają mleku gęstą strukturę oraz niepowtarzalny, kwaskowaty smak. Sekret długowieczności Bułgarów tkwi właśnie w codziennym spożywaniu ich kwaśnego mleka. Warto tu wspomnieć, że wielu polskich producentów wyspecjalizowało się w produkcji jogurtów o smaku i konsystencji bardzo podobnych do słynnego bułgarskiego oryginału. Polskie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66800531b1

jogurty znacznie też bardziej nadają się na tarator niż te produkowane w Europie Zachodniej.

Oprócz jogurtu i wody podstawowymi składnikami taratora są: pokrojone w drobną kostkę ogórki, posiekane 2-3 ząbki czosnku i koperek. Gdy wszystkie te składniki znajdą się w jogurtowej bazie, dodajemy garść zmiażdżonych orzechów włoskich. Jako że na Bałkanach do każdej zupy dodaje się olej, łyżkę oleju słonecznikowego należy polać także taratora. Lansowany u nas wariant z oliwą nie wydaje się dobry. Gotowy chłodnik obficie solimy. W niektórych polskich przepisach znajdziemy też propozycje dodania pieprzu. Jednak ostrość w przypadku taratora nie jest wskazana.

W czasach, kiedy w komunistycznej Bułgarii popularne były zorganizowane wczasy z wyżywieniem, w stołówkowym menu zawsze gwiazdorzył tarator. Z powodu braku czasu ówczesnym kucharzom nie chciało się dodawać kopru, nie wspominając o orzechach. Dziś mistrzowie sztuki kulinarnej nie pozwalają sobie na takie uproszczenia, bo wiedzą, że w przypadku taratora brak nawet jednego składnika diametralnie obniża jego smak.

U sąsiadów Bułgarii mamy potrawy na pierwszy rzut oka identyczne. To tzatziki w Grecji i cacık (dżadżyk) w Turcji. Przyrządza się je niemal z tych samych składników, ale odgrywają rolę przystawek lub sosów, np. jako dip do tradycyjnego tureckiego chleba pide czy do grillowanych mięs.

Także w Libanie spotkamy się z taratorem. Jednak libańska potrawa (kuchnia tego kraju należy do najlepszych na świecie) również nie jest zupą. To kremowy dodatek do dań. Powstaje z pasty sezamowej, soku z cytryny, czosnku i wody. Świetnie smakuje z falaflem, warzywami oraz rybami.

Rześkość po hiszpańsku

Hiszpania to kraina słońca i upałów. Owoce i warzywa z niej pochodzące podbijają Europę. Kraj słynie z upraw warzyw będących podstawą diety śródziemnomorskiej, m.in. pomidorów, papryki i czosnku. Hiszpania jest też światowym potentatem w produkcji oliwy. Ekstremalnie gorące i coraz dłuższe lata powodują, że kuchnia hiszpańska praktycznie skazana jest na chłodniki i lekkie potrawy niewymagające obróbki cieplnej.

Ojczyzną hiszpańskiego gazpacho jest Andaluzja.

Obok coraz popularniejszej u nas paelli najsłynniejszą hiszpańską potrawą jest gazpacho. Ojczyzną tego chłodnika jest Andaluzja. I choć w tamtejszym menu występuje najczęściej, zjeść je możemy w całej Hiszpanii.

Gazpacho jest banalnie łatwe w przygotowaniu. Składa się z surowych, zblendowanych na gładko warzyw: bazy z pomidorów, ogórków, czerwonej papryki (zielona nie da nam odpowiedniej barwy) i czosnku. Całość jest doprawiana dobrej jakości oliwą, octem winnym, solą, pieprzem oraz namoczoną ośródką białego (tylko i wyłącznie) pieczywa, które nadaje zupie aksamitną konsystencję i czyni ją pożywną. Zupa podawana jest najczęściej z listkiem dzikiej mięty. Najbardziej odpowiednią odmianą pomidorów na gazpacho jest ta o nazwie tomates de pera. W naszych warunkach do gazpacho nadają się pomidory lima, których ogrodniczymi ojcami są Holendrzy. Mają mało pestek i zwarty miąższ. Dzięki temu zupa nie jest wodnista. Do gazpacho stosuje się tylko bardzo dojrzałe owoce. Chłodnik ma wiele wersji. Poza regionalną z La Manchy (z dodatkiem mięsa) powstało wiele wariacji, np. z dodatkiem arbuza lub wiśni. Wszystkie doskonale zaspokoją uczucie głodu nawet przy ekstremalnych upałach.

Zupełnie innym, także rodem z Hiszpanii, chłodnikiem jest ajo blanco – biały chłodnik nazywany też białym gazpacho. Podobnie jak w odmianie czerwonej ważnym składnikiem jest w tym przypadku ośródka czerstwego białego chleba, którą wkładamy do miski, zalewamy wodą i zostawiamy do namoczenia. Potrzebujemy też migdałów.

I tu, w odróżnieniu od taratora i czerwonego gazpacho, musimy użyć źródła ciepła. Aby migdały zmiękły, trzeba je przez chwilę podgotować. Do naczynia z chlebem i migdałami wrzucamy kilka ząbków czosnku. Dodajemy sól, pieprz, ocet winny i miksujemy. Na wierzchu może się znaleźć łyżeczka oliwy. Chłodnik musi mieć dość gęstą konsystencję. Gotową zupę odstawiamy na godzinę do lodówki i podajemy z połówkami czerwonych (dla kontrastu) winogron. Dostępność migdałów czyni z tego hiszpańskiego chłodnika łatwą i wcale niedrogą w przygotowaniu zupę na lato.

Węgierski chłodnik przygotowuje się z wypestkowanych i ugotowanych wiśni, kwaśnej śmietany, soku cytrynowego, cynamonu i goździków.

Wiśnie zamiast gulaszu

Będąc latem na Węgrzech, gdy upał jest murowany, warto zrezygnować z wszechobecnych gulaszy i spróbować hideg meggyleves – chłodnika z wiśni. Zupę tę przygotowuje się z wypestkowanych i ugotowanych wiśni, kwaśnej śmietany, odrobiny soku cytrynowego, cynamonu i goździków. Bratankowie serwują meggyleves zarówno jako przystawkę, jak i zupę albo deser.

Przed nami pewnie jeszcze sporo gorących dni. Pamiętajmy, że ani tego lata, ani w następnych nie musimy z naszego menu wyrzucać w tym czasie smacznych i zdrowych zup. ■

eprasa.pl 66800531b1

JOLKA

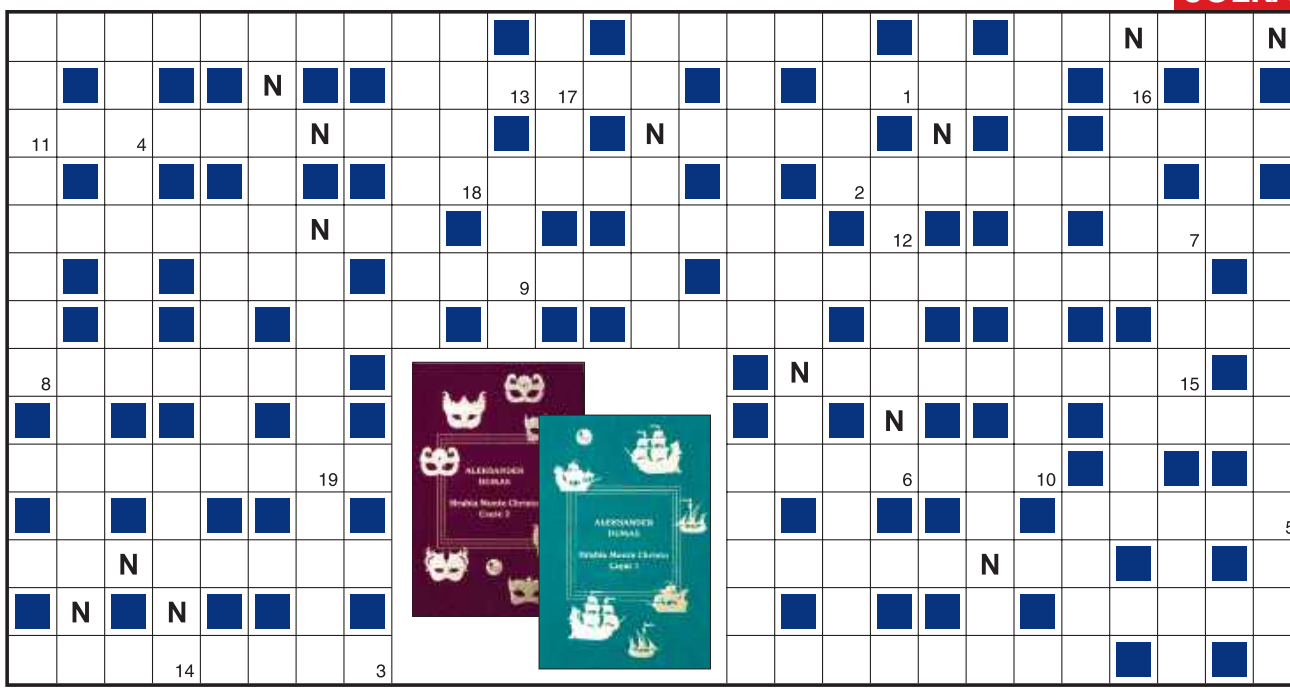

1	2	3	4

5	6	7	8	9	10

11	12	13	14	15	16

17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- Miauczyński lub Niezgódka
- i rodzaj farb, i zespół Niemena
- angielskie piwo górnej fermentacji
- dominujący samiec
- emploi aktora przystojniaka
- niezawodowe uprawianie sportu
- największe nasilenie, szczyt rozwoju
- pracownia artysty, projektanta mody
- …i Hercegowina
- siedmiomilowe lub szyte psom
- potocznie o bałaganie, brudnym miejscu
- do szkoły, na palcach lub koło kogoś
- jednostka o symbolu J
- piękny młodzieniec
- imię Wedla ze znaku towarowego
- …Pajor, piłkarka
- „Panna…” Zarzyckiej
- jego kwiat zachwycił chlebodawców ogrodnika
- zwitek szmat dławiący krzyki
- marcowy podrywacz dachowy
- bankowe, mejlowe lub internetowe pacjenta
- podopieczne trenera Karola Kowalewskiego
- Jerzy, wybitny himalaista
- ogórek w sam raz do beczki
- prywatna dla letnika, główna dla sztabu
- babie… – nitki pajęczyny
- statek na wody skute mrozem
- na pożegnanie lub ogonem
- wspólnota połączona językiem, tradycją
- nauka o chorobach układu nerwowego
- bezsilność, brak energii
- dzieciak w powijakach
- daniem na nim miała być Kaczka Dziwaczka
- wojsko tatarskie
- …śnieżna – irbis
- skupuje kradzione rzeczy
- nastrój przesadnej podniosłości
- przynosi go czarny kot i zbite lustro
- owalna, dmuchana łódka
- na bardzo wysoki pożycza lichwiarz
- zabierający głos poprzednik
- …żelaza – magnetyt lub hematyt
- imię aktora Hauera
- śniła się kotkowi wielka, pełna mleka
- pierzaste zewnętrzne u aksolotla
- mniej cenne niż antyki
- żydowski dom modlitw
- premierem z niego nazywany Piotr Gliński
- sposób działania, by osiągnąć cel
- biały puder do pielęgnacji skóry
- substancje o właściwościach trujących
- powieściowy Sawyer lub Wilmowski
- brak przesady, powściągliwość
- kraj Wuja Sama w skrócie
- burgund lub chianti
- andrzejkowa przepowiednia
- oddany z krążownika „Aurora”
- będzie z niego bimber

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1284”. Do rozlosowania książki „Hrabia Monte Christo” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 sierpnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1281” z nr. 28: *Jutro nigdy nie ma końca.*

Nagrody otrzymują: Joanna Amborska z Łopienna, Beata Kordon z Tychów, Danuta Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego.

eprasa.pl 66800531b1

Nie rezygnujmy z Damaszku

Po MSZ przeszedł alarm, że minister Sikorski będzie chciał likwidować ambasadę RP w Damaszku. I że w ogóle to pierwszy krok na drodze do ograniczania naszej obecności na Bliskim Wschodzie. Bo w kolejce do zamknięcia czekają jeszcze inne placówki, m.in. w Trypolisie. Czy to ma sens?

Tłumaczenia są proste – sytuacja w Syrii nie sprzyja działalności dyplomatycznej. Dyplomaci, jeżeli jadą do Damaszku, to bez rodzin, a ich możliwości działania są znikome. Ich rodziny, żony, dzieci są albo w Warszawie, albo w Bejrucie – tam, w dzielnicy chrześcijańskiej można bezpiecznie mieszkać. I de facto stamtąd ambasada w Syrii jest prowadzona.

Jeżeli więc mamy utrzymywać (niewielką) placówkę dla samego jej utrzymywania, może rzeczywiście lepiej z niej zrezygnować? Zwłaszcza że nie ma chętnych, by tam jechać. To rozumowanie ma swoją logikę, ale jest to logika biurokraty. Wszystko bowiem zależy od tego, jaka jest przyszłość Syrii, co tam może się zdarzyć, i od tego, jakich ludzi chcemy tam wysłać.

A przyszłość może być interesująca, bogate państwa Półwyspu Arabskiego deklarują dziesiątki miliardów dolarów na odbudowę Syrii. To zrozumiałe, bo w miarę jak zaognia się konflikt z Iranem, rośnie jej rola jako państwa tranzytowego dla ropy i gazu. Port Latakię chce z kolei odbudowywać Francja. Czy więc jest sens wycofywać się z tak ciekawego miejsca? Chyba że – to kolejne przypuszczenie – Polska nie dysponuje wystarczającą grupą fachowych dyplomatów, którzy w Syrii mogliby pełnić misję.

To nie jest łatwa placówka, żeby tu funkcjonować, nie wystarczy sama znajomość angielskiego i francuskiego. Potrzebny jest pewien rodzaj osobowości, którym wyróżniali się polscy dyplomaci jeszcze z czasów PRL. A wyróżniali się tym, że im było trudniej, tym bardziej błyszczeli.

I tak w latach 2016-2021 ambasadą w Damaszku kierował (z Bejrutu) Krzysztof Czapla. To był doświadczony konsularnik i arabista. Nieśmiertelną sławę w MSZ przyniosła mu akcja z roku 1999 uwolnienia kilkunastu polskich sióstr pielęgniarek z libijskiego więzienia – gdy oskarżono je o zarażenie libijskich dzieci wirusem HIV. To nie była łatwa sprawa, groziły im tortury i rozstrzelanie. Czapla był wtedy konsulem w Trypolisie. Znał język, znał kraj, zdążył zbudować sobie sieć dobrych znajomości, sięgającą najbliższych współpracowników Muammara Kaddafiego.

Po szalonych interwencjach Czapla odniósł sukces. Czyli wiedział, z kim rozmawiać, i wiedział, jak rozmawiać, był postacią na tyle dobrze osadzoną, że chciano wysłuchać jego argumentów. Potem, gdy był już w Syrii jako chargé d'affaires a.i. uwolnił z syryjskiego więzienia polskiego dziennikarza.

Przykład Krzysztofa Czapli, dziś emeryta, pokazuje, że bez dyplomatów osadzonych w państwach, w których pracują, rzutkich, mających własne dojścia, MSZ jest zwykłym urzędem. Dobry dyplomata jest wartością dodaną. I że sztuką jest mieć fachowca tam, gdzie dzieją się rzeczy istotne, a inni swoich ludzi nie mają, więc muszą Polskę prosić o pomoc.

A były takie czasy, że Związek Radziecki prosił Polskę o informacje z Chin, albo gdy w polskiej ambasadzie w Bagdadzie działała sekcja interesów Stanów Zjednoczonych…

Attaché

Andy Burnham podczas audiencji u Karola III w Pałacu Buckingham w Londynie. Król Wielkiej Brytanii zaprosił lidera Partii Pracy do objęcia urzędu premiera i sformowania nowego rządu. 20 lipca 2026 r.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 66800531b1

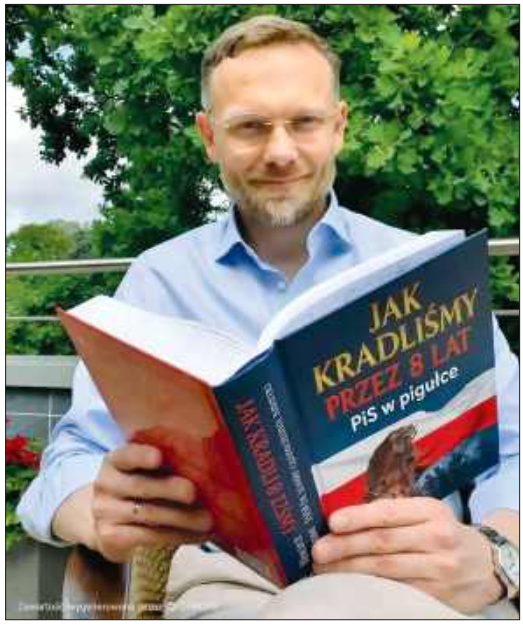

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

(…) Widzę, jak kolejne osoby i organizacje wycofują się rakiem z listów poparcia dla Leszka K. To, że z tym byłym dziennikarzem śledczym jest problem, było widać od lat – choćby po jego wpisach na Facebooku. Nikt mu nie pomógł, gdy skarżył się, że nie ma pieniędzy na prąd. Być może już wtedy był chory. Za to teraz, gdy zatrzymała go policja, środowisko rzuciło się do pisania listów otwartych, znów nadużywając wielkich słów. Rychło okazało się jednak, że nie wytrzymały one zderzenia z jego małymi czynami, zwłaszcza wobec najbliższej rodziny, a kilka osób i organizacji nieco się przy tym ośmieszyło.

AGATA PASSENT,
FELIETONISTKA

Trudno sobie wyobrazić atrakcyjne wakacje z młodym mięśniakiem konfederatą, mając świadomość, że ów „dżentelmen" gardzi tym, co publiczne, życzy mi niebotycznych rachunków za szkołę syna, a własnej babci – nierefundowanych leków, a gdybym oszalała i wyszła za niego, to musiałabym się pozbyć prawa do głosowania. Dobrze ma się wśród nowych mężczyzn tzw. gniazdowanie. Uwaga, drogie matki i kochanki, to już czerwony alert! Młody mięśniak, pogromca Niemca, wyprowadzkę z domu odracza na po trzydziestce (rozumiem, że wysokie koszty najmu im się podobają w ramach wolnego rynku).

JOANNA KOTAŃSKA,
PSYCHOTERAPEUTKA, SOCJOLOŻKA

Zastanawiałam się, czy gdyby ojciec żył dzisiaj, nie okazałoby się, że ma ADHD, biorąc pod uwagę jego niespożytą energię, impulsywność, chaotyczność, kreatywność, trudności z wypoczynkiem, bo właściwie nie umiał wypoczywać. (…) Miał charyzmę. Ludzie go słuchali, wierzyli mu, ufali i potrafił do większości dotrzeć. Mogli go nie lubić, ale z każdym potrafił nawiązać kontakt, z osobami w bezdomności, z politykami. A były to czasy bez internetu, bez mediów społecznościowych. Dzisiaj zorganizowanie Łańcucha Czystych Serc, od Bałtyku po Tatry, czyli wielkiej idei tolerancji i pomocy, a przede wszystkim manifestacji solidarności z osobami uzależnionymi, chorymi, wykluczonymi byłoby na pewno dużo prostsze niż wówczas, w połowie lat 80.

JANUSZ CHABIOR,
AKTOR

Zazwyczaj nie mieszka się z reżyserem, z którym się pracuje. Staraliśmy się nie przenosić pracy do domu, ale okazało się to niemożliwe. Najtrudniejsze było rozdzielenie relacji mąż aktor i żona reżyserka. Oczywiście Agata mówiła, jak mam grać, bo ona była kapitanem na tym statku, ale… Każde z nas miało własne koncepcje i rozwiązania. Przy niektórych się upierałem, czasami wkurzałem. Przegadaliśmy niejedną noc. Ostateczną decyzję zawsze podejmowała Agata. Zaufałem jej i… miałem rację. Z perspektywy czasu wiem, że zdaliśmy egzamin, nie pokłóciliśmy się na zabój, do rozwodu nie doszło. Kochamy się nawet bardziej. Jestem dumny z żony, że tak świetnie dała radę. Powstało superprzedstawienie.

FOT. AMEM, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2)

eprasa.pl 66800531b1

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 ŻER + PĄK =	3 CENT + ROK =	5 BLIN + DRYG =
2 JAR + FEZ =	4 ŁAWY + PAT =	6 DESA + PAKA =

ROZWIĄZANIA: PRĄŻEK, FREZJA, KONCERT, WYPŁATA, DRYBLING, ESKAPADA

Aby język giętki…

PROF. WOJCIECH MAKSYMOWICZ O RZĄDZIE MORAWIECKIEGO

Posiedzenia rządu trwały po pół godziny. Premier odczytywał wcześniejsze uzgodnienia i nikt nie zabierał głosu.

MICHAŁ SZADKOWSKI O KRZYSZTOFIE STANOWSKIM

Paradziennikarski biznes Stanowskiego jest w symbiozie z big techami jak grzyby z drzewami.

PAWEŁ SOŁTYS, PABLOPAVO O PISANIU

Chcę się ścigać z największymi idolami literackimi. Wolę mierzyć się z Bablem czy Stryjkowskim niż z kimś, kogo nie cenię.

MICHAŁ LISTKIEWICZ O SĘDZIACH

Kiedyś sędziowie byli większymi indywidualnościami, dzisiaj jest tendencja, by wszyscy byli tacy sami, jak nakręcone robociki.

PIOTR BECZAŁA O NAJLEPSZYCH SPEKTAKLACH

W wielkich dziełach sama ekspresja muzyczna działa wprost na słuchacza.

KATARZYNA BONDA O PISANIU

Jestem w tym uparta jak osioł. Iść własną ścieżką, po swojemu osiągać cele.

MAGDA LINETTE O PRZYSZŁOŚCI

Poszłam na studia MBA w Indiana University East i zdecydowałam się na zamrożenie jajeczek po zakończeniu sezonu.

MICHELE MORAN O POLSKIEJ KUCHNI

Polska ma wszystko: tradycję, smak, produkty i ogromną ciekawość. A ciekawość w kuchni jest najważniejsza.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 66800531b1

Tan Tolga Demirci (Turcja)

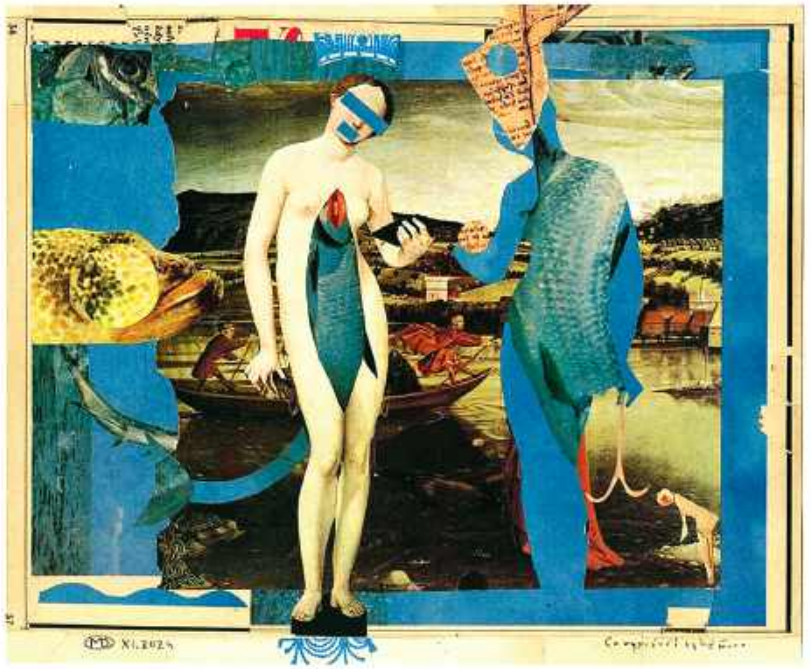

Martin Došek (Republika Czeska)

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA KOLAŻU

74 artystów z 24 krajów oddaje najważniejsze zjawiska współczesnej sztuki kolażu. Projekt stanowi przestrzeń międzynarodowej wymiany idei, dialogu międzykulturowego oraz współpracy środowisk artystycznych i akademickich, ukazując różnorodność współczesnych praktyk twórczych. W kolejnych latach wystawa będzie prezentowana także w wybranych muzeach europejskich. Wydarzeniu towarzyszy 240-stronicowy album w języku angielskim autorstwa dr Anny Kłos, poświęcony międzynarodowej sztuce kolażu i prezentujący dorobek 50 wybitnych artystów współczesnych. To ważne opracowanie dokumentujące aktualne kierunki rozwoju tej dziedziny sztuki.

Galeria Dobra
Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie
ul. Dobra 56/66
do 30 września

Àlvàro Sanchez (Gwatemala)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

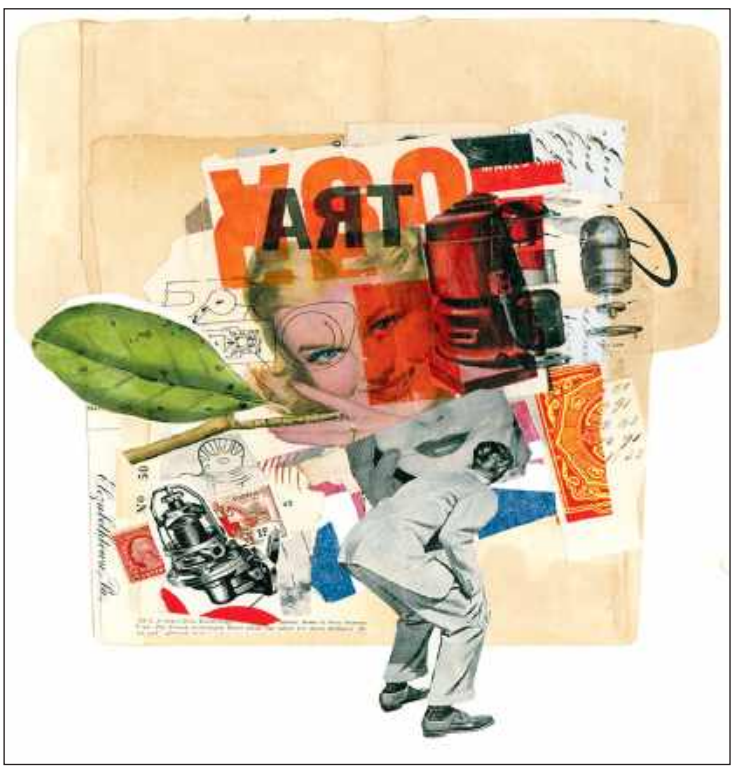

Allan Bealy (USA)

eprasa.pl 6680053161

TEATR IOTA 40 lat

jednoaktówka
Zbigniewa Waszkielewicza

w czwórnasób

Premiera: 7 sierpnia 2026 | godz. 18:00 | Giżyckie Centrum Kultury

Kolejne prezentacje spektalu:
8.08.2026 | g. 18:30 | GOK Wydminy
13.08.2026 | g. 17:00 | Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie, Stary Ratusz

REŻYSERIA: Zbigniew Waszkielewicz | **SCENOGRAFIA**: Teresa Wasilewska-Biernek | **MUZYKA**: Justyna Rekść-Raubo | **CHOREOGRAFIA**: Anna Sochacka
ŚWIATŁO: Bartłomiej Łuczków | **REALIZACJA DŹWIĘKU**: Żaneta Sarnecka-Roch
WYSTĘPUJĄ: Elżbieta Buratyńska, Karolina Koroś-Mieronowicz, Elżbieta Łuczak, Justyna Rekść-Raubo, Zbigniew Waszkielewicz

Zaproszenia i bilety (40 zł) do nabycia w Centrum Promocji i Informacji Turystycznej, Giżycko, ul. Gen. J. Zajączka 2
oraz w Giżyckim Centrum Kultury (1 godz. przed prezentacją)
info: iota@fr.pl | +48 536 878 687

WSPARCIE FINANSOWE

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 66800531b1

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

Capitalne LATO

Gramy przez całe wakacje!

- kultowe komedie w gwiazdorskiej obsadzie
- bogata oferta spektakli dla dzieci i młodzieży
- komfortowe, klimatyzowane sale teatralne
- orzeźwiające koktajle i letnie drinki

KUP BILET

www.teatrcapitol.pl

T·E·A·T·R CAPITOL E·V·E·N·T·S

ZRÓB Z NAMI EVENT!

FOKSAL 11 BY TEATR CAPITOL TO MIEJSCE STWORZONE DLA NIEZAPOMNIANYCH SPOTKAŃ I PRESTIŻOWYCH WYDARZEŃ

DOSKONAŁA LOKALIZACJA
W SAMYM SERCU WARSZAWY

SPEKTAKLE I SHOW NA WYŁĄCZNOŚĆ
UNIKALNE DOŚWIADCZENIA DLA TWOICH GOŚCI

SPEKTAKULARNE GALE I KONFERENCJE
WYDARZENIA, KTÓRE ROBIĄ WRAŻENIE

ELEGANCKIE IMPREZY FIRMOWE
SPOTKANIA W WYJĄTKOWEJ OPRAWIE

KONTAKT EVENTY@TEATRCAPITOL.PL / EVENTY@FOKSAL11.PL

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 66800531b1